ZAWISZA I ZAWIŁA

CZYLI

WĘDRÓWKA PO WIELKOPOLSCE I MAZOWSZU.

POWIEŚĆ

WZIĘTA Z OSTATNICH WYPADKÓW

PRZEZ

ŁUDWIKA Z KRZEWIA.

L. Orpiszewski

(W skróceniu.)

W POZNANIU.

CZCIONKAMI I W KOMISIE W. SIMONA. — PIEKARY 7.

1881.

WSTĘP.

> Ta, która nasze padoły przebiega,
> I samém tylko nieszczęściem się pasie,
> Jędza niezgody.
>
> *Krasicki.*

U wód w Baden-Baden na piérwszém piętrze w jednéj z lepszych oberży zebrało się małe towarzystwo polskie, aby po swojemu przy herbacie i gawędce wieczór przepędzić. — A że to działo się w r. 1832gim, domyśléć się łatwo można, że jeżeli nie całe, to przynajmniéj w części składało się z braci tułaczów. I tak téż w istocie było; z pięciu osób dwie były w podróży tymczasowéj, a trzy? — eh! także nie w wiecznéj, bo i oni w ówczas tak myśleli jak my dzisiaj, o lepszych czasach dla Polski.

Do piérwszych należał sędziwy a zamożny szlachcic kaliski, siedzący na kanapie w białéj chustce na szyji, w spodniach bez strzemiążek, które aż pod kolana zachodziły, kiedy dla wygody nogę na nogę zakładał; i córka jego, która stojąc przy okrągłym stoliku herbatę naléwała. Do drugich policzymy naprzód pana hrabiego Edwarda, z zacnéj familiji, noszącéj ten tytuł od pół wieku. Edward prócz zbytniéj namiętności do zabaw i wielkiéj słabości w używaniu swojéj dystynkcyji socyjalnéj, w któréj trudno co złego lub dobrego upatrzyć, oprócz pieczęci austryjackiéj na dyplomie, był zacny młodzieniec, ozdobiony w ostatniéj wojnie zasłużonym krzyżem, pełen gustu, nie tylko w ubraniu i rozmowie, ale w

wszystkiém, bo znał, czuł i lubił co piękne i dobre. Lecz właśnie jego słabości, a nawet i przymioty ubiegały się nawzajem, aby go zrobić przyjemnym, lubionym młodzieńcem, ale do niczego. Bawił on teraz od kilku tygodni w Baden, umizgał się z pańska do poczciwych Niemek, żartował z Niemców, którzy go szanowali, bo czytał Kanta, Goetego i Szlegla; znał się na malarstwie, architekturze i muzyce, i zawsze im dowiódł, co chciał, w polityce. Zresztą dla liberalnych Niemców ma coś nadzwyczaj pociągającego każdy pan popularny — ale, boć to tak wszędzie przed rewolucyją. Co po rewolucyji, to co innego; wtenczas czy słusznie, czy niesłusznie, to bierze chętka, aby go powiesić. Edward jakiś czas grał w wista i dyskutował o Czartoryskim i Skrzyneckim z kolegami, wkrótce jednak sprzykrzyło mu się to życie.

— Już mam póty ich fajki i ich polityki, mówił o nich, pokazując na gardło. Ściskał się więc z niemi za ręce przy spotkaniu, ale unikał jak mógł ich towarzystwa. Zabrał znajomość z kilkoma domami angielskiemi, umizgał się do Miss Sara, Miss Fany, a u mężczyzn zrobił sobie poszanowanie przez bystry dosyć dowcip, szczęśliwe wysłowienie, znajomość języków i szerokie chociaż bezładne wiadomości; miał bowiem zupełne pańskie wychowanie. Widok jednak Polaków ciemiężył go w Baden: Czemu sobie nie jadą do zakładu? myślał sobie w duszy; te Niemcy do reszty im głowy przewrócą; już z dziesięciu wielkich ludzi napotkałem; to czysta epidemija — a niezgrabne, a brudne, a jak po francuzku mówią? aż uszy bolą! żeby to tałatajstwo zostało było w Polsce i nie robiło krzyku po Europie, to by i dla nas i dla nich prędzéj co można było zrobić. I tak mięszając prawdę z nieprawdą, słuszną krytykę z sarkazmami, obmawiał poczciwą emigracyją i na śmiéch wystawiał tych, których za jéj czoło uważał. Zkądże to całe nieukontentowanie pana hrabiego pochodziło? Oto sądził z kilku głupców, wszystkich, co płacząc kraj opuszczali, co dziś mimo tysiąca wyskoków, uchybień, zagmatwania zdań i doktryn, świécą wśród ludów Europy, jako gwiazdy porozrzucane w nocy samolubstwa i szalbierstw, jako świadki żyjące poświęcenia i patryotyzmu rodu ludzkiego.

Taki był pan Edward siedzący na drugim końcu kanapy, z równém zaniedbaniem, jak sędziwy pan Raślicki, jednak z większą układnością i w gustownêm ubraniu! Drugi z tułaczów był major Trękański, liczący lat cztérdzieści i pięć, szpakowaty, z wypomadowanemi czarnemi wąsami, twarzy rumianéj, postawy wysokiéj a prostéj. Trzeci nakoniec nazywał się Władysław. Poznać w nim łatwo syna szlacheckiego domu kaliskiego, bo wyraz twarzy naprzemian słodki i hardy maluje Wielkopolanina, a ruchy, gest i mowa, ani wpływem szkół pruskich, ani sąsiedztwem baronów ślązkich nieskażone. Stał on o parę kroków od stolika, trzymał filiżankę z herbatą w obydwóch dłoniach, a z pochylonego czoła i brwi zmarszczonych widać, że myśli; a ze zburzonych obliczów i ust przyciętych widać, że myśli te są przedłużeniem gwałtownéj i przytłumionéj rozmowy. O czém że była rozmowa? Gospodarze rozmawiają o zbożu, wojacy o bitwach, kupcy korzenni o pieprzu, a wygnańcy polityczni o polityce. To ich stan i nadzieja, i kto ich w tém chce przerobić, bredzi wyraźnie.

Rozmowa między naszymi panami była żywa, i nawet za żywa; skończona przez uszanowanie dla pana Raślickiego, który ich u siebie z polską szczérością, ale z powagą przyjmuje. Najniezgrabniejszy z nich major przerwał jednakże pożądane milczenie, wymawiając donośnym głosem i z gorzkim uśmiéchem słowa najdraźliwsze dla Zawiły:

— Oj, tak, tak, panie Władysławie, republika w Polsce, a tém bardziéj w wojsku, na kata się nie zdała.

Zagadnięty młodzian podniósł zwolna oczy, zatrzymał je nieco na twarzy majora i z flegmą spuścił je znowu na swoję filiżankę; hrabia się uśmiéchnął z niezgrabności majora i z zimnéj krwi Władysława, a pan Raślicki z wyraźném nieukontentowaniem kiwnął głową i machnął ręką, jakby chciał mówić: „dajcie pokój do licha.“ Ale wyrazy majora najwięcéj uderzyły pannę Annę, bo twarz jéj bladawą żywy okrył rumieniec, a oczy jéj, zwrócone ku Zawile, zdawały się czekać z trwogą nowego wybuchu z jego gwałtownych piersi.

Panna Anna, majętna jedynaczka, liczyła lat dwadzieścia, a może i więcéj. Do piętnastego roku była zdrowa, żywa i czerstwa; ale w tym właśnie wieku, kiedy zaczynają się zaciérać rysy dziecinne, kiedy uczucia rozkwitając w sercu zaczynają wybijać się, rozlewać i grać na twarzy dziewiczéj; w tym ślicznym poranku piętnastego lata Anna popadła w ciężką chorobę. Bóg uchował jedyne dziecko panu Raślickiemu, lecz trzy długie lata przewlokły się w smutnéj niespokojności i choroba, jak zostawiła zdrowie bez młodzieńczéj czerstwości, tak piękność bez blasku owego, który rozléwa urok naokoło, podbija błahe umysły i czasem wyczerpuje serce saméjże dziewicy.

Od kilku już tygodni pan Raślicki u wód bawił; Edward i Władysław bywali u niego codziennie jak dawni znajomi, bo znajomość była z Polski. Wprawdzie Władysława już on był dawno nie widział, gdyż matka jego przeniosła się była do Warszawy dla edukacyi syna na kilka lat przed rewolucyją. Wakacyi nawet nie przepędzał w kaliskiém, ale u jednego z wujów osiadłego pod Krakowem. Teraz pan Raślicki przywiózł mu z domu wiadomość i pieniądze, uściskał go od matki i polubił na nowo, bo widział w nim dobre serce, wiele zdatności; a nie postrzegał żadnéj fanfaronady i błahości naszych paniczów — co się podobało niezmiernie staremu Polakowi. Mówił o nim, że jak szał wywietrzeje, będzie z niego dobry sąsiad i dobry obywatel. Brał kiedy mógł jego stronę w nieustających dyskusyach z hrabią Edwardem, a gdy postrzegł, że się apostół ludzkości zagmatwał w urojeniach i systematach, to uśmiéchając się, poklepał go po ramieniu i rzekł:

— Oj, panie Władysławie, podobno by to jeszcze trudniéj było wykonać plany, niż je wytłumaczyć, a i tak się plączesz.

Anna znała także Władysława, wśród tysiąca iluzyji umiała dostrzédz wzniosłą duszę młodzieńca; wśród burzliwéj mowy zrozumiéć zaród tęgiego charakteru.

Przyjaźń téj pięknéj pary rosła codziennie, widocznie. On w największym zapędzie, na jéj lekki, proszący uśmiéch

łagodniał; w niéj radość błyszczała, kiedy Władysław trafnym a szczérym wyrazem zbił niewiarę hrabiego, co często wśród ckliwych deklamacyji przedziérał się i czerniał, jak brudna woda, którą ulice wielkiego miasta do czystéj rzéki naniosą. To upokarzało hrabiego i nie lubił Władysława, ale téż Władysław w dwójnasób oddawał mu jego nieprzyjaźń, a Anna drżała na jego przyjście, jak na jaki znak złowieszczy. Pan Raślicki zimno go także przyjmował, a major, który często w domu bywał, próżno suszył głowę, aby odgadnąć przyczynę téj szczególnéj niechęci ojca i córki do hrabiego, tak wszędzie lubionego młodzieńca. Nareszcie zdecydował, że to musi być jakaś stara familijna nieprzyjaźń i często powtarzał w duszy: szczęśliwa to okoliczność dla tego półgłówka Zawiły, boby go pewno pan hrabia odsadził od bogatéj jedynaczki.

O w pół do dziesiątéj goście wzięli za kapelusze i wyszli; na ulicy powiedzieli sobie wzajemnie dobranoc i każdy ruszył w swoję stronę; hrabia na bal, major spać, a Władysław za miasto i długo chodził jeszcze po górach i dumał. Po wyjściu gości Anna pocałowała rękę ojca i poszła pomodlić się i zasnąć, jeśli można, a pan Raślicki, włożywszy ręce w kieszenie, przechadzał się po pokoju i myślił. Wreszcie stanął przy stoliku, wyjął prawą rękę, postukał palcami i rzekł z westchnieniem:

— Dobre dzieci — lubią się. Ale on szaławiła jeszcze: mógłby figla spłatać jakiego i ostatnie jedyne dziécię mi zgubić — trzeba poczekać. Lecz co dobry, to dobry chłopiec, prawdziwa krew' szlachecka bez tytułów i koligacyji szwabskich lub moskiewskich. Aż miło taką młodzież widziéć; pełen ognia, koszulę by oddał dla przyjaciela, a duszę dla kraju. Demokrata — Boże drogi! jak i on i jego systemat wyszumią, to z niego będzie zacny obywatel i z systematu coś. Duch święty im dobrą myśl natchnął, a oni nią wichrzą — ale przyjdzie ona w dobre ręce, da Pan Bóg!!!

Chodził jeszcze czas jakiś po pokoju i kiedy niekiedy zmarszczył brew' i westchnął; potém wszedł do pobocznéj izby i długo się modlił; wreszcie zawołał na sługę, rozebrał

się i zasnął spokojnie. Jeden z tych starych ojców naszych, których tak rzadko już dzisiaj nam młodym napotkać się zdarza; dobry Polak, pobożny katolik, co umiał z godnością dom utrzymać, z powagą kochać dziecko, co nie cierpiał u siebie swawoli, a jednak z uprzejmością gościa przyjął i zabawił. Jeżeli z początku nie umiał się otrząsnąć z wad wieku, w którym był wychowany, w ostatnich latach jednak nie widać było u niego ani pijatyki w domu, ani ekonomów z nahajem; kart, Moskali i szampana nienawidził... Lubił młodzież, cieszył się z jéj chęci do nauk i wstrzemięźliwości od trunków; bolał nad brakiem religiji, uszanowania dla starszych i kobiét, i zbytkiem zarozumiałości.

Takiego sposobu myślenia, obyczajów i gustu był stary pan Raślicki obywatel z kaliskiego.

Rozstanie się.

Gdy się tak we mnie żal z miłością swarzy,
Na wyższe miejsce wstąpiłem;
Jeszczem chciał światła zachwycić jéj twarzy,
Którą pomału gubiłem.

Karpiński.

Już dobrze się zmiérzchło, kiedy panna Anna kazała przyniéść światło do pokoju. Pan Raślicki wyszedł pod wieczór z majorem i pewno daleko zapuścili się w piękne okolice Badeńskie, bo ich dotąd nie widać. Anna słaba, jak się to jéj często wydarza, została sama w domu, aby książki dokończyć zaczętéj; czytanie bowiem jest jéj ulubioną zabawą. Dziś jednak myśl była za bardzo roztargniona: położyła książkę i cały czas ze spuszczoną głową, ze założonemi rękami w jedném miejscu przepędziła. Służący wszedł, postawił jednę świécę na stole, drugą na fortepianie i wyszedł, a ona nawet nie zmieniła postawy. Wtém drzwi się otworzyły i hrabia wyświéżony wbiegł żywo do pokoju. Anna zapłoniła się nieco, wstała zwolna i głębokim a zimnym ukłonem przywitała gościa.

— Spotkałem na przechadzce — pana Raślickiego, rzecze Edward, i dowiedziałem się od niego, że pani cierpiąca; niespokojny przyszedłem sam o jéj zdrowie zapytać.

Lekkie schylenie głowy było podziękowaniem za troskliwość.

— Ale nie spodziewałem się pani saméj dotychczas zastać, wiedząc, jak ojciec pani o jéj zdrowiu pamięta.

— Ja więcéj o niego powinnam być niespokojna, że tak późno w wieczór przedłużył przechadzkę.

Równie zajmująca rozmowa trwała z dziesięć minut: wreszcie hrabia się podniósł, przeprosił, że mimo chęci nie może jéj towarzyszyć, aż do przybycia ojca, gdyż obiecał w jednym domu angielskim wcześnie przyjść na wieczór i wyszedł, mrucząc pod nosem na schodach:

— Ta biédna dziewczyna na sumnieniu mi ciąży; ale cóż robić? Ona jednak lepiéj ma się teraz, niż przed rokiem, a Władysław ją wkrótce zupełnie uléczy — i pobiegł na bal.

W salonie panny Raślickiéj inny gość go zastąpił: pan Władysław Zawiła. Ten wszedł wolno i siadając na kanapie, któréj ona na jego przybycie nie opuściła, podał jéj rękę i pytał o zdrowie.

— Słabam była dzisiaj cały dzień i głowa mi jeszcze ciąży, odpowiedziała, pociągając jedną ręką po czole, a drugą opuszczając Władysławowi. On porwał ją i z uczuciem całował; ale Anna wyjęła ją powoli, i patrząc na niego z lekkim uśmiéchem, rzecze:

— Tak się siostry nie całuje, panie Władysławie.

— Siostry? a zkąd pokrewieństwo? jabym chciał, żeby było i mam nadzieję, że kiedyś będzie; ale dziś go jeszcze nie ma. A przecię od tego nazwiska się zaczęło. Ale ja na nim nigdym przestać nie myślił. Ah, ja mam taką siostrę, co ma lat cztérdzieści; lecz dla nas Anno (biorąc ją znowu za rękę, aby do ust przycisnął), lecz dla nas Anno, braterstwo, przyjaźń — to nie dosyć!

— Słuchaj Władysławie, ja ci szczérze powiadam, żem nigdy nie sądziła, aby nasza przyjaźń tak daleko zajść miała; nigdym nie sądziła, abym chora i smutna mogła zająć burzliwego młodzieńca, któremu tak świat otwarty, jak jego wyobraźnia. Lecz widząc szlachetną, wzniosłą duszę twoję, polubiłam cię serdecznie i pomyślałam sobie: ten młody orzeł żadnéj nie ma na świecie pociechy, prócz potężnych

skrzydeł, na których buja wysoko; ale jak zmordowany spocznie i olśnione oko zwróci od słońca, może potrzebuje kiedy niekiedy miększego uczucia, na którémby wytchnęła dusza i nowych sił nabrała do lotu. To za poetycznie Władysławie, alem myśliła istotnie, że sam wygnaniec, wśród obcych, kiedy cię tęskność ogarnie, wspomnisz mnie czasem i pocieszysz się tą myślą, że w rodzinnéj ziemi, w sąsiedztwie wioski, w któréj spędziłeś młodość, a może przy boku twojéj staréj matki masz przyjaciółkę i siostrę, co cię rozumié, co twój smutek dzieli.

— Ależ dla tego, kochano Anno, żeś tak myśliła, musisz ze mną — ze mną na zawsze zostać. Chora i smutna! ach kochana Anno! ja cię pielęgnować będę! ja cię rozweselę! i ty mnie nawzajem pocieszysz jednym z tych twojich lekkich, słodkich uśmiéchów, co jak małe światełko rozjaśni i przymili twoje cudowne usta. A myślisz, że to dla wygnańca świetna i balowa dama? że wesoły dowcip rozgrzeje jego serce? Nieraz, gdym się nachodził po Paryżu na dzień cały i kiedym wieczorem wszedł smutny do szczupłéj celi; kiedym wśród nieustającego łoskotu, ruchu i życia wielkiego miasta, sam jeden zaczął dumać o kraju, o przyjaciołach wygnanych i poległych, o smutnym i wdowim losie własnym; o, wtenczas Anno! za wszystkie królowe świata nie dałbym jednéj twojéj pieszczoty, któraby mnie utuliła w żalu. O, Anno! ty mnie nie znasz jeszcze: nie ten co śmierci się nie bał, co się panu nie ukłoni i często z zapałem wybuchnie, nie, ten płakać nie umié. Serce pełne ognia często i żal ściśnie!

Łzy kropliste spadły na lica Władysława, schwycił w obydwie dłonie ręce Anny i całował z uczuciem; ona mu je wolno opuściła, a łzy jéj także spłynęły po bladawéj twarzy; bo była to chwila, jedna z tych chwil rzadkich, gdzie dwa serca zmięszają się w uczuciu i jedna jest tylko wola w obydwóch duszach. Ale właśnie wtenczas drzwi się otworzyły i naprzód wysoka figura majora, a za nim schylone, łyse weszło czoło pana Raślickiego. Major z większym taktem, jak zazwyczaj, udał, że nic nie spostrzegł, a pan Raślicki spojrzał badawczém okiem na spłonioną twarz córki i na

Władysława w niezwykle skromnéj postawie, który niby włosów poprawiał i zakręcał wąsy, a tymczasem łzy ociérał. Skrzywił się i idąc ku kanapie, aby zająć zwyczajne miejsce mruczał sobie pod nosem: — pośpieszyli się, czy mnie kaduk skusił, żeby dziś tak daleko powlée się za miasto.

— Wkrótce dano herbatę, ale rozmowa nie szła, bo panna była zamyślona, pan Raślicki kwaśny, a Zawiła plątał się w mowie. Nie długo po herbacie goście wyszli; gospodarz ich bez ceremoniji pożegnał, mówiąc, że córka słaba, a on zmordowany. Panna Anna od kilku lat odwykła od łajania; po śmierci matki nie tylko była gospodynią w domu, ale w wielkiém poszanowaniu u ojca. Bała się tém więcéj dzisiejszego gromu. Pan Raślicki jednak nic jéj o tém nie wspominał i nazajutrz, spotkawszy Władysława na przechadzce, przywitał go z tą samą uprzejmością, jak za zwyczaj i poprosił na herbatę. To postępowanie ośmieliło naszę parę: byli bowiem pewni, że stary ojciec zgadł, co między niemi zaszło i pobłażał ich przyjaźni.

Parę tygodni minęło od owego wieczora: major i hrabia Edward wyjechali do Paryża, a Władysław miłe całe dnie przepędzał w familijném pożyciu między ojcem i córką. — Wreszcie zdecydował się prosić ojca o rękę swojéj ukochanéj Anny. Pan Raślicki słuchał oświadczenia z uwagą i chociaż miał odpowiédź gotową, gdyż dawno się spodziéwał tego wypadku, jednak pomyślił nieco, nim odrzekł, a w końcu tak zaczął:

— Kochałem i szanowałem twojich rodziców, i tyś mi się podobał: nie odmawiam ci więc mojéj córki; owszém szczęśliwym będę, jeśli mój dom związkiem pokrewieństwa z twojim się połączy. Matka twoja zapewne nie odmówi wam także swego błogosławieństwa. Ale w téj uroczystéj chwili mojim jest obowiązkiem, mój panie Władysławie, dać ci po ojcowsku niektóre przestrogi, i powiedziéć prawdę szczérze i otwarcie. Ja mam jedyne dziécię i lekce jego postanowienia ważyć nie mogę, tém więcéj, że Bóg wié, kiedy tobie i twojim towarzyszom okoliczności pozwolą obaczyć Ojczyznę; jeżelibym się zdecydował rozłączyć z córką, musiał-

bym być przekonany, że ją w pewne ręce powierzam. Znam całą twoję wartość, panie Władysławie; wiém, że masz dobre serce, żeś człowiek honoru, dobry patryota, a nawet bystry młodzieniec. Ale nie tylko w mowie, lecz i w całém twojém postępowaniu uważałem, że ani sposób myślenia, ani charakter nie jest ugruntowany. Że na dobre wyjdziesz, jestem pewny i dla tego ci córkę obiecuję: ale przez wiele jeszcze może przejdziesz koleji, nim wytrwawny rozum w głowie, a stały charakter w sercu się osadzi. Tyś jeszcze młody, możesz biégać, próbować i uczyć się w szkole doświadczenia, ale nie wolno ci przywiązywać do siebie drugiéj osoby i ciągnąć na los szczęścia za sobą, bobyś i mnie w starości mógł jedynego dziecka pozbawić, i swoje sumnienie na całe życie zamącić. Na przyszły rok, jeśli Pan Bóg pozwoli, przyjadę znowu do Baden i wtenczas zobaczymy. Dziś prośba daremna: jam się spodziewał twego żądania i naprzód rzecz gruntownie rozważył, i com powiedział nie odmienię.

— Władysław znał pana Raślickiego, jako człowieka mocnéj woli, spuścił smutnie głowę, pomyślił i więcéj nie nalegał; wziął rękę przyszłego ojca, po synowsku pocałował i zapewnił, że chociaż pała chęcią połączenia się z jego córką, jednak poddaje się jego postanowieniu i starać się będzie całoroczném dowiéść postępowaniem, że godzien jest jego zaufania, że będzie dobrym opiekunem jedynego i kochanego jego dziecięcia.

Pan Raślicki tydzień jeszcze bawił w Baden, lecz ten tydzień jak jedna godzina zleciał naszym kochankom. Czas jest to wieczna ludzi przekora; dla nieszczęśliwych wlecze się powoli, jak student do szkoły, jak tchórz na bójkę; a gdy pomyślne chwile wprzęże do wozu naszego życia, to pędzi jak moskiewska poczta; ty byś chciał pocztylijona przekupić, zapłacić za zwłokę, ale próżno — leci jak szalony, i niedługo swoje konie — szczęśliwe chwile, zajeździ.

W wigiliją odjazdu pan Raślicki spotkał jednego z posłów kaliskich, dawnego swego znajomego, od wczoraj przybyłego do Baden; prosił go więc do siebie na obiad i po obiedzie, że piękny był wieczór, wyszedł z nim na prze-

chadzkę; Władysław i Anna towarzyszyli im także. Już w mieście ważna polityczna rozmowa zawiązała się między dwoma staremi przyjaciółmi, tak że młoda para mogła o kilka kroków wysunąć się naprzód i spędzić jakby sam na sam ostatni wieczór.

Słońce schyliło się ku zachodowi i półokręgiem za góry stoczone rzucało jaskrawe promienie przez rozłożyste gałęzie drzew kołyszących się, jakby rozwiana czupryna na ich wiérzchołkach. Miasto zszarzało i tylko głuchy gwar z ulic dochodził naszych kochanków, kiedy wstępowali na wzgórza leżące po wschodniéj stronie miasta. Spojrzeli na chylącą głowę ostatniego dnia i spojrzeli na siebie. Smutne westchnienia z obydwóch piersi wypadły i zmięszane razem, z lekkim wiatrem uszły skryć się między drzewem. Władysław wziął za rękę Annę i zwolna ścisnął; ona raz jeszcze, ale łzawe oko podniosła i po chwili obie ręce opadły — i w milczeniu szli daléj.

— Obiecałaś mi, Anno, przerwał Władysław, opowiedziéć dawną twoję znajomość z hrabią Edwardem, a to ostatni wieczór.

Zarumieniła się dziewica, jak kiedy do ważnych grzéchów przyjdzie na spowiedzi; boć to także spowiédź była, i przed kimże jeszcze?

— Obiecałam, jakem tylko siostrą twoją była, dziś trudniéj mi to przyjdzie uskutecznić, tém więcéj, że ta nieszczęśliwa historyja na ostatni wieczór przypadła, jednak opowiém ci ją szczérze, bo chcę, żebyś znał moję duszę, jak własne sumnienie. Zasmucisz się i może ochłodniesz z tego żywego przywiązania, Władysławie, kiedy zamiast nowego, dziewiczego serca, znajdziesz széroką bliznę w piersi, co się i na twarzy odbiła.

— O Anno! jeżeli taki uszczerbek duszy, jak licom zrobiła! Ale uspokój się, Anno! ja wiém treść rzeczy; na wsi w Polsce, a do tego w kaliskiém lub mazowieckiém, gdzie o pół mili pięćdziesiąt sąsiedztw, gdzie się służący co rok odmieniają i jak koło w młynie kręcą, wracają dwadzieścia razy do tegoż samego pana, a za powiat wcale nie wyjdą;

gdzie kwestarz od komina do komina jeździ i nowiny opowiada, tajemnica żadna utrzymać się nie może. Mnie matka twoje nieszczęście opowiadała przed dwoma laty. Dziś, jeśli je chcę z twych ust usłyszéć, to dla tego, kochana Anno, żebym z tobą razem płakał i jak balsamem zdrowia zapełnił moją miłością tę ranę, jeśli smutna pamiątka jeszcze ją krwawi.

— Słuchaj więc: Miałam lat piętnaście, byłam świéża, czerstwa i żywa. Matka moja, jak wiele matek, wiedząc, że znaczny majątek dobrym rządem jeszcze się pomnaża, chciała się ze mną popisać, i jeśli się dobrze zdarzy, wcześnie za mąż wydać. Postanowiła więc z wyraźném nieukontentowaniem ojca, który na wsi został, zimę w Warszawie przepędzić. Na stroje mi nie żałowano, jam się cieszyła, tańczyła, bawiła. Miłe to były te chwile swobody i uciechy, chociaż płoche i jakoby wysłanniczki nieszczęścia. Na czele eleganckiéj młodzieży wtenczas był hrabia Edward, lat dwadzieścia jeden liczący, piękny i zręczny jak mało, wymowny i zalotny jak dzisiaj jeszcze. Właśnie był z Paryża powrócił i jak nowe teatralne dekoracyje był w modzie w całéj Warszawie. Młode panienki wielkiego świata płonęły z radości, kiedy do nich się zbliżał, a ładne mężatki, te prawdziwe królowe balów, wyrywały go sobie kokieteryją. Na jednym z tych balów Edward na czele pięciu lub sześciu elegantów, z lornetką w ręku obchodził dokoła salon i odpowiadając na spostrzeżenia towarzyszów uśmiéchem lub jedném słowem, zatrzymał się o parę kroków odemnie, podniósł czoło jakby z zadziwienia i utkwił wzrok we mnie. Ognie mi wystąpiły na twarz i spuściłam oczy; a gdym spojrzała ukradkiem na otaczające go grono, widziałam, jak się do nich obrócił, powiedział słów kilka i przyskoczył do mnie, zamawiając do piérwszego mazura. Zmięszana przyjęłam, zapomniawszy, żem już była zamówiona — i zgadnij przez kogo? przez ciebie, Władysławie, rzekła ze smutnym uśmiéchem, podając mu rękę. Jak tylko muzyka zagrała, tyś przybiegł wesoło do mnie w studenckim mundurzyku — miałeś lat siedemnaście. Edward stanął między mną a tobą i podał mi rękę. To ze mną ten

mazur, rzekłeś żywo, jam się zaczerwieniła i odpowiedziałam ci, żeś mnie do przyszłego zamówił. Ty ufny w naszę dziecinną znajomość i hardy zawsze, tupnąłeś nogą i chciałeś coś mówić, ale Edward, patrząc się z uśmiéchem na ciebie, przerwał ci: (kawaler nic nie wskóra, nas dwoje przeciwko panu), a w tém matka twoja zawołała: Władysiu! tyś pobiegł jéj się tłumaczyć, a mazur się zaczął. Widziałam, jakeś ze łzami usiadł przy niéj; mnie markotno się zrobiło, gniéwałam się na moje trzpiotostwo, przeczucie już coś musiało szeptać do duszy, lecz wkrótce zapomniałam i siebie i ciebie — Edward cały wieczór był przy mnie. Pan hrabia nazajutrz był prezentowany u mojéj matki i późniéj co wieczór bywał, na każdym balu mną był jedynie zajęty. Łzy zrosiły jéj jagody niezwykłym rozjaśnione rumieńcem, wyciągnęła rękę do Zawiły i ścisnęła dłoń jego z uczuciem: „O Władysławie! daruj.“

Słońce już było zupełnie zgasło i księżyc z drugiéj strony wyglądał, trząsł bladawym promieniem wśród szeleszczących liści i miasto w dole pozłocił. Nasi kochankowie stanęli nad brzegiem góry i patrząc na ubiegających się ludzi i ich cienie po światławych ulicach, słuchali, czy zbyt daleko starszych nie zostawili za sobą; ale tuż za niemi odbijał się głos Pana Raślickiego, który mocno wdał się w dysputę i zapomniał o dzieciach, może téż naumyślnie. Kiedy widzieli, że ojciec ich dogania, zakręcili ścieżką spuszczającą się z góry i zwolna dążyli ku miastu, a Anna tak daléj mówiła:

— Wtenczas, gdym mu się całą duszą oddała, Edward przez kilka wieczorów do nas nie przyszedł. Jam była niespokojna: w dzień smutna, w nocy we łzach. Uważałam, że matka podwajała dla mnie pieszczoty, a czoło jéj często chmurą zachodziło. Przeczucie nieszczęścia wiło się w mojéj piersi, jak zwiérzęta morskie przed burzą. W Niedzielę ostatków odebrałyśmy zaproszenie na bal, którego matka przyjąć nie chciała; jam jéj ze łzami prosiła: ona myśląc, że mnie rozerwie, przystała nakoniec. Nigdy tak długo, jak tego wieczora, nie stroiłam się i tak długo nie patrzałam w zwierciadło, chociaż często łzy mąciły własny mój obraz. Wre-

szcie wstałam żywo od toalety, otarłam i wychuchałam oczy, i z uśmiéchem rezygnacyi lub nadziei weszłam do pokoju matki, która już od dawna na mnie czekała. Byłam pewna, że Edward będzie na balu: myśmy dość późno przybyły, jednak mimo tłoku w oka mgnieniu spostrzegłam, że jego jeszcze nie było. Wśród walca, kiedy ledwo kilka par unosiło się w pośrodku salonu, wszedł cicho, i przechodząc zwolna, spojrzał na mnie niby niechcący. Mnie cała dusza skupiła się w sercu, cała krew' wytrysnęła na lica. On lekko się skłonił i lornetką w ręku bujając, poszedł dalej.

W tém przybiega Pani M. do mojéj matki, i spojrzawszy na mnie z ukosa, rzecze:

— Wiedząc, że hrabia Edward jest przyjacielem Pani domu, przychodzę jéj powiedziéć dobrą i niezawodną nowinę, chociaż jeszcze dotychczas w sekrecie; hrabia się żeni i bierze półtora miliona posagu. Bo téż to taki przyjemny chłopiec! Lecz cóż to Anusi?

— Jam już ostatnich słów nie słyszała; czułam, jak ścisnęło się serce, i głowa chyliła się na ramię mojéj matki.

Tu przestała znowu smutne opowiadanie Anna.

Milczenie przerwał Władysław.

— I jakimże się dzieje sposobem, że Edward dziś jeszcze nie żonaty?

— Zemsta Pani M. nie na mnie spoczęła, odrzekła Anna.

Umiała ona wytłumaczyć całą historyją narzeczonéj jego i ożenienie nie przyszło do skutku. Po ciężkiéj chorobie dowiedziałam się, że Edward chciał znowu wejść do naszego domu, i prosiłam matkę na klęczkach, aby go nie przyjmowała; poczciwa matka objęła mnie obiema ramionami, i przyciskając do serca:

— Nie, nie, nigdy, moje dziécię, odpowiedziała mi głosem pełnym boleści, i jakby się wstydziła dawnéj swojéj nieroztropności, zakryła oczy chustką i wybiegła do drugiego pokoju.

Wkrótce opuściliśmy Warszawę. Wjeżdżając w Wolskie rogatki, łzy mi się z oczu puściły: przypomniałam sobie, jak

przed trzema miesiącami wesoła i czerstwa tąż samą drogą wjechałam do stolicy; poznałam, jak mało czasu potrzeba, aby wszystko koło nas i w nas się zmieniło. Matka moja więcéj się gryzła tym wypadkiem i mojém nadwątlonėm zdrowiem, jak z początku sądzono; i drugie zapusty już ją w grobie zastały. Biédna matka, całą jéj winą było zbytnie zaślepienie w urodzie jéj córki.

— Od tego czasu nie widziałam Edwarda; w Baden spotkaliśmy go znowu; ojciec mój, zapewne przez wzgląd na jego odznaczenie się w ostatniéj wojnie, i że to już dawno temu, nie śmiał mu odmówić swego domu, ale go niechętnie przyjmował; lecz jam go widziéć nie mogła bez oburzenia. Na jego szérokiém czole, dawniéj tak czystém, dziś nieco pooraném, zdawało mi się, że hojnie rozlana jest bezczelność; a gdy zwrócił ku mnie wielkie, niebieskie oko, w którém miészka wieczna kobiéca kokieteryja, to mnie wstyd, gniéw i razem dreszcz przejmował. Dziwna rzecz, że człowiek tak płaskich uczuć, a raczéj bez uczucia, stawał mężnie do boju. Aleć nie raz się zdarza, że błahy fanfaron, nawet czasem oszust salonowy ginie śmiało w pojedynku. Oprócz tylu nieszczęść, które Edward na mój dom zesłał, może jeszcze... — tu przerwała i bardziéj smutną pochyliła głowę.

Władysław podając jéj rękę, żeby jéj pomódz wstąpić na wschody, bo już do hotelu dochodzili:

— I cóż może jeszcze, podjął upadającą rozmowę; dokończ, Anno! Jam dzisiaj cierpiał z tobą za wszystkie lata, wypijmy do dna razem ten kielich goryczy.

— Oto może jeszcze pamiątka Edwarda zatruje twoje życie i moję ostatnią pociechę!

— O nie, Anno! nie — mylisz się, ty na tém łonie odetchniesz i z moich ust napijesz się balsamu zapomnienia. Ja potrafię ukołysać twe serce i wyssać z twoich piersi ten jad, co...

— Władysławie, przerwała drżącym głosem i drżącą ręką zatykając mu usta.

— Władysławie, za wiele — a służący już drzwi na ich przyjście otwiérał i starych Polonusów stąpanie rozlegało się po wschodach.

Wkrótce po herbacie pan poseł pożegnał towarzystwo, i gospodarz odprowadził go do przedpokoju. Anna spojrzała na Władysława, ten porwał za jéj rękę:

— Bądź zdrowa! jabym cię nie mógł żegnać przy drugich, bądź zdrowa teraz — jutro nie przyjdę! Ona wymknęła się lekko z jego objęcia: — Bądź zdrów, kochany Władysławie, pamiętaj o mnie, za rok...

Zawiła ścisnął jeszcze raz jéj rękę i wybiegając, spotkał we drzwiach pana Raślickiego.

— Cóż tak śpiesznego? poczekaj jeszcze chwilę.

— Nie mogę, Ojcze; trzeba, żebyś wypoczął do podróży; oto list do matki, w którym proszę ją o błogosławieństwo i ty w téj chwili nie odmawiaj mi swego.

— Pan Raślicki go przeżegnał, łzy mu stanęły w oczach. Zawiła ucałował ręce starca, spojrzał jeszcze na Annę stojące we łzach w drugim końcu pokoju i wybiegł.

Ale nie do domu on poszedł; wzburzonym i pełnym piersiom za ciasno oddychać pod dachem; wybiegł ochłodnąć na góry i noc całą błądził po ścieżkach, gdzie przed chwilą czerpał tak hojnie z ust Anny podwójną boleść żalu i zazdrości.

Słońce weszło: Władysław stanął na wierzchołku góry, zkąd łatwo dojrzéć można było i ulice i dom, w którym Anna miészkała. Widział, jak powóz zatoczono, gonił okiem każdy sprzęt, każde pudełeczko kobiéce i kładł je razem ze służącym do powozu. Przyprowadzono konie pocztowe, serce zaczęło bić w piersi Władysława: pocztylion Niemiec postawił bicz, zapalił fajkę ogromną na krótkim cybuchu, stanął spokojnie przy ganku, oparł się o ścianę i zamyślił się. Może marzy o wypędzeniu wszystkich królików i książątek bez zryzykowania stofu piwa i pierzyny, bo był także na zgromadzeniu polityczném w Hambach. Podniósł głowę, schował fajkę do rajtroka, wziął bicz, wsiadł na konia i trzasnął parę razy, a Władysław wytężył jeszcze mocniéj oczy, chciał zbiédz z góry — zatrzymał się — „zapóźno“, tém lepiéj! tu się mogę pożegnać z tobą bez świadków, całą duszą — wszystkiemi łzami.

W tém służący wybiegł w kaszkiecie lakierowanym i otworzył drzwiczki od pojazdu. Raślicki pokazał się — za nim Anna; obejrzała się na wszystkie strony — „Szuka mnie, — myśli o mnie“, łzy zakręciły mu się w oczach, zmrużył powieki, brew' zmarszczył. Pojazd ruszył, wybiegł z miasta: on goni go wzrokiem po drodze; koń przedni, jeden po niemiecku, dobiega do góry, zwrócił się na lewo i zginął w wąwozie; za nim dwa dyszlowe i pocztylion przepadł jakby w otchłani; daléj służący na koźle — jeszcze wstążki kobiéce mignęły — i zginęły.

— Bądź zdrowa, kochana Anno, bądź zdrowa! rok cały, długi, samotny, smutny! któż wié? może on tysiąc rozlicznych zdarzeń w tajemniczym kłębku zamyka; może złote chwile wysnują się z niego, a może w żałobne rozwinie się pasmo! W jednym roku knułem zdrady i mordy; jak afrykański ogorzały niewolnik, bujałem po błoniach Mazowsza z rozwitą chorągiewką i daleko od kraju w wytartéj sukni obozów — tułałem się między obcymi.

Mazury.

Tęgi Mazur wej w pokoju,
Lec się psyda i do boju;
Znane w Polsce kosyniery,
I do boju Mazur scery;
Gdy do kosy się psyłozy,
Tnie Moskala, jak gniéw Bozy.

Pieśni Janusza.

Wśród rozległych i żyznych równin obwodu gostynińskiego na Mazowszu są położone Strzelce; wioska duża, zabudowana w jednę ulicę, długą, széroką. Chałupy pod słomą, drewniane, pobielone, gdzie niegdzie z wystawami na kształt małych ganeczków. Od miasta powiatowego Kutna, należą-

cego do Wojewody Gliszczyńskiego z jednéj strony, a z drugiéj od Gostynina, sławnego zamkiem, gdzie siedzieli Carowie moskiewscy, mnóztwo dzisiaj pieszych ludzi, wozów i wózków dąży do Strzelec. Kurz, jak dwa ogony wioski, wznosi się po bitym gościńcu i gubi między domami. Wszyscy podróżni zatrzymują się w środku ulicy, gdzie jest przerwa chat i z jednéj strony kościół murowany z wieżą, obszerny i porządniejszy jak zwyczajne po wsiach kościoły; z drugiéj drewniana plebanija, z ogródkiem pełnym warzywa i bzu rozkwitłego. Na smętarzu gwar, witania kumów, narady, nowiny; bo jak świat piękny po miastach na balach i wieczorach, szlachta polska na jarmarku w Łowiczu, a litewska i ruska na kontraktach, tak chłopki cieszą się i radzą, zdybując się na odpustach, a w Strzelcach właśnie był wielki odpust na święto Śtéj Trójcy. Już kilka powozów i bryczek przybyło; szlachta wysiadła do plebaniji. Do dworu nie idą: we dworze nie dziedzic miészka, ani Polak dzierżawca, ale Niemiec, komisarz Grafa pruskiego, który w podarunku klucz strzelecki dostał od swego króla, kiedy ten, jak dzisiaj Moskal, rządził tą częścią kraju naszego, i polskie dawniéj dobra Niemcom rozdawał. Owę hojność, jak widzimy, nie Mikołaj wymyślił; i wielki bohatér Napoleon umiał także, i to na większą jeszcze skalę, z okoliczności korzystać. On miasto Łowicz z przyległościami Davoustowi darował, który tak się był do nowych braci szczérze przywiązał, że w jednym domu, gdzie był uczciwie przyjęty, bił sam furmana biczem po oczach.

Do plebaniji się więc szlachta zeszła, ale widać tylko kilku starców i kobiéty z dzieciaczkami; mężczyzni średniego wieku, pamiętający pruską edukacyją i owę sławną ritterszulę, czytający gazety hamburskie, nie lubią odpustów i nabożeństwa; co młodzież? — Ta we Francyji, lub Sybirze. W kościele organista i dziady uwijają się z przygotowaniem do wielkiéj Mszy: ołtarz Śtéj Trójcy w kwiaty w dzbaneczkach rozstawione ubrany, i świéce zapalone; po konfesyjonałach księża Reformaci ze Szczawina spowiedzi słuchają, bo u nas zakonnik najlepszy spowiednik. Na smętarzu jeszcze

gwar słychać; kramiki porozkładane z nożykami, wstążkami i taśmami różnego koloru, z obrazkami świętych patronów i patronek, z paciorkami szklanemi, z pierścionkami i obrączkami po groszu. Mazury przechodzą się wpośród tych bogatych towarów w siwych sukmanach, w spodniach drylichowych lub płóciennych zapuszczonych w buty krótkie po łydki, w czapkach z baranków siwych chociaż gorąco; gdzie niegdzie jednak widać okrągły kosmaty kapelusz. Szyje ich gołe, a koszule czerwoniastemi faworkami zawiązane; włosy z tyłu na plecy spadają, z przodu krótko i równo na czole przycięte. Dzielny lud, zdrów, hoży, rosły i śmiały, taki jak o nim od wieków świadczą; zrodzony do pługa i broni — godni potomkowie Mazurów kapinowskiéj puszczy; usiadszy w środku staréj Polski, czarne bryły ziemi lemieszem krają, pochopnie i gracko tańczą. Mniéj lekcy, mniéj swawolni jak Krakowianie; mniéj dumni i hardzi, jak chłop od Kalisza, Poznania i Kujawiacy, gorzéj od wszystkich mówią, ale nie gorzéj się biją. Przez środek ich ziemi Wisła jak droga płynie, po niéj Małopolanie i sandomiérka wolno wędruje i dęby się pławią. W Warszawie, Wyszogrodzie, Płocku witają bracia od Krakowa Mazurów; we Włocławku zabierają Kujawiaków po drodze; i razem z niemi puszczają się ku morzu, rzucić na brzeg Bałtyku pożywienie zgłodniałym Anglikom i Holendrom, i wracać z pieniędzmi i wódką gdańską do domu.

Tak było niegdyś — dziś gorzéj — smutniéj. Liczna i burzliwa mazowiecka szlachta rej wodzi w Polsce, i na wodzy jeszcze trzyma bogaczów litewskich i ruskich, jak dawniéj wielkopolskich; ona to rzuciła kolonije na całą część wschodniéj Polski, i język i obyczaje tam narodowe zaszczepiła. Dzisiaj zdrobniała, ale dumna i nie podejrzliwa, kocha bogatych braci, też same często noszących imiona, temiż samemi pięczętujących się herby. W jedném Mazowszu dotychczas ubodzy potomkowie Wojewodów, Kasztelanów, Starostów rawskich, czerskich, sochaczewskich, nie rozumieją różnicy między prostym szlachcicem a panem.

Lecz wróćmy się do naszych chłopów, zgromadzonych

na odpust w Strzelcach. W jednym kącie cmentarza jest dość wzniosły pomnik familii Lesiewskich: tam zebrała się kupka wieśniaków i o jakiéjś ważnéj rzeczy rozprawia, bo ich oczy i ich gesta pokazują, że nie o gospodarstwie, ani o powszednich biédach. Siwa czapka starca ciągle w ruchu, i zielone wstęgi, co wiążą w tyle jéj dwie połowy, ciągle szeleszczą; on głową kiwa i ręką w takt macha, przeginając wolno, jednostajnie wysoką postawą, widać że coś dowodzi, a młodzież go z uwagą słucha, jeden tylko Mazur średniego wieku, krępy i czerwony, innego jest pewno zdania, bo do niego starzec najwięcéj gesta swoje stosuje, a ten głową kręci, czasem z mocném machnięciem ręki odpowié, odwróci się do połowy — jednak słucha daléj.

— Frącku! (rzekł stary Bartek Káczór) wy zawse spsycni jesteśta, a dobréj rady słuchać nie chceta; niech parobcáki idą bić się z Moskálem, miasto cekać, póki im łbów nie postzygą, jak oto mojemu wnukowi.

— Ba i ba, wy głupstwa gádáta, stary Bartolu; ze jego wnuka Moskáliska zabrali, to juz myśli, ze zádnego parobcáka we wiosce nie zostawią; a któzby na chlib orół, i ślachta na to nie zgodzi się.

— Co wy o ślachcie plecieta, Frącku, wy nie znáta Moskáli; to wam się wsyćko zdaje, ze to tak będzie jak wej za Prusáka, abo za Królestwa. Spytajta się nás starych, co to pamiętáma kościuskowskie i psedkościuskowskie i konfederáckie casy, co widzieliśma, jak psiáwiara Suworów wyznął Pragę. Já wej tak jakby dziś byłem w Warsiawie z jęcmieniem; dyć to sądny dzień był, miły Boze! bodájbym go nigdy nie widziáł, bodájby ocy moje nie widziały, co to stwozenie Bozkie wyrábiá, jak się wściece, jak się jedno na drugie zaweźmie; psez tzy Niedziele spokojnéj nocy nie miáłem, tylko mi się zawse wydziwiało we śnie — ta łuna, te kzyki, te kobiéty pobrocone i dychające jesce, co je Wisła jak belki, kiedy się pas dzewa rozplące, do Gdáńska pławiła; te niewiniątka, co je Kozácyska jak jabłuska na pikach nosili i obrácali. Myśláłem sobie: abo niech się już Pán Bóg i Matka Bozká Częstochowská zlituje nad biédną

Koroną Polską, abo niech wej mi zycie zabieze, bo mi świat nie miły z tą ceredą zbójów Moskáli; odeckniemiá nie miáłem, póki wej nie posedem łomocić tych psiawiarów. Co wy mnie plecieta o harmátach? Jak Mazur abo Krakus tnie kosą, to nie chybi, a jak Moskál strzeli, to het gdzieś Pán Jezus kule poniesie, ledwo dziesiątá trafi. Ale bo to zawdy Polák mądry po skodzie: i wy będzieta beceli, będzieta beceli, chłopáki, pod pułkami moskiewskiemi, jezeli siedziéć w domu będzieta z założonemi rękoma. Mnie zandarmisko dziś z rana sepnęło do ucha, ze w nocy będą łapać parobcáków na rekruta! oj rusájta się, rusájta, chłopáki, bo źle będzie. Zeby się chłopstwo wzięło scyze, toby zgnietli tych juchów do scętu: abo to małá Polska od Gdáńska áz pod święte miasto Kraków, i od Swábów áz tam het gdzieś pod Kozácyznę, a i pies śmiały na swoim śmiecisku; cyć to wej tylko wykzykiwać będzieta: a bidać wam Mazury, Moskál nás dze ze skóry? — To się nie dájma, do licha! Ten młodziuch, co wás namáwiá, to jakiś łebski chłopák; i syn pani Zawisyny z Soboty takze chłopów w swoich dobrach zbiéra; kiedy się paniątka w śukmany poobłócyły, to się i wy nie ociągájta. A jezeli tacyśta tchóze, ze nie pójdzieta, to niech wás Bóg má w swojéj Bozkiéj opiece, já stary pójdę i załomocę jesce ze tzech za mojego wnuka, co go wzięli na takiego hycla jak oni sami, styftować.

— Bajda stary! bajda! kosiska udźwignąć nie moze, a chce mu się na wojácką.

— Frącku! (przerwáł Káczór tak głośno, że mimo wrzawy na cmentarzu, spojrzeli się w jego stronę, a stary włosy w tył zarzucił jedną ręką, a drugą jak miecz wystawił i potrząsał) Frącku, mijta sumnienie i nie bałamućta chłopáków, a wy, jeśli nie pójdzieta, to bodájby wás mazowiecká ziemia długo nie nosiła, bodájby wás Moskáliska batogami zatłukli, kiedy wej i o siebie dlá tchózostwa nie dbáta i o Koronę Polską.

— Pójdziema, gospodázu, pójdziema, niech się wolá Bozká i Matki Bozkiéj Częstochowskiéj dzieje! wykrzyknęli parobki i jeden z nich dodał: Já juz kosisko wcora w nocy

naostsułem, bo ten panic gádáł, ze ślachta dá nám wolność, jak Moskáli wypędziwa.

Wtém ostatni odgłos dzwonu lud wierny na mszą zwoływał. Bartek siwą czapkę poprawił i szedł przygarbiony ku wielkim drzwiom kościoła, a młode Mazury ciągnęły za nim, przypatrując się staremu, jak szerokie i pomarszczone oblicze jego stygło powoli, i oko, rzuciwszy z pod siwych brwi kilka ostatnich promieni zapału, zaszło na nowo mgłą starości, którą ogień na chwilę rozpędził; Frącek tylko szedł z daleka.

Kościół tak pełny pobożnego ludu, że ledwo się wcisnąć mogło dwóch lub trzech, reszta na smętarzu została i z odkrytemi głowami Mszy św. przez otwarte drzwi słuchała. Stary pod samym chórem ukłąkł, oparł się o ostatnią ławkę, dobył koronkę, zagarnął włosy z po nad uszów i zarzucił je w tył, a te w białych kędziorach rozwiły się po karku i po siwéj sukmanie. Schylił łyse i poorane zmarszczkami czoło, ustami wolno ruszając, przebiérał paciórki i modlił się za polską ziemię, krwią i potem jego zlaną. W ławkach różne kolory kapeluszów i wstążek grają z promieniami słońca; białe chustki i czerwone okładki książek od nabożeństwa błyszczą w rączkach szlachcianek. Wśród téj pstrocizny, gdzie niegdzie widać głowę siwą starca i jeden tylko garantowy kontusz pana Czajkowskiego z Maliny.

Ksiądz dziekan z Gostynina śpiéwa Mszą świętą, a proboszcz z Głogówca już klęczy w ambonie i gotuje się lud pocieszać słowem Bożém. Wstał, dobył drukowanego papiéru i zaczął czytać:

„Z rozkazu gubernatora wojennego Województwa mazowieckiego wszystkim proboszczom zaleca się, aby ogłosili z ambon w swojich parafijach, iż zjawili się w różnych okolicach Królestwa ludzie należący do ostatniego buntu przeciwko władzy Najjaśniejszego Cesarza i Króla, którzy przez zbrodnicze namowy uwodzą łatwowiernych i nieświadomych i prowadzą na rozboje po lasach i publicznych drogach. Ktoby takiego włóczęgę złapał lub głowę jego dostawił, będzie miał nagrody rubli trzydzieści itd.“

Po skończeniu owego obwieszczenia kaznodzieja przeżegnał się, przeczytał Ewangeliją, przeżegnał się raz jeszcze, i zaczął mówić o zbrodni Judasza, który zaprzedał Jezusa za trzydzieści srébrników; a rozwinąwszy myśl swoję dowodził, jaką niegodziwość popełnia ten, który dla zysku brata swego ściga i w ręce jego zawziętych nieprzyjaciół oddaje.

Po kościele Bartek, przechodząc koło Frącka, szepnął mu do ucha:

— Słyseliśta, Frącku, co ksiądz probosc z Głogówca zapòwiadáł, zeby wás téz łapa nie poświzbiała!

— Cyśta się wściekli, Bartolu? jescem się psecie djábłu nie zapzedáł, zebym miał kogo na batogi moskiewskie wydáwać. Ale zeby wás, stary, po łydkach połechtali, toby mieli rozum, za to, ze parobcáków buntujeta.

— Róbta co chceta, Frącku, ze mną, ale nie gubta młodych — i poszedł na wieś napić się po mszy z kumem, co z Osin na odpust przyjechał.

Ciemno, noc bez miesiąca lecz pogodna; tysiące gwiazd mruga na niebie, jakby wołały na ludzi: Chodźcie tu, chodźcie! tu wam będzie lepiéj, tu ciągła pogoda i nie ma burzy, tu ciągły pokój i nie ma cara żadnego — tu wasi królowie, Piastowie i Jagiellony, siedzą rzędem koło Przedwiecznego tronu i śpiéwają chwałę jego, a między niemi królewicz Kazimiérz bez korony najwyżéj stoji i woła: Święty, święty, święty Panie Zastępów, zlituj się nad Ojczyzną moją; patrzaj! kościoły tam Twoje otwarte i lud ciągle się ku Tobie modli, a ziemia polska zbroczona krwią braci mojich, a po lasach Litwy gniją ich ciała; tam zakonnicy zamknięci w murach i po puszczach schylają korne czoła i karcą grzészne ciało wołając do Ciebie: Miłosierdzia, miłosierdzia! dla nas i dla braci naszych! Wysłuchaj ich, Panie Zastępów, a zlituj się nad Ojczyzną moją!

Kiedy niekiedy gwiazda spada na ziemię, jak jasne oko anioła, a jednak żadnéj siostry nie braknie na niebie. Przed plebanią czekają bryczki księży z okolicy i wóz drabiasty po Reformatów ze Szczawina; przed karczmą mnóztwo Mazurów się kręci, pełno wózków wysłanych słomą stoji. Jeden próżny

choć zaprzężony; dwa małe koniki czekają spokojnie, póki gospodarz nie pożegna się z kumami i na nie nie zawoła: hetta, hetta, wio! W drugim zasiadają dwie dziewoje, chychoczą się i jeszcze radeby zostać, ale matka nie chce, bo skoro świt trzeba iść grabić siano na łąki; lecz ojciec zatrzymał się i dotąd w karczmie gości. Matula z wozu woła:

— Maćku, Maćku! a dyć chodźta, jak się do karcmiska dostanie, to go juz wygnać nie mozná — a młoda Baśka rada, bo tymczasem parobeczek zaszedł z drugiéj strony woza i koperczaki pali. Trzy okna karczmy świécą jak trzy latarnie, a wewnątrz muzyka rznie obertasa. Chłopaki się rozhukały: popijają, częstują kochanice, hulają, a jak się puszczą, to jak młynki się kręcą od lewego na prawo i pokrzykują hu! ha! Często Jasiek w tańcu cmoknie Kaśkę, a Kaśka: „adyć dájta pokój, bo ludzie patzą!“ Na ławkach za stołem chłopki w czépkach siedzą, a głowy ich chustkami wpół poprzewięzywane; dziéwki nie noszą czépków, tylko długie warkocze i wstęgi wymykają się z pod chustek, unoszą i podskakują w tańcu.

Stary Bartek Kaczor siedzi w końcu stoła, szklanica przed nim stoji; podparł się łokciem, patrzy się, uśmiécha. Przy nim zasiadł młody parobek; włos czarny spada mu z tyłu na plecy, ale z przodu nie chce po chłopsku do czoła przylegać, jakby był przyzwyczajony jeżyć się w górę. Czasem parobek się myli, i zamiast go przygłaskać, zadrze go do góry, i znów szybko na czoło przyczłapi. Szyja goła, ale biała, mocno się od *czerwoniastego faworka* odbija. Ręce, chociaż posmolone, jednak palce proste i równe, a paznogieć biały. Nie tańczy, i jedna szklanka piwa długo przed nim stoji; gada ze starym czystą wymową i zcicha. Czasem młody parobek przybiegnie do niego, ten mu poda rękę i wnet ją schowa za pas czerwony na granatowéj sukmanie. Maciek z końca wsi przysunął się do nich: „Wy z Kujaw jesteśta, psyjacielu“ mówił do młodego chłopa, — „Z Kujaw“ odpowiedział za niego Bartek Kaczór.

— Já to zaráz zgád, bo to i w gránatowéj sukmanie, i gádá jak jakie paniątko, nigdy Mazura nie zatnie. Nie

gniéwajta się, bracie, ale te Kujawiáki to straśnie juchy zacepne. Psesłego roku, jadąc z psenicą do Włocławka, stanąłem niedaleko kowála, w jednéj karcmie w borku, a tam było Kujawiáków z dziesięciu. Jak mnie bestyje opadły: A to ślepy Mazur, a to po narodzeniu jak pies siedem dni nie widzi; to cuda juchy wyscekiwały, a wyscyzały się, i kluski jak jędory łykáły; do tego psenne, tak do psenicy znárowione. Popiło to się bestyjstwo i posło w drogę, wyksykując niestwozone zecy; tylko jeden zostáł i ciągle pzekomázáł się ze mną; jednegom się nie báł, jak złapę za łeb, ten do stołka, já pzez okno po kłonice do woza, jak zacne łomotać — oj dáłemze mu tyz frycówkę nie lada, i za drugich.

Kiedy stary Maciek plótł trzy po trzy, wszedł do karczmy żandarm, i brzęcząc pałaszem przysunął się do stołu szynkarki, pokręcił wąsa, i łyknął pół kwaterek wódki. Kujawiak drgnął cały i schwyciwszy Kaczora za połę, rzekł mu szybko do ucha: „Zginęliśmy, ja znam go, i on musiał mnie poznać", lecz Bartek odszepnął mu: „Nie bójta się, panicu, to dobre cłecysko, i jemu Moskále nie po myśli; ale ostrozność nie zawadzi; niech panic idzie do mojéj chałupy, tam tylko mojá kobita jest, zrestą wsystko w karczmie, a já zaráz się do wás psywlokę."

Kujawiak wstał, i wysunął się z izby między tańczącą młodzieżą; we drzwiach rzucił jeszcze wzrokiem na żandarma, i widział, jak ten się odwrócił od stołu i uważał go pilnie.

Przyszedł pod chałupę, spojrzał w okno, cicho — łuczywo pali się na kominie i słabo izbę oświéca; przy kominie stara chłopka na ławce siedzi i drzémie. Zadzwonił w szybę, baba podniosła głowę: „Kto tam?

— Swój, chciałbym z Bartkiem pomówić.

— Bartek w karcmie.

— On tu zaraz przyjdzie.

Drzwi skrzypnęły od izby, potém od sieni, Kujawiak wszedł:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków; a to wy, psyjacielu, ja myślałam,

ze wy w karcmie z Bartkiem; musiał się stary zapić psy odpuście.

— Nie, on tu zaraz przyjdzie.

Usiadł, obejrzał się do koła: mała izdebka, w rogu duże łóżko, a jak ruszyć, grochowiny w niém chrzęszczą; w drugim kącie szafka z półkami, na nich pełno tygielków, garnków, misek, miseczek i innych gospodarskich sprzętów; pod szafką ceber z wodą. Okienko jedno, malutkie, dwie w niém szyby wybite, zalepione papiérem poplamionym; podłogi nie ma, tylko glina ubita jak na klepisku, gdzie niegdzie doły powydeptane; w sieni prosię parę razy kwikło, i gąsior gęgnął. Coś brzękło: Kujawiak uszy nadstawił, jak koń kiedy wilka poczuje, jak zając kiedy ogar zaskomli. Bartek zadzwonił w szybę: „Otwórzcie, matko!“ Przebrany chłop zostawił pistolet w kieszeni, po który już był sięgnął. Kaczór z żandarmem wszedł do izby.

— Panie Poruczniku Zawiło, a pan porucznik co tu robi?

— To ty, Galik? żandarmem u Moskali? wykrzyknął Władysław, porywając się z miejsca. — Bierz mię więc i wydaj, zarobisz trzydzieści rubli; ja jestem jeden z tych rozbójników, co ich łapać i wiészać każą.

Żołniérz rzucił się na kolana, a szabla rozpuszczona zabrzęczała po twardéj glinie.

— Poruczniku! niech nagłą śmiercią padnę, jeślim się zmoskalił, jeślibym na szwadron tych hyclów nie uderzył, żeby porucznika obronić; ja sto razy i siebiem i świat w żywe kamienie przeklinał, że mi na ten koniec przyszło. Moskale mnie w lazarecie zastali, i ten szelma wachmistrz z naszego szwadronu namówił mnie potém do żandarmów. Ale niech się teraz wola Bozka dzieje, poruczniku! ja pójdę z porucznikiem na koniec świata.

Klęczał u nóg Zawiły, ręce złożył i patrzał na swego dawnego dowódzcę jak na świętego w ołtarzu, a łzy jak groch spadały na lica pomarszczone, i ściekały po rudym, zawiesistym wąsie. Władysław brew zmarszczył, długo mu się przyglądał i podniósł go nareszcie:

— Co tu robisz w téj wiosce? zapytał.

— Mnie Moskale wysłali na zwiady, a skoro świt, pluton dragonów z Kutna przyjjdzie połapać młodych parobków na rekruta; po odpuście spodziéwają się łacniéj ich śpiących w chałupach przycłapić.

Władysław pomyślił trochę:

— Galik! ty zostaniesz żandarmem, tak możesz być nam więcéj użyteczny.

Żołniérz machnął ręką prawą od ucha ku ziemi, na znak, że pójdzie z nim; ale porucznik powiedział surowo, że tak chce, i żandarm przystał.

— Kaczór, ty idź do karczmy i powiédz parobkom, że o północy czekam ich w lesie za Sierakowem z kosami, niech i dla mnie jednę wezmą. Galik hulaj w karczmie, udaj, żeś pijany, a potém rób co chcesz — tylko pamiętaj o mnie i o Polsce.

Żandarm całował mu rękę: — Ej, szkoda, poruczniku, że nie chcesz mnie wziąść z sobą; przypomnielibyśmy Moskalom nasze dawne szarże.

Północ wybiła, w karczmie muzyka rznie obertasa, i krzyki hu! ha! rozlegają się po wsi. Na świecie wicher powstał, chmury się zebrały, i ogniste wstęgi krzyżują się po niebie; zgarbiony Kaczór z kijem w ręku człapie przy Władysławie. Piorun runął nad ich głowami, i wiérzchołek rozsochatéj gruszki zwalił z trzaskiem na pole; rozdarte drzewo białém zaświéciło próchnem. Stary wyrzekł: — A słowo stało się Ciałem! — Władysław ciężko westchnął. Przychodzą pod Sieraków, psy zaszczekały i żandarm w płaszcz obwinięty wykazał się ze wsi, stępo krocząc.

— Kto idzie?

— To my, gospodarze ze Sierakowa, wracawa z odpustu, odezwał się Bartek, uchylając siwéj, wodą przesiąkłéj czapki. — Żandarm minął. Przeszli więc po błotnistéj grobli; woda szumi w rowach między domami a drogą; w chałupach ciemno, we dworze u pana Antoszewskiego jedno światełko miga. Władysław westchnął: — Znam go dobrze, towarzysz mojéj młodości, dobry człowiek — i dążył daléj. Na

szarém niebie szlak boru się czerni; już weszli w krzaki, co na straży stoją — zatrzymali się. Stary ciężkim głosem odezwał się: hop! hop! Władysław poprawił, i kilka głosów odpowiedziało hop! hop! hop! kosy zabrzęczały, i óśmiu Mazurów pokazało się w przemokłych sukmanach i czapkach; wiatr igra po ich piersiach i karkach gołych i rozwiéwa długie włosy.

— Stary Bartku! — pobłogosław'.

Kaczór wyprostował się, podniósł ciężką rękę, przeżegnał — zgarbił się napowrót i dłonie złożył. Jaki ksiądz? w jaką drogę wyprawia?! Wyciągnął ramię do Władysława, uściskał parobków. „Nad rankiem będziecie w gostynińskich borach, niech was Bóg prowadzi“ i wrócił, człapiąc po błocie umrzéć do wsi, gdzie się zrodził. Zawiła z Mazurami zginął w lesie.

Zawisza.

Przysłowiem było bojów towarzyszy;
Polegaj na nim, jakby na Zawiszy.

Julian Ursyn Niemcewicz.

Srébrno-złotawém okiem jutrzenka ciągnie nad puszczą; liść gra lekkim poruszony wiatrem; kiedy niekiedy Mazur stojący na straży zawtóruje mocniejszém westchnieniem.

— Śpisz, Zawisza?

— Nie, całéj nocy nie spałem; na chwilem się tylko zdrzémnął i brzydki sen zbudził mnie natychmiast; zdało mi się, żem błądził po Miodowéj ulicy w Warszawie i przypatrywał się kościołowi Kapucynów, gdzie spoczywa serce Sobieskiego; a wtém Moskal schwycił mnie za kołniérz, jam pchnął sztyletem, Moskal padł na ziemię i straszliwie jęknął. Boże! potomek Zawiszy Czarnego marzy o walce na sztylety! Wstań, wyjdziem na brzég boru, nad rankiem nie ma jeszcze

nikogo w polu; zresztą tylko brata chłopa spotkać możemy, a ten nam nie zaszkodzi. Przywitamy matkę Wisłę z daleka i przypatrzymy się Płockowi; trzeba nam się naradzić ostatecznie.

Wyprostował się wysoki, smukły Artur Zawisza; Władysław poprawił sukmany, zarzucił w tył włosy, obejrzał pistolety i schował do kieszeni. Pod borem powiéwa biaława mgła nad łąkami, dalej czarne i długie Radziwie budzi się na odgłos przewoźników i podróżnych; z daleka pod górami szumi matka Wisła, a z drugiéj strony zagląda na doliny Płock dwoma wieżami wspaniałéj katedry, gdzie od siedmiu wieków spoczywa Krzywousty. Dopomóż Mazurom w dzisiejszéj potrzebie, dzielny Bolesławie! tyś ich kochał, na ich ziemi zasnąłeś. Dwudzieste pokolenie, nieodrodne ciebie, wzywa twego ducha: dopomóż! dopomóż ludowi, któregoś wsławił po całéj Słowiańszczyznie i Niemczech! Westchnęli nasi młodzieńce.

— Tam, Władysławie, rzecze Zawisza, nie dawno skakałem na mojim kasztanie w jasno-niebieskim płockim stroju, tam mnie kraśne Płoczczanki żegnały ze łzami wyjeżdżającego na boje. Dziś Moskwa w staréj stolicy Mazowsza broji, a ja włóczęga z daleka ją witać muszę.

Wielkopolanin przypatrywał się miastu, a Artur pokazywał mu rozjaśniające się jedna po drugiéj wieże.

— To szkoły pojezuickie, mówił, to wysoka wieża misyjonarzów, to stary kościół dominikański. W téj stronie miészkała ładna pani N., którą jeden z mojich kolegów ślepemu Giełgudowi odmówił.

Jutrzenka zaczęła topniéć, a słońce ogromnym, złotym kręgiem wyziérając z za góry, powoli i powoli dźwigało się nad wieże rozliczne miasta. Promienie pozłociły wały Wisły spokojne, jak charakter polskiego ludu w pokoju, a z licznych domów dym prosto puścił się do góry. Naładowane wozy ciągną ku brzegowi i mnogie statki zaczęły bujać się po rzéce. Nakoniec dzwony uderzyły i głuchy ich dźwięk przeciągnął się w lasach.

— Pokój, pokój, zawołał Władysław, sądziłbyś, że to

czasy Kazimiérza Wielkiego, kiedy kraj cały po długich bojach zakwitnął i błogie szczęście owionęło Polskę; a jednak w każdą duszę zaryła się boleść, a nad każdym karkiem wisi miecz wroga i postrach. O jakżebym w téj chwili chciał wstrząsnąć tę ziemię aż do kości Bolesława, i jak wicher po Wiśle przeleciéć po całéj krajinie, i jak Aniół dnia ostatecznego wołać z góry: Wstawajcie żywi i umarli! oto dzień sądu między Polską a Moskwą! Wychódź z grobu, Bolesławie i Batory, ty nas prowadź pod Psiepole, a ty na Wielkie Łuki i Smoleńsk!

Zawisza patrzył z zachwyceniem na Władysława; ubiór chłopski dodał powagi postawie i wykazał piękną głowę w całéj jéj ozdobie. Granatowa sukmana po kostki, czerwonym pasem nad biodrami ujęta, szyja goła, twarz wygolona, otwarta jak myśl jego w téj chwili uniesienia, włos kruczy chwiał się rozwiany po karku, jak trudny los jego na wadze przeznaczenia. Wąs długi po obu stronach ust spadał, a gdy przestał mówić, brew' zmarszczył, usta nieco wystawił i spojrzał surowo i ognisto w oczy Zawiszy. Spojrzeli sobie w dusze i podali ręce, — chwila zadumania.

— No, Zawiło, oddajmi twojich Mazurów pod dowództwo; pociągnę z nimi pod Włocławek, przeprawię się przez Wisłę w Płockie, i zapuszczę się w Skępskie lasy. Kalikst Borzewski w Lipnowskiém już rozpoczął; obydwa ruszymy całe Mazowsze po prawéj stronie Wisły. Ty idź w swoje strony, masz tam pełno znajomych i krewnych, zresztą Wielkopolska, a szczególniéj Kaliszanie, nie byli nigdy ostatni. Winnicki działa w Kujawach, a Szalmierscy i inni od Częstochowy i Piotrkowa; tak cały kawał Wielkopolski, osaczającéj okolice Mazowsza, będzie w ruchu po lewéj stronie Wisły. Krakowskie i Sandomierskie przez tych co z Galicyji weszli pobudzone — Bogu nadzieja, nastraszym Paszkiewicza w Warszawie.

Kazali się zebrać Mazurom; dwudziestu pięciu stanęło w liniji, chłopy jak dęby, kosy błyszczą stercząc nad głowy, z czoła patrzy hardość, ale nie zaglądaj w oczy — tam gra niepewność i tęsknota. Zawiła oświadczył Strzeleckim Ma-

zurom, że ich oddaje pod dowództwo Zawiszy, i że sam dla ważnych okoliczności ich opuszcza, ale że niezadługo zapewne się obaczą. Smutne Mazury pożegnały Władysława; już trzy dni trwała znajomość, a trzydniowa znajomość w trudnych okolicznościach jest stara.

Pod skwarném słońcem nad Wisłą palą się piaski; daléj ku lasom żółtawą zielonością połyskują smugi, pod samym borem ciemno zielony pas w cieniu się kąpie — trzecia godzina z południa. Zawisza spoczął pół mili od Włocławka, rozstawił straż, oddał dowództwo jednemu Mazurowi z Soboty, sam przebrał się i poszedł na zwiady do miasta. Szaraczkowy gruby surdut, na szyji bawełniana chustka w zielone kratki na wysoką formę ze szczecin zwinięta, kamizelka w jakiś dziwny deseń z prostym kołniérzem, otwarta również jak i koszula, a słońce pali gołe piersi; kańczug w ręku, skórzany kaszkiet na głowie — istny kujawski podstarości.

Wyjrzał z boru: jak pod Płockiém łączki, zboże, daléj ogrody, żółty piasek i széroka Wisła świéci zwierciadlaną twarzą, na chwilę się kryje za miastem i znowu wspaniale wypływa. Nad czerwoną dachówką małych i wyższych domów kilka wież w górę wytryska, a nad całe miasto olbrzymim kształtem dźwignęła się czarna katedra i bogatemi połyskuje krzyżami; miedziany grzbiét wyciągnął się w poprzek i czerni się długim, szérokim szmatem w powietrzu. Kawki ponurém skrzydłem z mnogich dziur wylatują i wracając giną, jakoby w paszczy olbrzyma. Zawisza obejrzał się, rączym krokiem dobiegł do gościńca i wolno potém ciągnie ku miastu. Minął klasztór Roformatów wszedł w długą, czystą, ale cichą ulicę, upuścił kilka poprzecznych i zbliżył się do katedry. Zegar w ogromny dzwon uderzył czwartą; nad głową krakają kawki. Zawisza obszedł na około kościół, otworzył małe drzwiczki z boku; zabrzęczała podkówka po marmurze, brzęk odbił się w głębi rozległéj świątyni.

Cicho — tylko ksiądz jeden modli się w pobocznéj kaplicy; to kanonik Jasiński, brat sławnego jenerała. Zawisza zna go, ale nie śmié zaczepić; stary wstał, wolno przeszedł koło niego — nie spojrzał. Na środku błyszczy żółty krzyż,

kilka wysmukłych świéc jarzących stoji koło niego na straży; przez nie jak przez kratę widać w głębi wielki ołtarz i dwadzieścia cztéry stal kanonicznych; pod chórem lampa się pali, po licznych kaplicach klęczą prałaci i wyciągają się w zbrojach Wojewodowie kujawscy. Zawiszę dreszcz przejął, nie jedna kropla krwi tych starych Polski mężów płynie w jego żyłach; ukląkł mimowolnie pod filarem, pochylił czoło i mały paciérz zmówił. Czy był nabożny, czy nie? nie wiémy; ale ponura katedra i surowe twarze dawnych bohatérów polskich obudziły w piersiach modlitwę. Wyszedł, po głowie uwija się myśl błędna, w sercu ocknął się smutek; lecz dwudziestoletniego młodzieńca jeden odłam starego muru zaduma, jedno błyśnięcie czarnego oka w nim żądze zapali. Wolno kroczy, w powietrzu igra harmonija dziewiczego głosu, wprawna ręka poruszyła klawisze fortepiann i dźwięk stron wionął po cichéj ulicy. Zbudził się Zawisza i powoli przysunął się do żółtéj o jedném piętrze kamienicy. Muzyka na dole; spojrzał w okno, promienie oka odbiły się o polerowane szyby, lecz nie przedarły się wewnątrz domu.

— Żeby się tam dostać można! ale jak? w szaraczkowéj kapocie, z bizunem w ręku?

Spojrzał na drzwi, uśmiéchnął się czytając napis: *Friedrich, kupiec winny* — niżéj — *trzyma bilard i piwo marcowe.* Wszedł do sieni, muzyka ustała i czarnobrewa dziewica wybiegła; kibić wysmukła, krzyżyk buja około śniéżnéj szyji, krucze włosy sztucznie ułożone, koszykiem unoszą się nad głową.

— Czybym nie mógł napić się piwa?

— Idź wasan na bilard, tam dadzą co wasan rozkażesz, odpowiedziała wskazując na drzwi poboczne, i lekkim podskokiem, jak młoda sarenka, wybiegła tyłem na ogród.

Na bilardzie dwóch Niemców stawia kije, markier maże gąbką kréski na tablicy, przy oknie siedzi zadumany, mały, szczupły, w okularach ze cztérema zielonemi szkiełkami pan domu. Niemcy wyszli, markier postawił na bocznym stoliku butelkę piwa. Ktoś klamką ruszył, Zawisza podniósł oczy; może czarnobrewa dziewica. Drzwi się otworzyły — to dwóch

ceremoniujących się; po długiéj sprzeczce wszedł naprzód pięćdziesięcioletni mężczyzna, w granatowym fraku, białych spodniach, z kapeluszem w ręku; za nim ciężkim krokiem wtoczył się mąż wysoki, barczysty, w barakanowym zielonym surducie, w spodniach żółtych, w kamizelce białéj, która garbiła się na piersiach zachodząc na brzuch potężny; po brzuchu bujał się złoty łańcuch, kluczyki i pieczątki, na palcu błyszczał krwawnikowy herbowy pierścień, przy dziurce od surduta parę wstążek. Twarz rumiana, zmarszczkami sześćdziesięciu lat poorana, włos siwy, znacznie przerzedzony na czaszce, oko bure wyglądało surowo z pod gęstych brwi; a kiedy go przymilił, grały w nim przyłaszenie z chytrością kocią...

— Jenerale, rzekł piérwszy, wypijemy buteleczkę wina.

— Dobrze, jeżeli łaska Pana Kasztelana.

— Ej, dajże pokój, Jenerale, nie zaszczycaj mnie tym rewolucyjnym tytułem. Panie Friedrich, każ nam dać butelkę reńskiego wina.

Mały Niemiec wstał wolno, zawołał: — August, August! — a kiedy mu powiedziano, że chłopiec wyszedł, wyciągnął rękę, namacał krawędź bilardu i tak trafił do drzwi: Kasztelan daléj mówił:

— Rewolucyja zastała mię posłem, trzeba było na sejm jechać; ci zapaleńcy myśleli, że ja ich jestem duszą i ciałem, i w końcu zrobili mnie senatorem. — A cóż było robić, musieliśmy przez jakiś czas ich piosnkę śpiéwać; i ja prosiłem ich o komendę, ale mi nie dowierzali. — Te wisusy pijary i kilku profesorów Uniwersytetu tak młodzież byli rozbisurmanili, że w końcu rady jéj dać nie można było; i teraz kilku, jak wiész, Jenerale, przywlokło się z Francyi buntować nam chłopów. Ten urwisz Winnicki koło Lubrańca się kręci, i djabli wiedzą, jak i gdzie się przechowuje. Żebym skurczypałkę złapał, natychmiast bym kazał obwiesić.

— Cóż to za Winnicki?

— On służył za Księcia w artyleryi czy u inżynierów; ożenił się był z jedną Mierosławską, córką tego Mierosławskiego, po którym mam Lubranieckie dobra.

— To niegdyś majętna była familia kujawska, Lubraniec im się dostał po hrabiach Dąbskich; ładne miasteczko, musi dużą intratę panu robić.

— Jako tako to idzie; bo też ja nie Mierosławski ani Dąbski. Co to za potężna niegdyś była ta familija Dąbskich. Ostatni wojewoda z Giżyc, wystaw sobie Jenerał, mógł własnemi dobrami jechać z Warszawy do Torunia, oprócz wielkiego posagu po Lubomirskiéj. Wszystko przeputał — tak prawie wszystkie wielkopolskie familije upadły, a Litwini i Rusini patrzą dzisiaj z góry na potomków piérwszych panów polskich, co często w teraźniejszych czasach dzierżawami chodzą.

— Do Dąbskich jeszcze Dobre należy; żebym ja miał ten kawał ziemi w Kujawach, toby mi biéda nigdy nie dokuczyła.

— Zapewne, to najpiękniejsza wioska w polnych Kujawach.

— O, nie panie! chłopy mówią: — Dobre jest to dobre, ale niech będzie jak chce, jednak lepsze Płowce; kości Krzyżaków co ich Łokietek powalił, musiały użyznić te rozległe równiny — śliczna to okolica.

— Hem, to już zbyt dawno temu; ale Jenerał, widzę, historyk.

— Już wiele wywietrzało z głowy.

— Znać, że nie tylko do broni, ale i do książki nie enił się.

Kasztelan pożartował trochę ze starego Jenerała, i tak daléj mówił:

— Oj, ta rewolucyja! narobiła ona bigosu! Nigdy Polska nie była tak kwitnąca jak za Królestwa; wojsko piękne, drogi jak równych nie ma w Europie, co się było trzeba wlēc dawniéj pięć dni do Warszawy po błocie, późniéj czy zimą czy latem w cztérdzieści ośm godzin stało się w rogatkach. Stolica rosła w gmachy: bank, teatr, Komisyja skarbu i tyle innych wspaniałych budowli; miasta fabryczne porosły i suknem zarzuciły Rosyją; listy zastawne obywateli z biédy

wyciągnęły; ja nie wiém czego téj głupiéj szlachcie brakowało? ptasiego mléka!

Zawisza sobie myślił w duszy: gada jak kupczyk paryzki, dobry byt wszystkiém u niego, a i tak bredzi; zarządźno Polskę jak inne narody, a zobaczysz co z niéj będzie. Jakby to wszystko nie za nasze pieniądze było; jakby koniecznie potrzeba było bizuna moskiewskiego, żeby wystawić teatr, co się już wali, i sprowadzić Niemców do Ozorkowa, żeby nazbiérali w Polsce pieniędzy, i potém uciekli z nimi do Prus. A Litwa, a Wołyń co jęczały w niewoli? My się dziwimy, że Francuzi nam na pomoc nie przyszli, a oto tu Polak tak się o własnych braci troszczy — wacan, widzę, mądry obywatel!

W tém zatętniało na ulicy, i pięć kasztanów w krakowskich chomontach z zielonemi płatami zaryło podkowami po bruku, a siodłowy koń osadzony w miejscu prawie na zadzie, i brodzka bryka jak harmata wystrzelona cofnęła się parę kroków. Kasztelan skrzywił się spoglądając w okno a Jenerał się podniósł. Dwóch młodych ludzi z tęgą wielkopolską miną weszło żwawo: może który z Modlińskich, Komeckich, Orpiszewskich lub innéj młodzieży kujawskiéj. Jenerał skłonił się, ale zapewne żaden z nich nie spostrzegł, bo żaden nawet głową nie kiwnął. Markier szedł i niósł tacę z dwoma zielonemi kieliszkami w jednéj ręce, a w drugiéj przednie białe wino w zapleśniałéj butelce.

— Chodźmy, Jenerale, poprosić panny Wilhelminy, żeby nam zagrała, Markier! zanieś wino na drugą stronę — i wyszli.

Skoro Kasztelan był za drzwiami, a godny jego towarzysz zielenił jeszcze plecami na progu, jeden z Kujawiaków stojąc w końcu bilardu, pogroził mu kijem:

— Oj, damy my ci frycówkę, może niedługo! — jak się to dwóch patryotów zwąchało.

— Co to za jeden ten wojskowy?

— Nie znasz go? sławny Jenerał Henryk Dąbrowski! ha, ha, zadziwił się — z grobu wstał legiony tworzyć, bo się Francuzi ruszają. Nie będzie skrupułów robił, żeby się

nie bić tylko dla nadziei; pójdzie pod piérwszego lepszego dowództwo, aby swarów nie było a władza była, bo chociaż się przyczyniał do fabrykowania rzeczypospolitych, w domu chciał jednak jednego rządu i ładu. Połowę laurów odstąpi Zaliwskiemu, Dziewickiemu lub komukolwiek, jak dawniéj Księciu Józefowi, byle gonić i tłuc Moskali. To był Polak! formułek się nie uczył z gazet francuzkich, ani zazdrości stopniów od pludrów w Petersburgu. Ojczyzna Zygmuntów szérzéj mu rozwinęła się przed okiem, jak mnie błonia kujawskie, kiedy po nich wiatry i zająca ścigam na mojéj bułance.

— Ale jeśli zawsze o legionach myśléć będziemy po Włoszech, Hiszpanii i Algierze, to z Polski nic nie będzie!

— A kaduk by tam dzisiaj o legionach myślał! co wczoraj, to nie dzisiaj. Dąbrowski się nie mylił, bo był z legionistami w Polsce i na Moskwie, lecz nam naukę zostawił, że gospodarować samym potrzeba, bo Francuz wejdzie i wyjdzie i nas na koszu zostawi. A potém pytanie czy zechce mu się drugi raz po śniegu bez kożuchów włóczyć. Wielkie on nam nauki zostawił: korzystaj z manewrów obcych kiedy się da, ale jedynie rachuj na siebie; nigdy rąk nie opuszczaj, chwytaj każdą nadzieję; targuj się i bij, ale bij nadewszystko; wołaj: — Podaj Francuzie rękę, ja ci także w potrzebie dopomogę, bo Polak nigdy darmo nie bierze, często naprzód daje — na kredyt.

— To téż bankrutuje.

— To téż powinien być teraz ostrożniejszy, ale kredytu nie niszczyć, bo bez niego handel nie pójdzie.

— Coś się mój Ignacy skupczyłeś.

— Ej, rozumiem co gadam: szlachcic kujawski nie kupiec, a jednak pszenicę w Włocławku sprzedaje i pieniądze bierze.

— No cóż, uwierzyłeś, że Dąbrowski zmartwychwstał?

— Ha, ha, teraz wiém, to ten wisielec Henryk Dambrowski, co się Dąbrowskim nazwał i samego Aleksandra okpił; dziwna rzecz, że mu ten figiel tak na sucho uszedł.

— Dziwna? przecież ci wiadoma, że Moskale kochają się w łotrach; żeby nie był taki dureń, toby pewno na wsi nie gnił; wyszedłby na Różnieckiego albo Nowosilcowa. —

W Moskwie nie dosyć być łotrem, trzeba jeszcze mieć oléj w głowie. Wystaw sobie, Józefie, kiedy po rawolucyji wszyscy obywatele zjechali się do Brześcia radzić o uzbrojeniu obwodu, ten urwisz przyjechał starać się o komendę; szlachta cuda z nim wyrabiała, on przysmaczki łykał, jak chłop kujawski klóski pszenne, ani się nie zakrztusił. No, Ignacy, wypijemy butelkę wina?

— Dobrze! ja choć nie piskorek z Łęczyckiego, jednak nie zwykłem odmawiać. Froter ze mnie nie tęgi, bom nigdy kwadransa w takt nie mógł nauczyć się tańczyć to była zgryzota mojéj ciotki w Warszawie; ale kredencerz ze mnie nie zły, tak kielichy wyciéram!

— Nie darmo twoja matka podobno z pod Łęczycy.

— Ale nie ojciec, a po ojcu gardło w spadku idzie.

— August!

— Co Panie?

— Jakie wino Pan Jenerał pije?

— Reńskie, Panie. — Daj węgrzyna na trzy talary butelkę, żeby łotra nie naśladować; a przytém to więcéj po polsku, nieprawda Ignacy? Lubię węgrzyna!

— Panie podstarości, rzecze Ignacy, chodź wasan wypić z nami kieliszek wina.

— A jakżeż Wielmożny Panie....

— Chodź wasan! mój ojciec byłby z wasanem nie pił, ale ja do dziada podobniejszy w tym względzie. Jan Kochanowski powiada, że dobre czasy były, kiedy Pan wespół ze sługą pijał. U nas w Polsce często na tém postęp zależy, aby tak robić, jak dziady robiły, od tronu elekcyjnego do Jagiellonów, od Jagiellonów do wolności chłopów, jak Lelewel dowodzi — trzeba w wielu rzeczach cofnąć się do Kazimiérza Wielkiego.

— Tyś mądry człowiek, Ignacy.

— Nie mądry, ale mówię, jak mi się zdaje — może się mylę? U mnie despotyzm, konstytucyje, wszechwładztwo ludu są formułki podrzędne, skoro nie można wiele rachować na charakter ludu. Kiedy dla obrony kraju w Atenach lud własne miasto palił, a cudzych okrętów zdradą niszczyć nie chciał, kiedy w Rzymie poklaskiwał obywatelowi, który

gromił jednego towarzysza niechcącego iść dla jakichś pozorów pod drugiego dowództwo, mówiąc: jam tyle wojen odbył, tylem ran odebrał, tylem razy dowodził, a dziś z trzema synami staję do boju jako prosty żołniérz na Ojczyzny wezwanie, a ty młody się swarzysz o stopnie! kiedy Francuz głodny i bosy szedł wesoło do boju, a Dessex kazał grenadyjerów rozstrzelać za dwie śliweczki urwane; kiedy szlachcic Czarniecki pogardził zazdrością panów, którzy mu skąpili buławy, rozśmiał się z malowanego kija, wsiadł na konia, przeżegnał się i dobył szabli; wtenczas Ateny kwitnęły, Rzym rozparł się po świecie, Francuzi zbili Europę i szlachcic Czarniecki zbawił Polskę!

— Ale Ignacy, ty za głośno mówisz, nużby dosłyszał Kasztelan lub Dambrowski.

— Nie bój się, kochany Józefie; Kasztelan nas nie podsłucha, to chciwy i próżny człowiek; za rewolucyji bał się patryotów, po rewolucyji pochlebia Moskalom, ale ani szpiegiem nie jest, ani obywatela nie doniesie. Co jenerał, ten butelki pilnuje; zresztą gospodarz, choć trzech słów złożyć jak się należy po polsku nie może, jednak w duszy dobry Polak; jego córka także patryotka, bo załogi moskiewskiéj nie ma w Włocławku, a to największe dla tych panienek niebezbieczeństwo.

— No, to mów daléj, Ignasiu, bo aż miło cię słuchać.

— Ciekawym bardzo, co téż mój brat we Francyji porabia; on to, choć niby powolny i zamyślony, ale krew' zawre często u niego. Myślałem, że do nas z Zawiszą przyciągnie.

— Ty znasz Zawiszę?

— O dobrze, ale on mnie nie zna i teraz by się zgorszył, żeby mnie słyszał; bo ja wręcz mówię, że młodzież oszołómiona karbonaryzmem i rewolucyjami nie zaszczepi w Polsce wolności, tak jak doktrynerstwo wielkopolskie Ojczyzny nie odbuduje z protestantyzmu pruskiego, z regułek profesorów niemieckich i z deklamacyji konstytucyjnych dzienników i broszur francuzkich; tak jak nareszcie arystokracyja nie zbawi kraju, póki dąć będzie jak pęchérz w to, czego jéj

się nigdy w Polsce nie należało i dziś w całym świecie na dziady poszło; póki się wieszać będzie po gabinetach ze zbytnią wiarą, póki będzie się bała demagogów i biła czołem (nie pomna dawnéj dumy polskiéj) po progach dworców w Petersburgu i Wiédniu. Ja drwię z genealogiji, a wstyd mnie jednak, że potomki naszych hetmanów liżą się carom. Albo czeka ochyda arystokracyją, śmiéch doktrynerów, żal młodzież: albo wszystkich poprawa, rozum, chwała i Polska!

— Amen.

— Tak Józefie, Amen będzie i kraj wielki i wolność, kiedy Pan poda rękę szlachcicowi, szlachcic chłopu, kiedy wszyscy nie za stopniami, nie za pieniędzmi, nie za doktrynami gonić będą, ale za Polską; wtenczas Bóg natchnie Machabeusza i pierzchną niewierni!

Zadumali się wszyscy: słońce ku zachodowi się miało i cień bury wymiótł światło z ulic, tylko ostatnie promienie wieszały się jeszcze po wieżach kościołów.

— Józef wysączając resztę wina w kieliszki, ty, Panie Ignacy, widzę i prorok i nabożny jesteś, rzecze.

— Nie prorok, mam tylko trochę pretensyji do zdrowego rozsądku. Nabożny? może na nieszczęście nie dosyć, bo człowiek młody, to czasem figla wypłata. Ale poczekajcie, jak się ożenię, to będziecie mieli w Kujawach taki dom staropolski, jakiego od czasu naszych dziadów nie było; a w potrzebie i do korda się wezmę, choćby nazajutrz po ślubie. Wandzia mnie kocha, ale nie więcéj jak Polskę, bo inaczéj jabym jéj nie kochał.

Wtém wszedł kupiec Friedrich, wziął Ignacego na stronę i mówił mu do ucha:

— Ten ladajaki General upić się, ja slyszal, co on mówić, sze Pan Kasztelanic zna Safisza, sze tu jest na bilard, sze on poiść do General moskiewskiego pofieźić, sze on tu jest na bilard. Pan Kasztelanic nie kciał, bo to syna obywatelskiego. Kty jest Safisza, posed precz, bo jak pan Kasztelanie posed precz, to ten ladajaki General fytać go jak Judasz pana Jezus.

— On jest tu istotnie, kochany panie Friedrichu, przebrany za ekonoma; jam go także poznał, ale go tak wyprawiać nie można, bo nużby go w mieście przyczłapili! Wiész co, Panie Friedrichu, tyś dobry Polak....

— Ja nie jest Polak, aber ja nie Moskal jest; nie szelmie, ja kocha folny czlowiek.

— Bądź co chcesz, poczciwy Panie Friedrichu, tylko każ go wyprowadzić do twojego ogrodu i potém, jak Dambrowski będzie odchodził, tylnemi ulicami pod klasztór Reformatów, a my go zabierzemy po drodze. Teraz poczekamy jeszcze, póki Jenerał nie wyjdzie na ganek, żeby nas widział, że sami siadamy do bryki; jak ja każę zaciąć kasztanów, to nas sam djabeł nie dogoni.

— Aber jak Moskal się dowiezić, to ja moja fortunki forbey.

— Pocóż ma się o tém Moskal dowiadywać? ja pana nie wydam.

— A kto odprowazic go? ja ślepy jest.

— Prawda, na markiera spuszczać się nie można, te gałgany wszystko za pieniądze zrobią. O! panie Friedrich, panna Wilhelmina w takim razie nie może się wymówić!

— Hem, to mlode ziwszyna jest.

— Tém lepiéj, prędzéj się uwinie.

— Pan Safisza mloda jest.

— O cóż znowu? nie ma się o co lękać; w takich kłopotach nikt nie myśli o romansach.

— To pan Safisza niech iść jako do sieni, a moja córki iść z nim do ogród.

Poczciwy kupiec wyszedł, a Ignacy przybliżył się do mniemanego ekonoma.

— Zawisza, mówił do niego, jam cię poznał i ponieważ twojéj wyprawy nie chwalę, nie miałem ochoty ci się przyznać; lecz teraz muszę cię ostrzédz, że niebezpieczeństwo ci grozi. Wychodź do sieni, córka gospodarza zaprowadzi cię na ogród, a ztamtąd pod Reformaty; ja przejeżdżając wezmę cię do bryki i zawiozę, gdzie zechcesz.

— Co za niebezpieczeństwo?

— Nie ma czasu na gawędy — ruszaj, do zobaczenia. Ścisnął go za rękę, Zawisza wyszedł, ujrzał czarnobrewą dziewicę i pobiegł za nią do ogrodu. Aż miało taką mieć przewodniczkę, pomyślił sobie. Jeżeli nigdy na męztwie mi nie zbywa, w jéj oczach broniłbym się jak lew.

— Ja pana przepraszam, odezwała się panna Wilhelmina, za niegrzeczne przyjęcie, ale któżby się domyślił, że to Zawisza w takim stroju.

— Panna mnie pocieszyłaś owszem, tak mnie wasanem traktując.

— A to jakim sposobem?

— Bo widzę z zadowolnieniem, że dobrze moję rolę odgrywam.

— Czy to być może, żeby pan z chłopami włóczył się po boru i chciał wszystkich panów w okolicy zabijać, jak pan kasztelan i pan jenerał powiadał?

— To bajka, żeby tak było, to bym był łotrem, a łotra nie przechowałby ojciec panny. Ale ja o takich rzeczach nie zwykłem rozmawiać z tak ładnemi pannami, jak panna Wilhelmina.

— Widzę, że pan ekonom umié komplementa gadać.

— Może i to komplement, że panna ślicznie gra i śpiéwa; mnie jéj przyjemny głos zwabił do tego domu.

— I mógłby być łapką na pana, bo ten jenerał wielki huncwot, jak mi tatko powiadał; strzeż się więc pan ładnych głosów, jeśli panu mój ładnym nazywać się podoba.

— O prześliczny!

— Pan nie zawsze do takiego poczciwego domu możesz trafić...

— To panna Wilhelmina patryotka?

— Alboż to ja nie Polka? Jam się w Polsce urodziła i mój tatko kocha Polaków. Wszystkie moje przyjaciółki są patryotki; tylko jedna co była w Warszawie i pokochała się w porucznika z gwardyji huzarów, zawsze z Moskalami trzyma. powiada, że jéj kochanek kniaź jest.

— To nie ładnie przestać być Polką dla tego, że się kniaź moskiewski umizgnie.

— Jabym téż tego nie zrobiła; ale prawdę powiedziéć, to my nie mamy za co panów lubić.

— No?

— Bo panowie póki w szkołach, to niby się kochają, a potém jak na wsi siedzą i pięcią końmi zaczną jeździć, to się z góry na nas patrzą, że my nieszlachcianki.

— Naprzykład?

— A naprzykład, jeden młody obywatel chciał się żenić z córką kupca korzennego, panną bardzo ładną, nieubogą i dobrze wychowaną; wystaw sobie pan, że jego matka nigdy na to zezwolić nie chciała.

— To jéj szczérze nie kochał, jeśli matki nie uprosił.

— Kto wié, co by się było stało, gdyby nie był musiał uciekać przed Moskalami do Francyji.

Zawisza zaczął znowu o śpiéwie, chwalił, pochlebiał, jak się to zwyczajnie robi w takim razie. Panna Wilhelmina zupełnie się rozochociła i obiecała nawet śpiéwać. Zawisza przystał, lekką zrobiwszy uwagę, że na wolnym powietrzu piersi się zbyt męczą; w istocie sądząc, że to nieroztropnie w jego położeniu.

— Oh! to nic nie szkodzi, ja co wieczór sobie śpiéwam chodząc po ogrodzie.

— Może téż nie sobie, ale komu co słucha z daleka.

— Oh nie! jak tatkę kocham, i zaczęła w najlepsze wywodzić rulady czystym i przyjemnym głosem; Zawisza słuchał, bo mu nie tylko się głos, ale i czarnobrewa bardzo podobała.

— Wilhelmine! Wilhelmine!

— Czego, tatko?

— Ciko sieć.

— Ja nie głośno śpiewam.

— Ja nie kce, ciko sieć, ziwszyno!

Musiała przestać, choć ojciec był rad w duszy, że śpiéwała, bo śpiéwając trudno co innego robić. Lecz za to rozmowa széroko się rozpostarła i komplementa gradem padały. Już Zawisza rączkę ściskał, kiedy Friedrich zawołał:

— Wihelmine, kodź tu! na klucz od furtki i bęziesz

zaprować pan Safisza do Reformaty; aber, ziwszyno, nie bęzisz powiezić téż nikomu, bo bęziesz stracić mój fortunki i twoja posag.

— Nie, tatko, przecież ja nie dziecko.

Wzięła klucz i wolno zamyślona wróciła do ogrodu. Kiedy klucz kręcąc się w zamku od fórtki skrzypiał to i Zawisza myślił, oglądając się na ogródek. Lepiéjby tu było zostać i słuchać jéj wdzięcznego głosu, niż wracać do boru. Kiedy furman pana Ignacego wpół fraku, czerwonéj kamizelce, w żółtych jelonkowych spodniach, w butach napoleońskich, czy postylijońskich z jedną ostrogą u lewego i ogromnemi rudemi wąsami siadał na koń, bo w Kujawach jeżdżą często w krakowskich chomontach, ale nie Krakowiacy powożą, wtenczas pan jenerał, pijany, szukając kapelusza, pytał się:

— Panie Friedrich, czy jest jeszcze na bilardzie ten mniemany ekonom?

— Trzeba pytać August, ja ślepy, nie wizić nikt.

— To go pan zawołaj.

— Dużo gość na bilard, on musi pilnowal.

— Zawołać go, do sto par djabłów, to idzie o interes cesarski.

Kasztelan widząc, że jenerał pijany, wyszedł mrucząc pod nosem:

— Nie głupi był czekać; a potém jechał ich sęk, niech robią co chcą — to dureń ten Dambrowski.

— August! powiédz do sto par djabłów, gdzie się podział ten ekonom, co pił piwo na bilardzie?

— Już dawno poszedł, jaśnie panie, i za piwo nie zapłacił.

— Gap jest, mnie jeden czlowiek siedm grosza dać sa butelki piwa.

— August! do sto par djabłów, powiédz, gdzie się podziały te dwa młokosy co w bilard grały?

— Jaśnie panie jeszcze są, piją węgrzyna na trzy talary butelkę.

— Hem, węgrzyna na trzy talary? August!

— Czego, jaśnie panie?

— Idź sobie, kiep jesteś.

August mruknął pod nosem: nie większy jak ty, zkąd mi się wyjął — a jenerał wytoczył do się sieni.

Jeszcze był na schodach i trzymał się poręczy ganku, żeby go niepewne nogi nie zdradziły, kiedy dwóch Kujawiaków wybiegło; Józef wyrznął go łokciem, tak że stary pijak zachwiał się i runął na bruk. Antoni, służący Ignacego, chciał go podniéść, lecz pan krzyknął na niego: Na kozioł! zostaw szelmę! niech śpi w rynsztoku, kiedy się spił, ruszaj Szczepan! — i podkowy zahuczały po bruku.

Przed Reformatami zatrzymała się bryka. Pod murem bielił się i szeleściał kryzik na ciemnéj sukience, świéciły oczki pod czarną brwią, spadały łezki po różowych licach. Zawisza ucałował rączki ładnéj Wilhelminy, chciałby i buzię, ale nie można przy świadkach, którzy wyglądają niecierpliwie z bryki; skoczył na stopień i utonął w budzie.

— Ognia z bata, Szczepan! zawołał Ignacy. Bicz huknął raz i drugi, siodłowy i ręczny rozkraczyły się na zadzie, trzy przednie rypnęły galopem; dzielnie to w Polsce jeżdżą! Wilhelmina patrzyła, póki bryka nie zniknęła w mroku i kurzu — westchnęła, i jak sarenka młoda, wionęła pod parkanami ogrodów. Nie będzie dziś śpiéwać; jutro może zaśpiéwa — ale smutnie. Kopyta rwą piasek i rozciskują w kłęby kurzu, bryka dudni, czarny pas na horyzoncie rozbiéra się w sosnowe kolumny.

— Stój! siodłowy przysiadł; ręczny, targnięty uzdą, zadarł łeb i przytrzymał brykę; parskają konie, w budzie słychać pocałunki.

— Zawisza wyskoczył, bądźcie zdrowi!

— Bądź zdrów! kłaniaj się memu bratu, jeśli wrócisz do Francyji.

— Nie wrócę!

Nocleg u druha.

Do bram Zamościa bież,
Gostyńskich spytaj wież,
Niech rzekną jeśli chcesz,
Kto siedział w nich!

Kiedy Zawisza na czele dwudziestu pięciu Mazurów ciągnął nad brzegiem Wisły ku Włocławkowi, Zawiła sam, zamyślony i smutny, w granatowéj sukmanie, z kijem w ręku wyszedł na gościniec prowadzący z Płocka do Gostynina; bezpieczniéj bowiem było léźć samemu w oczy Moskalom, niż wałęsać się po boru. Mijały go jeden po drugim wozy naładowane drzewem, bo okolice Mazowsza z prawéj strony Wisły od Płocka do Warszawy prawie zupełnie są gołe, jak błonia kujawskie, i tylko na wiosnę zielonem żytem powiewają, jak te bujną pszenicą. — Daléj wlokło się parę bryk żydowskich pokrytych płótnem, napakowanych różnego rodzaju towarami. Szkapy chude, przyciśnięte ogromnemi lipskiemi chomontami, zziajane, ustawały w piasku; nielitościwy żyd kropił batem, nie zważając, że skóra odarta na tylnych biodrach i piersiach żywe ściérwo odkryła; nie obwinie powroza kawałkiem płótna, nie podniesie ani opuści chomonta, żeby biédnéj szkapie ulżyć; tchórz a kamiennego serca. Tak najczęściéj bywa; chirurg, co śmiejąc się, obrzyna ręce i nogi, którego jęk cierpiącego nie zadrze po sercu, boji się często najmniejszéj operacyi; chwaty co chcą głowami ludzkiemi jak piłkami rzucać po bruku, bledną zazwyczaj na widok niebezpieczeństwa.

Zawiła pot z czoła ociérał i wędrował daléj: słońce stanęło na środku i ciska proste, ogniste promienie; lekki wietrzyk zaledwie przemyka się między igłami sosien; czasem ptaszek leśny przeleci i cień jego przesunie się po żółtawym piasku, złamie się w kolei na drodze i między drzew konarami, jak on między ich gałęziami, przepadnie. Niedaleko za żydami wlókł się, jak żydowska bryka, powóz w cztéry jasnogniade konie. Furman i lokaj drzymali na koźle, tylko

bicz kiedy niekiedy śmignie, gdy woźnica na chwilę zaspałe oczy otworzy, i konie wysilą się, żeby parę kroków kłusem pobiegnąć i znowu w piasku ustaną. W koczu pan głowę zwiesił na piersi i sapie; pani w słomianym wielkim kapeluszu łaje dwóch małych chłopczyków ciągle wiercących się na przodzie i nogą od drzwiczek zasłania, żeby który nie wyleciał i karku nie skręcił; wszystko koleją zwykłą idzie na tym świecie, i z nami tak samo było. Droga széroka, prosta, zdaje się jednak coraz zwężać, jak długie kurytarze klasztorów, gdy się w głąb' oko zapuści. Już koniec, niedaleko miasto, czwałem rypie kozak po piasku; zatrzymał się: Zawiła zdjął czapkę przed *panem Kozakiem:* cóż robić? gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba podléźć.

— A zkąd ty?

— Z Ciechomic od pana Starościca Ciechomskiego.

— Masz ty prepisku?

Zawiła wyjął z zanadrza list z adresem w kaliskie, zapieczętowany ogromną herbową pieczęcią, który sobie był sam napisał, kozak spojrzał na litery do góry nogami, list oddał i wziął w rękę nahajkę. Władysław zadrżał, krew' rzuciła się do oczu, a ręka sięgnęła do kieszeni; lecz szczęściem, kozak nieswawolny, zaciął tylko konia, ten porwał z miejsca galopem, wyciągnął szyję i kurzem zmącił powietrze. Smutny, sosnowy bór został w tyle, smutniejsze pole rzadkiém żytem zieleni; po bokach widać niby to wioski bez dworów i kościołów, a z budowy domów i stodół poznać można niemieckie kolonije. Tu i owdzie wlecze się przez pole, to wysoki na chudych nóżkach Niemiec w niezgrabnym kapeluszu, w granatowéj lub szaréj kurcie, z ogromnemi żółtemi lub białemi guzami, to znowu germańska dziéwka w krótkiéj spódnicy po łydki, czerwonego lica, lnianych włosów; z oczu ani patrzy duma Wielkopolanki, ani ogień Krakowianki nie pryska: tylko jakaś niby melancholijna, niby gapiowata zalotność rozlała się po wielkiéj, siwéj źrenicy. Na przodzie widać liche miasteczko Gostynin, sławne w naszéj i moskiewskiéj historyi starożytnym zamkiem, leżącym po drugiéj stronie od Kowala i Włocławka. Sądził byś, że to nowe

miasto, bo nad lataniną różnokolorowych dachów dwie nowe wieże sterczą; jedna należy do ratusza, druga do jedynego katolickiego kościoła, jakiéjś zabawnéj, bękarciéj struktury. Po ulicach mnóztwo moskiewskich kręci się żołniérzy; Zawiła przeszedł miasto i stanął na końcu w małéj drewnianéj karczemce. Aż mu miło po nudnych piaskach rzucić okiem na wody i zielone łąki, co się rozłożyły z drugiéj strony Gostynina; ale smutno przywitał stary zamek, który niegdyś hardo wysterkał, i patrzył jedném okiem ponuro na podupadłe miasto, drugiém ścigał igrające stada po łąkach. Dziś przekształcony w jakieś ckliwo pomalowane straszydło. Czy oszalał po stracie kraju? i zamiast żałoby, włożył biało i czerwono namazganą maskę. Zachmurzony Zawiła chciał się zapytać, coby miała znaczyć ta przemiana, kiedy wchodząc do karczmy, dowiedział się bez pytania od dwóch starych Mazurów stojących na progu i wymyślających na Moskali.

— To w miastecku jeden tylko kościół, a te psiawiary pobieliły stare zamcysko i Niemcom go oddały.

Na kościół więc luterski przeszedł stary zamek, pomyślił Zawiła, Moskal i protestant, to kumy w Polsce; mało który z Niemców pamięta, że się w Polsce rodził, ale chwała tym, co umieli się wznieść nad przesąd i interes tymczasowy, i których serce po obywatelsku biło. Znałem ja sam takich nie umiał dobrze wymówić *Ojczyzna*, ale kochał ją.

Władysław wszedł do szynkarskiéj izby; pełno ludu tak jak w sieni i przed karczmą. Dwóch Moskali goli wódkę w kącie za stołem, cicho siedzą, tylko z ruska pomrukują; zakazano im breweryje wyrabiać i drażnić się z chłopstwem. Ba — i na nich skóra zadrżała, bo chłopi ciągle rozprawiają, jak ze Strzelec wszystko poszło co żyło do boru, tylko jeden stary został i tego Moskale batami zatłukli; jak syn pani Zawiszyny ze Soboty trzystu parobków zebrał, a od Krakowa i Częstochowy kilka tysięcy idzie i ksiądz z krzyżem na czele. Niektórzy wdali się w politykę i wadzą się jak na Sejmie; inni w strategiją i układają plany jak jenerałowie na radzie wojennéj; ten śmielszy, ten zdradliwszy, ten by wszystko w pień wycinał, ten marudzi i dyplomatyzuje. Zgoła

wszystko to jedno, sejm, rady wojenne, salon warszawski karczma gostynińska: jeżeli nie w skutkach, to dla tego przynajmniéj, co rozważa naturę serca i rozumu ludzkiego. — Chłopy szpiegów się nie boją, bo to miejska cywilizacyja — ona jeszcze do ich chat nie przedarła się; rozpuścili języki, bo nie uczone. Uczeni, książkowi ludzie często milczą; nieuczeni, mądrzy przez serce i instynkt radzi gawędzą. Kto się zmęczył, myśląc i rozmawiając z umarłymi lub mądrymi świata, niechętnie zagada do sąsiada; ale kto sam myśli, lubi drugiemu myśli swoje udzielić: w tém jego nauka, zabawa i pociecha — wszakże są jednak uczone gaduły i ponure chłopy.

Za szynkarską izbą był mały alkierzyk ze szklanemi drzwiami; tam w głębi widać było szérokie łóżko, stół biały drewniany, parę stołków i kuferków; ostatnie ustawione jedne na drugich, świadczyło ciasnocie miészkania, oraz flinta jednorurka z zaczerniałą kolbą, torba z zielonéj i białéj, a raczéj brudnéj włóczki, i pies wyżeł kręcący się pod stołem dowodziły, że pan Szmit nie tylko szynkarstwem, ale i myśliwstwem się trudni. Przez szyby alkierzyka często zaglądała ładna, rumiana, cztérnastoletnia dziewczynka, w perkalikowéj sukience i w czepeczku nakształt paryzkiéj gryzetki lub warszawskiéj modystki, boć one z ubrania, szczebiotliwości i ochoty do romansów bardzo podobne. Ale cztérnastoletnia dziewczynka tylko z czepeczka owe paryzkie i warszawskie modystki przypominała; ruch i naiwna ciekawość pokazują, że to córka pana dzierżawcy trzytysiącznego z pod Kutna, która z matką zabiérającą w téj chwili resztę przysmaków podróżnych ze stołu wraca z Płocka, gdzie mali bracia studenci zaopatrzeni zostali prowiantami rozlicznego gatunku i pieszczotami macierzyńskimi pocieszeni, oraz dobrą nowiną, że tatko obiecuje trzechletnią klaczkę na wakacyje, jeśli z nagrodami powrócą do domu. Malcy mają szczególniejszą ochotę do konia i szabli, to natura szlachty polskiéj; jeszcze ona długo się nie zmieni i zmienić nie powinna. Bryczka odkryta w półkószkach we dwie tęgie siwe kobyły wyjechała ze stajni, chłop w sukmanie wszedł do alkie-

rza, zabrał manatki i poniósł do bryczki; szlachcianki wsiadły, matka coś jeszcze poprawiała, a dziewczynka oglądała się, wiercąc na wszystkie strony, kiedy siwki dyrdą pobiegły.

Władysław przejadszy chleba i séra, napiwszy się piwa, powędrował także za bryczką ku Kutnu. Nieraz się obejrzał — na luterski kościół, nieraz westchnął. Tu kujawskie, książę Łokietek, kiedy mu się Gostynińskie w dziedzictwo dostało, niejednę noc bezsenną przepędził, myśląc o odbudowaniu Polski Bolesławów, o poskromieniu zdradliwych krzyżaków co jego księztwa obsaczyli, i czyhali na Litwę i jego pograniczne dzierżawy; — tu cary pieniły się jak niedźwiedzie świéżo schwytane i bluźniły przeciw Polsce. Dziś Moskal okrył go dziwaczną oponą, zatarł pamiątkę wielkości i sławy, ale mury wieki przetrwają, malowidło polskie burze zmyją, dodatki pioruny zwalą, a stara pamiątka nad zielonemi smugami znowu zaczerni. Jak lud polski przydławiony obcą ręką w starożytnéj wstanie dzielności, a duch Łokietka natchnie zapomnianą wytrwałość, obmyje niesławę i piorunem polskiego miecza wrogów rozpryśnie.

Słońce schyliło się ku zachodowi i z ukosa mniéj rażące promienie ciskało po ziemi. Drogą ku Gostyninowi jechał żołniérz; nad karkiem jeżyła się i spadała na plecy czarna grzywa, wodze po karku końskim pływały, pałasz brzęczał o strzemię. Pieszy i konny podróżny zbliżyli się, żandarm rzucił się z konia na ziemię.

— Panie poruczniku! a pan porucznik chce sam wléźć w ręce Moskali? Ja myślałem, że porucznik w gostynińskich borach i chciałem go ostrzédz, że dwa batalijony dziś z Kutna wyszły i nad rankiem wkroczą do lasów; z drugiéj strony od Kowala także ma iść w pochód jeden batalijon, tak w całych nadwiślańskich lasach mają zrobić jutro rano obławę.

Zawiła zadumał się.

— Co robi Zawisza?

— Jeżeli dziś nie przeprawi się za Wisłę, to zginął; dwudziestu pięciu lwów mazowieckich nie wystarczy na odparcie takiéj siły.

— Galik! powiédz mi, co robi Bartek Kaczor w Strzelcach?

— Panie, świéć mu nad duszą: ciężką on śmierć miał!

— Jak to? nie żyje!

— Nie żyje, panie poruczniku, skończył pod batami moskiewskiemi.

— Któż go wydał?

— Bóg to sam wié, kto zaczął, a baty dokończyły. Jak pan porucznik poszedł był z parobkami, ja hulałem w karczmie i po prostu podpiłem sobie na fantazyją, bo mi jakoś miło na sercu było, że pan porucznik się przekonał, żem nie Moskal. Nad świtem, jak zapowiedziałem, przyjechał pluton dragonów; daléj do chałup, a tu żywéj duszy nie ma. Rejwach po wsi, nuż szukać po stodołach, po oborach; włazili pod dachy, na wieżą kościelną, do kośnicy — jakby miotłą wymiótł, ani jednego parobczaka. Wtém złapali Frącka i Bartka; djabeł im szepnął do ucha, że gadali z parobkami pod kościołem. Frącek zbladł jak chusta, stary Bartek wlókł się powoli zmęczony i przemokły; zgarbił się, zachmurzył, ale hardo patrzał i hardo odpowiadał. Dopiéro zaczęły szelmy katować: ja byłem tam z Moskalami. — Panie poruczniku! aż mi serce pękało, a palce drgały, żeby porwać za pałasz i łeb temu hyclowi oficerowi rozpłatać. Najbardziéj mi tego Bartczyska żal ciężki było, bo to stary tyle lat poczciwie przeżył; ani ekonom, ani komisarz nawet nie śmiał mu nic mówić, ksiądz proboszcz i cała parafija szanowała — a tu na taki koniec mu przyszło. Moskal się dopytywał koniecznie, kto parobków do ucieczki namówił, żaden z początku nie odpowiadał; aż Frącek jak wziął z pięćdziesiąt, zaczął jęczéć i obiécał powiedziéć wszystko, jeśli katować przestaną. Oficer kazał przestać. Bartek został na ziemi, jakby wiedział, że to nie koniec. Frącek się podniósł i wyspowiadał wszystko, że jakiś panicz przebrany za chłopa namawiał ich, że on im odradzał, ale Bartek ciągle im gadał, że jak nie pójdą, to ich na rekruta pobiorą. Położyli go jeszcze raz, dali drugie pięćdziesiąt bizunów za zapłatę i puścili; wstał i wlókł się wolno do chałupy, a krew' ciurkiem przez

nogawice leciała. Dopiéro to znowu zaczęli Bartka okładać, a pytali się ciągle, jak się szlachcic przebrany nazywał i gdzie poszedł z parobkami. Stary nic nie odpowiadał, wziął ze sto batów, zaczął jęczéć.

— Księdza proboszcza, jemu się wyspowiadam.

— Mnie się spowiadaj! krzyczał oficer jak wściekły. Bartek zamilkł na chwilę. — Znowu zajęczał ciężkim, jakby z pod ziemi głosem: Jezus Maryja! Jezus Maryja! Tymczasem ktoś skoczył po księdza proboszcza; przybiegł natychmiast, brwi zmarszczył, znać, że mu się ciężko na sercu zrobiło, przeżegnał Bartka i zaczął jeszcze dwa razy — Jezus Maryja — i skończył. Proboszczowi łzy w oczach stanęły, odszedł do plebaniji i przysłał niedługo po ciało.

— Szelmy!

— Ale ten psiawiara Frącek!

— Daj mu pokój; nie każdemu da Bóg męztwo męczennika i on nas nie zdradzał, póki siły stało. Błogosławiony ten, którego duch nie zbyt z ciałem się spoji, którego łaska Bozka w męczarniach utrzymuje.

Zadumał się Władysław i byłby długo dumał, gdyby Galik nie był przerwał.

— Poruczniku, mówił, porucznik musi natychmiast zejść z głównego gościńca, bo właśnie tędy dwa batalijony piechoty ciągnie i żadnego chłopa, żadnéj bryczki bez przetrząśnienia nie puszczają. W które strony porucznik idzie?

— W Kaliskie.

— Trzeba ruszyć ztąd do Kowala, ztamtąd przez Borowe Kujawy i ani zajrzéć w mazowieckie, bo tam strzegą od czasu, jak ze Strzelec i z Soboty parobcy uciekli. Wiész co poruczniku? O pół mili ztąd mięszka młody szlachcic, dobry Polak, u którego ja niedawno byłem na egzekucyji za to, że Moskalom furażu nie dostawił; jak poznał, żem nie zaprzedany zupełnie Mikołajowi, to psy na niego wieszał, a wzdychał, żeby Moskali można z kraju wypędzić; ten nas przyjmie i pomoże do dalszéj podróży.

— Dobrze, prowadź mnie. Kto Mikołaja przeklinał, to mnie dobrze przyjmie. Czy służył w wojsku za rewolucyji?

— O panie, służył w drugim pułku Mazurów; pokazywał mi krzyż złoty i czaprak z czarnych baranków, z żółtym pasem naokoło.

— Chowa pamiątki po wojnie, znać, że tęskni w pole — chodźmy.

Skręcili w bok, Zawiła idzie przodem, żandarm za nim stępo kroczy; chciałby ustąpić konia dawnemu dowódzcy, ale roztropność nie każe. Gdyby kogo napotkali, żandarm miał udawać, że zatrzymał podejrzanego i prowadzi do gminy, zkąd się być mieni.

Słońce utonęło za lasem, i tylko zorza paliła się na zachodzie i oświécała piękny dnia majowego koniec, a raczéj jego szamotanie się z nocą, kiedy nasi podróżni przybliżali się do porządnéj wioski, stojącéj na straży Mazowsza od strony Kujaw. Pod samą wsią bydło otoczyło sadzawkę; daléj pięć czwórek wiśniowych i pstrych wołów ciągnąc skrzypiące pługi, bujało wspaniale łbami i rozsochatemi rogami. Koło nich hyżym pędem przeleciała stadnina, i jakby natarcie rozhukanéj jazdy wpadła w rozstępującą się kolumnę przestraszonego bydła, a pastuch zaganiając krowy i buhaje krzyczał: O poganin koniarek, jak to na oślep puszcza źrébce, a jak bydle pchnie którego rogiem, to będzie trzeba hałasu słuchać.

— Zawiła zatrzymał się przed karczmą, a żandarm pojechał stępo ku dworowi. Z drugiéj strony wsi na skarogniadym koniu leciał młody pan, wpadł na podwórze i nim sługa wyskoczył ze stajni, rzucił się równemi nogami na ziemię, założył wodze na siodło i klasknął; gniady bryknął i kłusem pobiegł na nocleg. Młody szlachcic zobaczył żandarma i zatrzymał się na ganku.

— Nowa egzekucyja?

— Nie, panie.

Przysunął się bliżéj i zaczął cicho mówić; szlachcic usiadł na ławce przede dworem, pomyślił i zawołał donośnym głosem.

— Józef, Józef.

Przybiegł stary, wąsaty a żwawy służebnik; pan dał

cicho jakieś rozkazy, głośno na końcu dodał: „Dać żołnierzowi wódki i wieczerzą,“ wszedł do dworu, zapalił fajkę i otworzył tylne drzwi na ogród. Pół godziny przechadzał się po ulicach krzyżujących się wśród rozlicznych kwater obsypanych kwiatami ode dworu, a daléj umajonych warzywem; ulice wysadzone drzewem uwieńczoném resztą białego puchu i zawiązkami wybornych owoców. W rogu ogrodu kryły się inspekta, ale blask podniesionych okien, od których odbijały się ostatnie promienie zorzy, zdradzał kryjówkę. Otworzyły się od tyłu małe drzwiczki i wszedł z Józefem młody chłop w granatowéj sukmanie, w czerwonym pasie; głowa do góry wyniesiona, znać że nie nawykła do głębokich ukłonów; pierś i szyja nagie, z pod czapki wymykał się czarny włos i po karku spływał w pierścieniach na plecy. Gospodarz ciągnąc dym z szerokiego bursztynu zatrzymał się, kiwnął na służącego, ten cofnął się i zatrzasnął drzwiczki za sobą.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków!

— Pokój temu domowi!

— Przynajmniéj póki ten co wojnę Moskalom przyniósł tu gości; ale widzę nabożni z Francyji wracacie.

— Wróci ich wielu pobożniejszych niż wyszli; smutek, tęsknota, twarde losy, wspomnienie chrześcijańskich domów polskich, spokojna rozwaga wśród swawoli nieszczęśliwego ludu, nawróci wielu do Boga, który błogosławił dziadom naszym. Ale ja przeżyłem rok cały we Francyi śród oszołomienia politycznego i szumu młodzieży, a krew' wrząca do modlitwy nie nagli. Mnie pobratanie się z chłopem polskim myśl pobożną natchnęło. Jam między niémi poznał poświęcenie się i siłę chrześcijańską; ja między niémi napotkałem starca, który wymowniéj prawił w mazowieckim języku niż francuzcy deklamatorowie; który umiał błogosławić śród trzasku piorunów i skonać pod batami moskiewskiemi, wierny nowemu przyjacielowi, Ojczyźnie i Bogu. I tenże to lud wy szlachta gnębicie? Na tenże to lud zmawiacie się z Moskalem, aby go trzymać w nędzy i sromotnéj niewoli?

— Poznałeś chłopów, żyjąc między nimi parę tygodni poznaj teraz szlachtę, a nie będziesz jéj szkalował. Ja znam szlachtę, sam jestem szlachcicem. Nie wyprzeszże się matki i ojca, jak Filip Egalité, aby z ludem pohulać?

— Jam gościnności spodziewał się, a nie urągania; bądź zdrów!

— Stój! gościnność jest tak u szlachcica jak u chłopa polskiego; w tém, jak w wielu uczuciach, są bracia. Zostań, poznaj mnie, a zobaczysz, jak dziś młoda szlachta w Polsce myśli. Kiedyś mnie w imię Bozkie witał, jam w imię Bozkie zapraszał; jakeś mi gorzkie wyrzuty czynił, jam ci gorzkim wyrazem odpowiedział. Jestem półmazur, półkujawiak, dla tego zacięty jak piérwszy, hardy i otwarty jak drugi. Zostań, proszę, a pogodzisz się ze mną; w końcu, nie puszczę, po staropolsku, i jeszcze na wyraźne niebezpieczeństwo.

Piérwsza gospodarza odpowiédź wzburzyła krew' gorącą Władysława; ale otwartość, szczérość, a może i prawda ukołysały prawe jego serce: przyjął zaproszenie i szedł do dworu. Dwór drewniany, niewielki; jedna jego połowa niezamieszkana, druga, składająca się z trzech izb, przeznaczona dla nieżonatego gospodarza. Piérwszy pokój obszerny, posadzka woskowana, ściany białe, kominek zgrabny, dwa zwierciadła, jedno między oknami, drugie nad kanapą z orzechowego drzewa. Przed kanapą stół okrągły na warszawskim dywanie, w kątach dwa stoliki do gry, dwanaście krzeseł pokrytych zieloną morą. W drugim pokoju było łóżko, za nim pałasz, nad nim wisiały para pistoletów, dubeltówka, trzy jednorurki, torba, trąbka i inne sprzęty myśliwskie; daléj stolik, kanapa, stare biórko z drewnianą galeryjką u góry, po nich porozrzucana nieliczna i bezładna biblioteka, papiery i kawałki „Kuryera Warszawskiego“. Trzeci pokój był szczupły ze szklanemi drzwiami na ogród; kredens i stół dębowy oznaczały dobrze jego przeznaczenie.

Gospodarz z Władysławem wszedł przez drzwi szklane do jadalnéj izby, kazał podać Józefowi nakrywającemu stół do wieczerzy nożyczki, i posadziwszy gościa na środku sypialnego pokoju, sam strzygł mu włosy, a te w pierścieniach

toczyły się po granatowéj sukmanie i padały przy jego stopach. Dobył sukni:

— Jak ci imię, panie Zawiło?

— Władysław.

— Toś mój druh, i ja Władysław; im młodsze pokolenie, tém więcéj imion słowiańskich, dobry znak. Masz suknie, prawie jednego wzrostu jesteśmy, spodziewam się, że i jednego serca.

Wyszedł, bo choć młody, jednak troskliwy gospodarz: często się trafia w Mazowszu i Wielkiéj Polsce, należącéj do Królestwa kongresowego, że młodzi pilniejsi, niż starzy. Nie znali oni pruskich czasów tak chwalonych i żałowanych przez wielu zepsutych ludzi, kiedy pieniądze płynęły z Gdańska do domów szlacheckich, a z domów szlacheckich do żydów i Niemców w Polsce zżydziałych. Polski imienia nie było, a panowie hulali po kasynach w Warszawie, Kaliszu, Włocławku. Lepsi poszli utrzymywać z Dąbrowskim pogrobową sławę Polski, leniwsi i zepsutsi balowali, poprzebierani po niemiecku i po francuzku. Zepsucie wkroczyło do Polski przez zwykły kanał, przez magnatów za Stanisława Augusta, a późniéj po rozbiorze zstąpiło do szlachty. Dziś częściéj się zdarza, że młody wspomina z uczuciem dziadów swoich, wzdycha do staropolskich czasów i utyskuje na ojca, że miasto prawideł wiary i staroświeckiéj godności w sercu, mniemaniu, nawet postawie i ruchu, kazał go uczyć przedewszystkiém paplać i szastac się po francuzku. Zdaje się, że Bóg piętnem zarazy naznaczył to pokolenie, które na upadek Polski patrzyło. Bodajby młodzież trwała w dobrym duchu i ile możności do staropolskich obyczajów wróciła. W języku, w ubiorze, w wierze, w pieśni, we wszystkiém jest narodowość; strzeżmy każdéj cegiełki, bo jak cegiełka po cegiełce odpadać będzie, to i gmach się zwali. Podupadł znacznie niestety! niech teraz każdy podniesie cegiełkę, aby gmach naprawić.

Gospodarz powrócił:

— No, druhu, jakby na ciebie suknie robione, doskonaleś ubrany; teraz proszę cię na skromną wieczerzą, cho-

ciaż ta w staropolskich domach suta zazwyczaj bywa we Czwartek. Weszli do jadalnéj izby: stół porządnie przykryty, na kredensie półmisków przed parą nie widać. Usiedli, a stary Józef obnosił zrazy i kartofle; gawęda nie była żywa, bo żywo jedli; gospodarz zmęczył się, biegając cały dzień na koniu, a gość jeszcze więcéj, wędrując pieszo w ciężkich butach po piasku.

— Józef! przynieś wina; tobie trzeba sił do podróży nabrać, a ja też muszę z druhem kieliszek dobrego węgrzyna wypić.

Stary sługa, który był razem strzelcem, lokajem, piwniczym i najlepszym powiernikiem, bo on to pana wypiastował, późniéj do szkół do Płocka odwoził i na święta do domu przywoził, w końcu był z nim na wojaczce, zabrzęknął kluczami i niedługo powrócił z zapleśniałą butelką. Wyciągnął korek, podał kieliszki i wpatrzył się w Zawiłę. Co to za jeden, myślił sobie w duszy: skrycie przyszedł po chłopsku przebrany, pan sam go ostrzygł, w swoje suknie ubrał i teraz najlepszym winem częstuje, dziwne to rzeczy? Czy to nie pan Zawisza, co ma się z chłopami po borach włóczyć? ale tam tego widziałem, jak pułk płocki z drugim Mazurów razem stały w obozie; tam ten wyższy, cieńszy i nie tak mocno zarastał, może to drugi taki? jeszcze pana w kabałę wpląta, bo to jak żywe srébro, zawsze tylko do pałasza wzdycha. Tak sobie marzył, kiedy wieczerzający zmietli zrazy i kartofle; wtenczas odmienił talerze i skoczył jak jaki młodzik po parę kurczaków i śmietanę. Po zrazach lepiéj szła gawędka, już nie tak szybko z talerzów uciekały do gęby skrzydełka kurczaków.

Wtém konie zatętniały przed dworem i bryczka zaturkotała po bruku. Gospodarz się porwał z miejsca.

— Józef, odstaw jedno krzesło, żeby znaku nie było, że nas dwóch jadło. Zawiła! ruszaj na ogród, jeśli mój głos usłyszysz, umykaj w żyta i sam wybiegł do sieni, ale wrócił radosny.

— Stój druhu! Józef! jeszcze jeden kieliszek i parę butelek wina, to szanowny Pan Podstoli Czajkowski z Maliny.

Wszedł starzec ośmdziesięcioletni, poważnie zdjął czapkę, poprawił pasa na piaskowym kontuszu i biorąc gospodarza za rękę.

— Panie Władysławie, rzecze, wiém, żeś gościnny, zajechałem więc bez ceremoniji na nocleg, bom się nieco opóźnił w drodze, a mnie staremu trudno się włóczyć po nocy.

— Panie Podstoli dobrodzieju, cały dom mój na pańskie usługi: oto mamy gościa.... tu pomyślił trochę i tak daléj mówił: wraca z Francyji, tęskno mu było do Polski i z niebezpieczeństwem życia przyszedł na krótki czas nawiedzić Ojczyznę; pogawędzimy razem, a tymczasem kieliszek starego węgrzyna, panie Podstoli.

Starzec zasiadł w krześle, odetchnął, żeby sobie ulżyć po dziennném strudzeniu i zapytał Zawiłę: dawno wrócił, na długo, z których stron, kto go rodzi; przypomniał sobie, że zna jego rodzinę, kiedy niekiedy pociągnął węgrzyna. Tymczasem gospodarz, który był wyszedł na chwilę, zrobiwszy na prędce potrzebne rozporządzenia do przyjęcia gości i do rannego odjazdu Zawiły, powrócił. Dopiéro kieliszki zaczęły dzwonić, a pan Czajkowski niezmordowany, jak stary Polak w gawędzie politycznéj i przytém mądry człowiek, nie tylko doświadczeniem, ale i nauką, zaczął pomnażać pytania o Paryżu o braciach wygnanych, o partyjach, o swarach.

— Smutna to rzecz, mówił, że zamiast razem myśléć o Ojczyźnie, wspiérać się wzajemnie i każdy po swojemu pracować dla kraju, dręczą się i prześladują nawzajem. Złe to z tego wielkie wyniknąć może: jak stępią myśl i zapał na domowych kłótniach, to Moskalom mniéj dokuczą i dla nas mała z nich nadzieja. Po wielkich wstrząśnieniach politycznych każdy naród zadrzémie i trzeba czekać innego pokolenia, żeby nową siłą pogroził. Szczęśliwe i potężne ludy mogą pohulać i podrzémać bezkarnie; urok wielkości na wodzy trzyma sąsiadów, a wieków budowa, choć zachwiana w posadach, zniszczona w częściach i rozprzężona na pozór, wystarczy na przytułek w słabości. Ale nam, kochany panie, zawsze czuwać należy i każdego nerwu chronić żadnego ciosu nie chybić. Wódz potężnego wojska może na

wiatr puszczać bomby bezkarnie; ale ściśnięty ze wszech stron wódz twierdzy musi rachować ładunki, a każdy strzał trupa położyć. Na wiatr w swarach puszczamy wystrzały, a siła moralna jest największą nadzieją naszą. Głupiejem my starzy, widząc wasze świstki paryzkie, słysząc z daleka próżne gawędy, co nas aż tutaj dochodzą. Kiedy pod ten sam Paryż zbliżały się siły Europy, a kilku adwokatów zaczęło się kłócić o formułki, wróg zaśmiał się z radości, naród osłupiał, a wielki wojownik zwątpił.

— Ależ nic łatwiejszego, jak do zgody zachęcać, odezwał się Zawiła, lecz przecież ta zgoda sparaliżowała i w niwecz obróciła ostatnie wysilenia narodu.

— Nie zgoda, kochany panie, ale brak zgody, brak zgody w sercu, w zapale, w chęci zniszczył tak szczęśliwie rozpoczęte dzieło. Nie ten źle robi, co woła: bracie, źle robisz, ale ten co źle robi, a obydwa niech się żegnają z Polską na wieki! Kiedy lud warszawski porwał się do broni, nie swarzył się między sobą i jedna ulica nie wołała na drugą, źle robisz! Zgoda była w chęci i w nadzieji, a Moskal drżał za rogatkami; jedna myśl była w duszy, jak jedna kokarda na czapkach. Ale póki téj zgody nie będzie, biada Polsce! Czy Pan uprze się przy swojém, czy chłop krwi zapragnie, klątwa wieków temu co zawini; ale biada obudwom! biada Polsce! Czytałem ja Lelewela, ale i bez niegom wiedział, bo ksiądz Piotr Skarga, jezuita, jakich niewielu, o tém prawił, i że szlachta nabrojiła, męcząc chłopków, te pracowite robaczki, które ich żywiły i żywią; za nic nie mając władzy, rwiąc sejmy, skąpiąc pieniędzy na potrzeby krajowe. My Mazury, chociaż i my burzliwi i zacięci, lecz Bóg widzi, nie tyleśmy biédy narobili, jak owa szlachta wielkopolska, z przeproszeniem, panie Kaliszaninie. Alboż się to godziło z wrogiem łączyć dla jakichsiś wykrętów religijnych? Fuj do kata! żeby sobie już jaką polską wiarkę wymyślili, jak dobrze mówił wielki człowiek Hozyusz za czasów Zygmuntowskich; miasto jak małpy Niemców naśladować, a szczególniéj tego skurczypałkę mnicha, co mu się w klasztorze siedziéć nie chciało. Wstyd im, wstyd im! jak tym co

późniéj kozaczyznę rozdraźnili, albo co się obcym dworom lizali dla jakichsiś formułek politycznych. Bóg za to téż dzisiaj szlachtę karze. Za tę wolność złotą i breweryje ich potomkowie konają pod pałkami moskiewskiemi, marzną na Sybirze. Sprawiedliwość Bozka jest wszędzie i we wszystkiém; jednego człowieka złego czasem cierpi na tym świecie, bo na tamtym go może ukarać; ale całe towarzystwa tu na ziemi na synach i wnukach karze, bo na tamtym towarzystw ani kast nie ma.

Lecz jednak to nie racyja, żeby szlachtę wyrzynać i....

— Panie Podstoli, któż myśli o rzeziach?

— Czy myśli, czy nie myśli, to jéj rady nie da, bo jak Waszeć, Mości Panie Zawiło, widzę przed sobą, takbym jeszcze, choć ośmdziesiąt lat mija, wziął się do korda i bronił!

Tu stary zaczerwienił się, żyły wystąpiły na czole i ręce szukały jakby karabeli. Ale powoli ochłonął, pogłaskał biały wąs ku dołowi i wziąwszy kieliszek do ręki:

— Mości gospodarzu i panie Wielkopolaninie, rzecze, żebym Waszmościom dowiódł, że kocham lud rólniczy i że gotów jestem głosować za jego wolnością, piję razem zdrowie braci szlachty i chłopków.

— Zdrowie szlachty i braci chłopków, zawołał gospodarz, a stary dźwignął się z krzesła i obadwaj młodzi powstali. Wieczór się skończył wesoło. Podstoli sobie podochocił, a nic świętszego dla młodzieży dzisiejszéj w Polsce, jak polonus w kontuszu; nic pożądańszego, jak jego rozmowa wesoła a poważna; prosta a pełna godności i jędrna.

Wioska kujawska.

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Któryż głos twéj chwale zdoła!
Człowiek z swéj pracy uczciwie
Bez wszelakiéj lichwy żywie....

Jan Kochanowski.

Zaledwie jutrzenka wpłynęła na niebo i na wschodzie złote promienie zaczęły wytryskać z za lasów i przedzierzgiwać jasnemi włosy drzew wierzchołki, skaro-gniady i kasztan z siemieniatą grzywą zabrzęczały podkowami po bruku przede dworem. Gniady krzesał iskry białą po pęcinę nogą, a kasztan zadarł łeb z promienistą gwiazdą i zarżał donośnie do swych braci tętniących przez wieś pochulać na smugach. Światełka migają w sypialnéj i jadalnéj izbie; dwóch Władysławów włożyło kapelusze. Józef przyniósł flaszkę gdańskiéj wódki i śliwek nawleczonych na trzcinkę — do ciebie druhu! — rzekł gospodarz, napili się, przegryźli i cicho z jadalnéj izby wyszli do sieni, żeby pana Podstolego, śpiącego w piérwszym pokoju, nie przebudzić. Gospodarz odstąpił skarogniadego gościowi i sam wskoczył na kasztana. Wyjechali wolno z podwórza, stępo kroczyli przez wieś, dopiéro za kołowrotem rypnęli cwałem. Gniady dał parę susów i wyciągnął się jak struna; kasztan, choć mniejszy, dotrzymuje, rozpuścił ku słońcu siemieniatą grzywę, a śledziona gra w piersiach.

Słońce ćwiercią krwawego koła wyjrzało z za lasów, biała płachta okryła smugi, trawka i kwiatki białe i żółte przy wązkiéj dróżce błyszczą perłową rosą, zielone żyto chwieje się lekko po błoniach, powietrze świéże rozdyma piersi — aż miło go łyknąć! orzeźwiło płuca, wygnało sen z głowy, ochłodziło oblicze. Piękny to Maj w Polsce! ani potrzeba zazdrościć cudzego nieba, a takiego błonia i smugów próżno szukać za słowiańszczyzną. W całéj Europie porznięte na kawały, podzielone; tak je porównać można do pól naszych, jak lichą na wsi sadzawkę do sławnego Gopła

w Kujawach. Swobodne to czasy były, kiedy na bułanku, wązką drożyną między grającém w polach zbożem, leciało się o świcie z wioski do wioski. Nie po angielsku człowiek bujał, ani tańcował krótkim czwałem na niemieckiéj zajeżdżonéj w rajtszuli szkapie, ale puścił bułankowi wodze, a on darł co siły, jak sam się wyuczył na smugach. Co rok prawie inny, a zawsze bułany i swego chowu. Przytrzymali trochę koni, parskają — radzi im będą, gdzie zajadą.

— Druhu, masz list do Kłubki pod Kowalem, tam miészka przyjaciel mego ojca, on cię dobrze przyjmie, a że ma kilku synów, u których młodzież z okolicy bywa i często kto z familiji z rawskiego przyjedzie, przeto nie zwróci uwagi, choćby i kto był za ciekawy. Z synami się zapoznaj, ale na Boga zaklinam cię, nie wywódź ich z domu.

— Ja z chłopami mam do czynienia, szlachcie oświadczam tylko moję misyją, i koniec; komu trafi do serca, niech idzie.

— Druhu, powiédz prawdę, masz jaką nadzieję?

— Dzisiaj żadnéj, udając się do Polski, miałem wielką. Widzę teraz, że lud nieprzygotowany, że cała władza w ręku szlachty, a ta się nie rusza; upadek ostatniéj rewolucyji ciąży na niéj kamieniem. Studentem mnie noc dwudziestego dziewiątego zastała, kraju nie znałem, a we Francyji krzyki oszołomiły mnie.

— I czemuż nie porzucisz planu?

— Nie wolno, w całéj Polsce ruchy rozpoczęły się; wątpić w duszy mogę, ale działać z gorliwością powinienem. Biada temu, który dobrą sprawę dla tego opuszcza, że zwątpił — ileż razy mylić się może? O gdyby tę prawdę wiedzieli ci, którzy na czele wojska stali w ostatnich wysileniach narodu! Wreszcie, płodna jest krew' wylana na ojczystéj ziemi, lepiéj zginąć tu, niż w Portugaliji lub Algierze! — Każdy trup moskiewski, każdy stryczek na gardle Polaka świadczy o życiu Polski. Jęki Łukasińskiego, Sołtyka, Krzyżanowskiego były ciężkiemi westchnieniami Ojczyzny do lepszych czasów, były proroctwem jéj zmartwychwstania.

— A biédne uwiedzione chłopy?

— Poszliby w rekruty, a nasze słowa nie zginą między ludem — nasza krew' je poświęci.

— Czyliż nie lepiéj na lepsze czasy dzielną krew' zachować?

— Polsce nigdy na synach mężnych nie zabrakło. Widziałem igrające dzieci z pałaszami drewnianemi, męztwo im z oczu patrzało, dajmy im przykład.

— Nie masz nikogo, cobyć żałował na ziemi, coby zapłakał po tobie?

— Mam!

— Żyj więc dla niego.

— Nie wolno!

— Bądź zdrów, druhu, słońce wysoko na niebie, muszę wrócić; bodaj więcéj takich synów Polska liczyła w potrzebie.

— Bądź zdrów, przypomnij mnie Podstolemu.

Konie, jak dwie kule wyrzucone z jednego działa, w przeciwne strony puściły się drogą. Zawiła upędził dwie mile, zatrzymał gniadosza i zapytał przechodzącego chłopa:

— Przyjacielu, daleko do Kowala?

— Niedaleko, panie, odpowiedział wieśniak, uchyliwszy czapki.

— Ale jak daleko?

— Milka mała, za pół godziny pan staniesz na miejscu.

Gniady zatętnił daléj po drodze. Władysław pomyślił sobie: Kujawiak prawdziwy, mazura nie zaciął; dwie mile, a jaka różnica w ubraniu, w mowie, może w zwyczajach i w charakterze; gdy tymczasem w całéj Europie szlachta i miasta coraz podobniejsze. Śmiéjmy się z zaręczeń i zdrady francuzkiéj; chłop nasz bez nich narodowość prawnukom dochowa. Nie przebierze się, nie zmieni języka i wiary. Uśmiéchnął się, przypomniał sobie, że kiedy jeździł dzieckiem ze szkół na wakacyje do wuja, i każdego chłopa, każdéj baby pytał: — A daleko do domu? odpowiédź była zwyczajna: niedaleko, lub daleko. Koniecznie trzeba było powtórzyć pytanie, jak daleko, aby się prawdy dowiedziéć.

Wieża nowo wyporządzonego kościoła zaświéciła w powietrzu; dobrodziejstwo rządu Kongresowéj Polski, bękarciéj struktury, niezgrabna jak w Gostyninie, wybielona, mizdrzy się do słońca. Kupka czarnych, drewnianych, pokrzywionych domków obsiadła kościół, gdzie niegdzie czerwieni się dachówka. Licha mieścina, a jednak piérwszy płacz wielkiego króla słyszała: tam Kazimiérz Wielki się narodził. Łokietek i syn jego byli nasi Kujawiacy. Wpadł do miasta, przebiegł jednę brukowaną ulicę, daléj parę piaszczystych, nie spojrzał na brudne żydowstwo, szachrujące na rynku, i kilku brzydkich żołdaków moskiewskich włóczących się między domami z furażem lub kociołkami, zatrzymał się na końcu i pytał o drogę do Kłubki.

— Jedź pan gościńcem prosto do boru; przed samym borem weź pan małą dróżkę na prawo i znowu prosto polem aż do Kłubki.

— Jak daleko jeszcze?

— Dobra mila.

Na prawo i na lewo smugi, kawałami czarna ziemia, chociaż to jeszcze Borowe Kujawy. Z daleka między łąkami widać bogatą wioskę Bogusławice Komeckich; drewniany dwór z gankiem wygląda z za chat licznych i porządnych. Wziął dróżynę na prawo, wbiegł do Grabkowa, przejechał koło murowanego kościoła, do Kępki Sokołowskich, i daléj ruszył szczérém polem. Upędził kawał drogi, pyta pracujących w polu: — Daleko do Kłubki?

— A zkąd pan jedziesz?

— Z Kowala.

— To pan zbłądził; ale nie masz rady, jedź pan teraz do Szczutkowa pana Gójskiego; trzeba objechać, bo nad rzéczką wszędzie koń ulgnie. Widzisz pan kaplicę św. Prokopa za wodą na smugach, a daléj kościół z wieżą na górze? To Kłubka. Zawiła świsnął, koń chrapnął i poleciał.

Siódma rano: gniadosz wygląda z boru, krocząc wolno, zstępuje z góry; zmęczył się, półczwartéj mili uleciał. Władysław przypatruje się okolicy. Półkolem stary las otacza i podchodzi blizko pod wioskę leżącą pół w dole, pół na gó-

rze; na prawo rozległe jezioro, na lewo smugi i rzéczka. O kilkaset kroków od jeziora turkoce młyn i woda szumi z pod mostu na koła i daléj srébrną wstęgą wije się wśród zielonych brzegów; topole szeleszczą za młynem. Zatupotał gniady po moście, z jednéj strony murowane gumna, z drugiéj migają sztachety, za nimi drewniany dwór z gankiem, za dworem ogród, za ogrodem czerwieni dachówką gorzelnia i wołownia. Széroki plac nakształt rynku otworzył się; na środku murowana kuźnia, na górze półdrewniany, pół murowany stary kościół z wieżą, przechowuje od wieków cudowny obraz św. Prokopa, odmalowanego konno, w srébrnéj zbroi, przeniesiony z kaplicy pilnującéj grobów nad smugami przy drodze do Kowala. Z pod kościoła dwoma rzędami zstępują chaty i plac otaczają. Zawiła wjechał w bramę, służący wybiegł i odebrał konia, a młodzian siedemnastoletni pokazał się na ganku, aby gościa przyjąć. Z rogu dworu wygląda parę główek przez okno — znać uczących się chłopczyków. Młody gospodarz otworzył drzwi na prawo i prosił gościa do pokoju. Dwa pokoje porządne, nie wiele zamiészkane, pewno przeznaczone do przyjęcia gościa. Nad jedném oknem brzoskwinia rozpostarła gałęzie, daléj widać klomby z kwiatami. Ludwik, bo tak było imię najstarszemu synowi, pytał, kogo ma szczęście witać:

— Jestem Władysław Zawiła — czy nie zastałem ojca pańskiego?

— Tak jakbyś pan zastał, bo za chwilę powróci — ale otóż i wraca.

Rosła bułana klacz z białą grzywą i białym po pęciny ogonem stanęła przed gankiem, a kiedy ją służący trzymał przy pysku, wyciągnęła się spokojnie, strzygła uszami, i zadarszy łba, patrzyła jakby na gołębie siedzące na dachu oficyny. Wszedł gospodarz w granatowym, zapiętym surducie, w letnich, białych w niebieskie paski spodniach, małego wzrostu, szczupły, włosy czarne gęsto okrywały tył głowy, z przodu rzadkie, krótko przycięte, nie dostawały do wysokiego czoła. Oko niebieskie, łagodne, a słabowity rumieniec i zbytnia białość ręki zdradzały nadwerężone zdrowie. Na twarzy spo-

czywało spokojne zamyślenie, ale kiedy mówił, czoło białe w liczne marszczyło się rysy i oko nabiérało ognia; może w spokojném, niby szczęśliwém, wiejskiém zaciszu wiele ciérpiał? może namiętna była młodość? Ruchy składne, ale nie nawykłe do zbytniéj grzeczności. Zapytał: kogo ma szczęście witać w domu, a Zawiła oddał list i powtórzył nazwisko. Gospodarz przeczytał, i składając papiér, zmarszczył brew i rzekł do syna:

— Ludwiku, każ dać śniadanie.

Ludwik zrozumiał, że nie potrzebny i wyszedł; nigdy on nie śmiał zrobić najmniejszéj uwagi na rozkaz ojca, bo choć ojciec był łagodny w obcowaniu, synowie czuli, że pobłażania nie będzie, i bali się, choć wąs się sypał. Są ludzie łagodnego charakteru, z któremi igrać nie wolno.

— Jesteś gościem u mnie, panie Zawiło, tém więcéj pożądanym, że znam twoję szanowną rodzinę, zrobisz z roztropnością co zechcesz, ale ani słowa o twoich planach synom moim! Tobie radzić mogę, sprzeciwiać się nie mam prawa, a nimi rozrządzam. Dokąd myślisz udać się ztąd?

— W Kaliskie.

— Co robić?

— Powstanie.

— Nie uda się. Gdybym ja tu rzekł słowo, wszystkie chłopy porwały by się za kosy, za tobą żaden nie pójdzie. Wiém ja, że żeby cała szlachta szczérze się wzięła do broni, wyrugowała z serca samolubstwo i podała rękę ludowi, toby nakoniec dała radę Moskalom. Ale póki tylko kilka głów młodych będzie o powstaniu myślało, a szlachta chwalić się z kilku szkap i talarów danych na ołtarz Ojczyzny bez poświęcenia Wiśniowieckich, Czarneckich i Puławskich; póki pankowie młodzi zamiast poruszenia ludu, co im traf ślepy, a często zasługi przodków tysiącami oddały w ręce, włóczyć się będą przy pułkach i sztabach, i więcéj zawalać drogę, niż bić wypieszczoną ręką Moskala; póty powstania mijać będą jedne po drugich, a biédny kraj będzie jęczał w niewoli. Niech jak chce będzie, brzydka to rzecz upadek ostatniéj rewolucyi. Swar w rządzie, nieład w Warszawie, rozprzężenie

w wojsku. Snać, że Bóg pomięszał języki i osłabił ręce, aby nową niewolą ukarał zarozumiałość i swawolą, oduczył swarów i płochości; aby pokazał pod ciężkiém jarzmem, że to nie dla igraszki i przechwałek powstaje się i krew' ludzką przeléwa; że lepiéj zginąć, niż jęczéć pod batami rozdrażnionego wroga. Wielka to nauka dla przyszłego pokolenia, dla synów moich i dla ciebie nawet, panie Zawiło, co przychodzisz bez zastanowienia, choć z najlepszéj chęci, rozszérzać nienawiść między wieśniakami a szlachtą. Przyjdzie czas, ja go widzę przed sobą, kiedy Polak uczuje głęboko miłość bliźniego i porządku, kiedy jedna myśl, jak u ludu chrześcijańskiego na Podniesienie Pańskie w kościele, zabłyśnie w całéj Polsce, wtenczas chłop otrząśnie kajdany i cały naród bez szémrania i swarów pójdzie za natchnionym od Boga.

Zamyślili się obadwa i chwila była milczenia. Widzi Zawiła, że każdy kto zna Polskę, zastanawia się nad jéj położeniem, usposobieniem i przyszłością, czuje potrzebę wolności chłopów, poprawy szlachty i panów, zamiłowania porządku i silnéj władzy; stary pan Czajkowski, druh jego, i gospodarz co go przyjmuje jedno prawią. Poznaje, że na téj drodze działać, to przekonanie rozszérzać, jedyny jest sposób okupienia ogromnych sił narodu, tyle razy źle użytych, zmarnowanych. — Przekonywa się, że szlachta zrobiła wielki postęp od ostatniéj rewolucyji; że w wielu sercach tleje iskra dobrego, i jednéj chwili szczęśliwéj potrzeba, żeby wybuchnęła płomieniem, spaliła wroga i oczyszczoną z niewoli wewnętrznéj i zewnętrznéj odlała Polskę.

Gospodarz wstał i prosił z sobą na drugą stronę gościa.

— Bądź u mnie, jak w własnym domu, mówił do niego na końcu, zastanów się nad tém, com ci radził, a potém rób co chcesz, niech ci Bóg dopomaga.

Wieczorem Zawiła z trzema synami gospodarza był na drodze za wsią: poszli byli piechotą odwiedzić kaplicę św. Prokopa. Tam ciała spoczywają pracowitych wieśniaków z Kłubki i okolicznych wiosek; tam jest grób murowany właściciela Kłubki. Jeszcze pół drogi nie uszli, kiedy spostrzegli na żwawym bułanym mierzynie pędzącego Ludwika od

Kowala; przybiegł, w miejscu zatrzymał konia, skoczył na ziemię i zawołał:

— Łucyjan, tyś z nich najmłodszy, ale najdzielniejszy do konia, siadaj, a ja z gościem zostanę.

— Łucyjan dał susa z radości.

— O! kiedy strzemiona za długie.

— Ruszaj bez strzemion.

Malec dostał się na siodło i kłusem pobiegł do wsi.

— Tęgi z niego będzie żołniérz, zręczny i śmiały — co „trójkątów", to na żaden żywy sposób pojąć nie może.

— Ja nie wiém, rzekł drugi z porządku starszeństwa do Ludwika, co ty niby poeta, a zawsze w iksach siedzisz.

— Wiele się dla miłości własnéj robi; a ty Ignacy, co ty ze swojéj łaciny zbudujesz?

I byłaby się sprzeczka zaczęła, gdyby Zawiła nie przerwał.

— To pan Ludwik poeta?

— Eh nie, ja lubię wiérsze, ale ich nie piszę; chyba czasem z okoliczności; naprzykład, jak Ignasiowi zdechła świńka morska, co ją bardzo kochał....

— Tylko proszę cię, Ludwiku.

— A już z temi wierszami muszę się popisać; zresztą, czego się to wstydzić, że się dzieckiem było w trzynastym roku życia.

— No, to już gadaj.

— Ignaś więc tedy miał świńkę morską, co ze szczurami każdéj nocy wojowała, a on jéj dopomagał i naumyślnie po kryjomu do śpichlerza na polowanie chodził; aż tu raz wyjechał i świnkę szczury zagryzły. W płacz, kazał jéj grób wykopać pod brzoskwinią, co pan widział pod oknem w ogrodzie, i pochował. Ojciec szepnął mi do ucha: napisz nagrobek, przypniemy na drzewie, trzeba go skarać, że takie figle pokryjomu wyrabiał. Ja wziąłem pióro i napisałem:

Pod tém tu małém drzewkiem, pod tą tu brzoskwińką,
Ignaś zwłoki schowawszy, rozstał się ze świńką.
Z tą... o kiedym zapomniał reszty!

— Ha, ha, ha, ja ci też nie przypomnę, wykrzyknął Ignacy ucieszony.

Przerwała się więc historyja o świńce, ale za to zawiązała się obszerna rozprawa o poezyji. Młodzi opowiadali o Zawile, jak pan profesor za romantycyzmem, a pan rektor Morykoni za klasycyzmem obstawa, późniéj wpadszy w wesoły humor, przyznali się do wielu figlów szkólnych itd. itd. Ale Zawile romantycyzm i klasycyzm utkwił w głowie: mój Boże, myślił sobie, zapewne i pan rektor i pan profesor szukali piękności, a każdy gdzieindziéj; co ten piękne znajdował, to ten nieznośne, i przeciwnie. Może jeden drugiego nie tylko o głupstwo, ale o złą wiarę, o interesowność posądzał. Tak i we Francyji kłócą się i ja się kłóciłem, Bóg wié o co: ci demokraty, ci doktrynery, ci demagogi, a wszyscy grzészą, chociaż wszyscy chcą Polski. Co tam krzyku na złą wiarę, na ignorantyzm, na utopije i na inne rozliczne wyrazy; a wszyscy zapewne tak przesadzają, jak pan profesor potępiając Krasickiego, a pan rektor Mickiewicza.

Rozmawiając młodzież, przyszła do cmentarza, chylącego się od drogi ku łąkom, tak że kaplica z tyłu na wysokiém podmurowaniu się opiéra, gdy tymczasem z przodu wprost na ziemi stoji. Z pod kaplicy płynie rynną źródlana woda, zimna, czysta, aż pragnienie bierze. Ludwik posłał trzeciego brata Konstantego, żeby urwał parę słomek żyta zielonego, co powiéwało z boku cmentarza. Kostuś wrócił niedługo i wszyscy pili, ciągnąc wodę przez słomki. Potém młodzi gospodarze opowiadali Zawile, jak wielki odpust bywa w Kłubce na śty Prokop 6go Lipca, jak kilka tysięcy dzbanuszków roznosi wodę cudowną corocznie na całą okolicę. Zawiła obejrzawszy kaplicę, przypomniał towarzyszom, że słońce chyliło się ku zachodowi, i że czas wracać. Gawędka trwała przez całą drogę: zbliżając się do bramy, usłyszeli bek owiec i jagniąt, a widząc ojca idącego w tę stronę z małym Władysiem, pobiegli za nim. Gospodarz przywitał Zawiłę lekkim uśmiéchem i pytał, jak mu się podobała kaplica, i czy widział grób i miejsce dla niego, bo mówił daléj: ja niedługo tam spocznę.

— O ojcze, wykrzyknęły dzieci, czego też o śmierci myśléć.

— Nie, ja się nie mylę, odpowiedział ojciec z westchnieniem; proście tylko Boga, żebym tu między wami został, boby mi przykro było gdzie daleko od was skończyć.

Przybliżyli się do owiec beczących i kręcących się przed wielką murowaną owczarnią, z wystawą na murowanych słupach. Władzio wpadł między jagnięta i zaczął gonić, aż ojciec musiał zawołać i fuknąć; ładne i posłuszne dziecko przybiegło natychmiast i stanęło spokojnie, tylko z boku spoglądało z niecierpliwością i kiedy niekiedy skubnęło przechodzącego jagniaczka z wielkiéj miłości. Już matki poznajdowały płód swój i nadstawiły wymiona, a małe podsadzały się i kręciły ogonkami, ciągnąc ciepłe mléko. Tymczasem gospodarz opowiadał Zawile, jakim sposobem przyszedł do tak pięknéj owczarni, jak znaczną korzyść właścicielom przynosi ten rodzaj przemysłu, ile Polska winna panu Alojzemu Biernackiemu, który przyczynił się znacznie do rozmnożenia w kraju dobrego gatunku owiec. Pokazywał mu parę jagniąt, które po kształcie poznał, że są po sulisławickich baranach.

Zawiła zaczął chwalić zabudowanie, na co gospodarz odpowiedział:

— Wielki to koszt, łaskawy panie, ale jednak nie żal mi go wprawdzie, bo widzę, że kilku sąsiadów naśladować myśli, a lepiéj w budowle włożyć pieniądze, niżeli je na biesiadach i pijatykach przehulać. W tém my rozsądniejsi od ojców naszych, mniéj pijatyki i sług wałęsających się przy dworach, a gumna często porządniejsze, niż dawniéj. Bogdajbyśmy się we wszystkiém co złego poprawili, a nie zapominali co nam dziadowie dobrego w spuściźnie zostawili. — Oczyścić staropolskie obyczaje, ale ich nie zaciérać zupełnie. Trzeba się starać być dobrymi Polakami, ale nie cudzoziemczyć. Nie tracić majątków na zbytki, ale nie zapomnieć gościnności; popiérać przemysł i handel, ale nie zostać żydami.

Kiedy opuszczali owczarnią, stadnina tuż koło nich przebiegła.

— Pan się kochasz w koniach, rzekł Zawiła.

— Wyszedłem z pięknych koni od czasu, jak mi się raz cała stadnina spaliła; wreszcie ja sam sobie winien jestem, jeśli gorzéj teraz, niż dawniéj, jeżdżę. Miałem piękny gatunek polskich koni bułanych z białemi grzywami; lecz że to maść nie w modzie, odmieniłem ogiery i popsułem rasę. Moja klacz wiérzchowa jest ostatni zabytek dawnéj stajni, będę na niéj jeździł póki starczy, a potém dam chléb łaskawy, i to po staropolsku, nie tak jak dzisiaj robią, co choć siana nie brakuje, dają na umęczenie żydom poczciwe bydlę, które całe życie wiernie służyło. Dziwna rzecz, że w Polsce w ostatnich czasach wszystko w niwecz poszło. Polskie konie sławne były i podobno trudnoby w Europie znaléźć było lepszy gatunek, jednakże przez jakieś szczególniejsze niedbalstwo, naród który z natury do konia jest przywiązany, prawie zupełnie tę rasę doskonałą zagubił. Inne narody potworzyły sobie gatunki, których dawniéj nie miały, a my straciliśmy to co nam w spadku po naszych dziadach zostało. To niby niepozorna okoliczność, a jednak wiele do myślącego człowieka mówić może o usposobieniu narodu w ostatnich wiekach. Chłopów więcéj uciskano przed samym upadkiem kraju jak kiedykolwiek; a ani dorodnego konia, ani bogatego sprzętu napotkać nie można w domach zamożnych niegdyś rodzin na Mazowszu i Wielkopolsce; nawet złoto lite pasy do żydów poszły, tylko stara szlachcianka czasem opowiada, że u jéj dziada srébrnemi cebrami wodę noszono.

Mrok gruby zapadł, gdy Zawiła zasiadł do wieczerzy. W wielkiéj jadalnéj izbie nakryty był stół czworoboczny, długi, na piętnaście osób. Na samém czele posadzono dwie staruszki ośmdziesięcioletnie, to matki gospodarstwa. Między jedną z nich a panem domu było miejsce Zawiły; za ojcem pięciu synów przegrodzonych nauczycielem, a na przeciwko Zawiły gospodyni; daléj guwernantka i trzy córki — liczna rodzina. Najwymowniejsza ze wszystkich była matka gospodyni, kobiéta rozsądna, nad swój wiek żywa. Zna wiele rodzin, pamięta wiele wypadków politycznych i zdarzeń familijnych, znać że żyła między ludźmi. Rozmowa wpadła jakoś

na Jezuitów, zapewne ztąd poszło, iż żalono się, że od rewolucyji, czyli raczéj od jéj upadku, szkoły wojewódzkie zamknięte, a chłopcy od długiego czasu w domu próżnują. Staruszka pomna na wielką przyjaźń z Jezuitami jéj męża, śp. pana sędziego rawskiego, wielce utyskiwała na złość i szkalowania ludzkie, które kraj pozbawiły tak użytecznego zakonu. Pan Ludwik sprzeciwił się w zdaniu babce i dyskusyja zaczęła się żwawo, bo nawet i Zawiła się wmięszał.

— Wierzaj mi Asendzi Dobrodzieju, mówiła pani sędzinę rawska, że mój mąż niebożczyk, Panie świéć mu na duszę, był to człowiek bardzo światły, żył w przyjaźni z jegomością księdzem Prymasem, u niego bywał w Skierniewicach i listy do niego pisywał po łacinie; a wystaw sobie Asendzi Dobr., że trzy dni nie jadł i nie spał, jak się dowiedział, że Jezuitów skasowano. Pan Ludwik się sprzeciwia, a jabym mu życzyła, aby na takiego człowieka wyszedł, jak dziad jego, co dziś w Bogu spoczywa.

— A mnie zaś ks. Pijarzy powiadali, że Jezuici kraj zgubili przez swoje intrygi, i że od czasu, jak się w Polsce zjawili, akademija krakowska i oświata upadły.

Ojciec spojrzał surowo na najstarszego syna, a babka tak odparła:

— Pijarzy kłamią, oni to wypędzili przez zazdrość Jezuitów i dla tego to dzisiaj ich oczerniają. Ja Wasanu powiadam, że nigdy tak młodzież dobrze trzymana nie była, jak u nich, i gdybyś się Wasan u Jezuitów wychował, tobyś starszych szanował lepiéj i w ptaki im nie wpadał, kiedy rozmawiają.

Pan dyrektor, który nie lubił także Jezuitów, powiedział następującą przepowiastkę:

— Jednego razu zjechali się Pijar z Jezuitą i pili razem wino. W tém mucha wpadła w kieliszek Pijarowi, ten ją wyjmując, wykrzyknął: O! Jezu-i-ta bestyja pije wino!

Dzieci zaczęły się śmiać, a gospodarz brwi zmarszczył i kiwnął głową — znać że mu nie podobała się powiastka.

Po wieczerzy całe towarzystwo przeszło do bawialnych pokojów; guwernantka z córkami usiadła blizko fortepianu,

a najstarsza panna zaczęła brzdąkać, ale nie tęgo, bo wyznać należy, że na nieszczęście cała familija nie bardzo muzykalna. Władyś się kręcił koło babunów z dwoma średnimi braćmi, a Ignacy rozmawiał z ojcem o gospodarstwie; zdawało się, że ojciec najwięcéj go kochał, bo był wymowny, ogromną miał pamięć i doskonale się uczył. Zawiła i Ludwik usiedli z gospodynią domu i radzili o Polsce. Gospodyni niegdyś piękna, dziś słabego zdrowia, łagodna, pełna szlachetnych uczuć, patryotka, kochała najstarszego syna może najwięcéj, chociaż żadnego znaku różnicy nie pokazując innym dzieciom. Ona to w nim zaszczepiła miłość Ojczyzny, a teraz drży o niego; kocha kraj jak Polka, ale lęka się o syna jak matka; powiernica jego młodzieńczych uniesień, niejednę noc w trwodze przepędzi, niejeden może od męża wyrzut usłyszy. Gdzie matki i patryotki takie jak w Polsce? Pielęgnujcie dobrych synów Ojczyźnie; w domowém zaciszu przechowując czystość storopolskich obyczajów i Ojców wiarę. Nie marząc swawolnéj wolności, jak zepsute kobiéty Zachodu, bądźcie w duszy wolnemi Polkami, a miecz carski, który nie może się dotąd wyszczerbić i stępić na karkach mężów i synów waszych, nie dosięgnie ostatniéj nadzieji odrodzenia Ojczyzny przechowanéj w waszych sercach! Wieczór zszedł przyjemnie. Boże! czyliż się nigdy nie wróci ten czas szczęśliwy, to słodkie familijne pożycie wsi polskiéj? Zawiła pożegnał całą rodzinę; skoro świt, ma wyruszyć. Gospodarz wziął go jeszcze do swego pokoju i długo z nim mówił — rozstali się ze łzami.

Ledwo jutrzenka zabłysła, gniady tętnił po moście, woda szumiała na koła, młyn turkotał; koń ruszył galopem pod górę, zleciał galopem w dolinę, minął széroko rozlane wody jeziora — i zginął w lesie.

Zawisza, kasztelan.

O błogo temu, co na ojców ziemi
Walczył i zasnął z ziomkami swojemi.
Zapomną o nim; lecz w księdze u Pana
Każda krwi kropla jego zapisana.
. . . .
Niech krzywdy nasze niepamięć pochłonie.

Antoni Górecki.

Kiedy Zawiła ciągnął węgrzyna w najlepsze i rozmawiał z panem podstolim o Paryżu i polityce, Zawisza był w daleko trudniejszém położeniu. Wysiadszy z brodzkiéj bryki pod Włocławkiem, biegł do swojich Mazurów. W uszach szumiał głos Ignacego, jego przestrogi; w oczach mimowolnie migała postać czarnobrewéj Wilhelminy. Gdy rączym krokiem dobiegał do lasu, zdawało mu się, że wstępuje pod sklepienia czarnéj katedry, a między drzewami snuły się nagrobki i leżący w zbrojach wojownicy staréj Polski. Obejrzał się niespokojny, sam jeden w borze, może zbłądził, wtenczas kiedy całe województwo napełnione żołdactwem moskiewskiém i szpiegami czyhającymi na jego zgubę. Myśli rozmaite, szybkie, bezładne, niewyraźne, krzyżowały się w jego gorącéj głowie, jak sosny przed jego oczyma, kiedy kłósował oglądając się naokoło. Stanął, słucha; cicho, tylko jakieś zwiérzątko spłoszone sunęło między trawą i liściem. Skręcił na lewo ku Wiśle, ubiegł kilkaset kroków; coś szarego mignęło między drzewem:

— Kto idzie? krzyknął Zawisza, dobył pistoletu, kurek odwiedziony chrupnął.

— To ja, panie starsy.

— Co za ja?

— Mazur ze Stzelec, mnie drudzy wygnali na zwiady, cy pana starsego Mośkále nie zabrali.

— Gdzie drudzy?

— Stoją, gdzie ich pán starsy postawił.

— Prowadź mnie do nich.

Niedługo złączyli się z oddziałem, Zawisza odetchnął. W największém niebezpieczeństwie duch się podnosi, kiedy się spojrzy na towarzysza gotowego podzielić los najzawistniejszy, a wódz często zapomina o sobie, rzuciwszy okiem na tych, co w nim całą pokładają nadzieję; moc rozkazywania zapala umysł, a uczucie powinności natchnie poświęceniem.

Zawisza kazał dwom Mazurom iść naprzód, dwóch zostawił w tyle, po jednemu wysłał na boki, a sam na czele dziewiętnastu postępował ku Wiśle. Dwóch piérwszych stanęło nad brzegiem rzéki, reszta zatrzymała się o sto kroków w lesie. Rzéka błyszczy i toczy wały po niezliczonych gwiazdach kąpiących się na dnie, białe chmurki płyną pod wodą. Na lewo ku Włocławkowi, łyskającemu mnóztwem światełek, jakoby zawieszonych w powietrzu, widać lichą chatę. Zawisza wysłał Mazura z Soboty na czele sześciu innych, aby dom otoczyć, i przyprowadzić chłopa lub Niemca co w nim miészka. Nie długo dwóch Mazurów powróciło z rybakiem wyciągniętym z łóżka: biédny drżał od strachu. Dowódzca oddziału go uspokojił, mówiąc, że mu nic złego nie zrobi i wynagrodzi nawet, jeśli mu wskaże sposób do przeprawienia się na drugą stronę Wisły. Rybak odpowiedział, że ma dwa czołna obszerne na jego usługi. Podsunęli się pod chatę, cztérnastu wsiadło w statki, i wiosła plusnęły na rzéce. Zawisza został z połową oddziału nad brzegiem; we trzy kwandranse czołna powróciły, i druga połowa wsiadła. Młody dowódzca wpatrzył się w przezroczystą wodę łamiącą się i szumiącą pod wiosłami i czołnami; gwiazdy bujały, kołysały się, mąciły pod jego stopami, daléj stały spokojnie i mrugały na swoje siostry na niebie. Zadumał się; spokojna noc — lecz jaka jutrzejsza będzie? — jakie rano? dziś byłem już tak blizki końca! Zżymnął się na wspomnienie bluźniérstw Jenerała; daléj zastanowił się nad rozmową poczciwych Kujawiaków; późniéj jego przyjaciel Kalikst Borzewski stanął mu na myśli — jaki nas koniec czeka? gdzie on legnie, a gdzie ja? dziś tak blizko jesteśmy, jakże oddalone może nasze groby będą! Co on w téj chwili

robi w Lipnowskiém? może już zebrał znaczną liczbę powstańców, i kroczy ku Płockowi? może jęczy w kajdanach moskiewskich? Przypomniał mu się Płock, i dzisiejsze rano, i ogień Zawiły, wzywającego ducha Krzywoustego na pomoc. Jeden dzień — ile zdarzeń! W głowie się kręci, myśli się plączą, zdaje się, że to sen w mistycznym biegu powiązał w jednę chwilę okoliczności lat kilku: chłop w borze, nabożny w przybytku Pańskim, ekonom przy piwie. A szelmostwo starego rozpustnika, a proroctwo młodzieńca jego wieku? Boże! co będzie jutro, jeśli czas, w którym żyję, tak bogaty w zdarzenia?

Czołno przybiło do lądu, Zawisza wyskoczył, dał trochę pieniędzy rybakowi i zakazał, żeby nic nikomu nie mówił, boby i sam się wplątał w biédę i ich zdradził. Rybak zdjął czapkę, życzył szczęśliwéj podróży, jedno czołno wyciągnął na piasek, drugiém popłynął do chaty — kto wié co myślił? —

Przez pola i smugi ciągnęły Mazury ku Skępskim lasom, nade dniem stanęli u celu. Dowódzca rozłożył straże, i pozwolił reszcie wypocząć, sam się rzucił na ziemię i twardo zasnął. Bezsenność, trud dwudziestu kilku godzin długiéj podróży i skołatanego umysłu, dały sen spokojny. Śpij, młody Arturze; ostatni to spoczynek, gdzie wyciągnięte senne ramię nie zbudzi cię brzękiem kajdan.

Jeszcze Zawisza wyciągał się na ziemi pod liściastemi gałęziami w obszernych skępskich borach w Płockiém, kiedy od strony Gostynina, Kowala i Włocławka szmer się rozszedł po lasach. Bagnety błyszczą, sarny i jelenie powstają, tchórzliwe zające nadstawiają słuchów, lisy przyczajiły się w norach. Moskale obławę robią na Mazurów, ale w szérz i wzdłuż splądrowali bory, ani żywego nie znaleźli ducha, jeśli nie chłopa zwalającego ogromną sosnę, jeśli nie zwiérza szeleszczącego w ucieczce. Próżne poszukiwania: zziajane batalijony odpoczywają w boru, żołniérze rozłożyli ognie, dym wionął do góry; biegną z kociołkami po wodę, spokojni, weseli, bez trwogi. Czegoż się mają lękać? Dwernicki i Różycki we Francyji, żołniérze czwartego pułku i drugiego uła-

nów śpią pod Grochowem i Ostrołęką; co zostało Krakusów i ich bracia młodsi leżą na granicach Azyji i w głębi Moskwy, wzdychając do Ojczyzny i do kosy; kilku Mazurów uciekło za Wisłę, reszta przewraca skiby spokojnie ze spuszczonemi głowami; szlachta, wyglądając lepszych czasów, pokryła się po wsiach; w Warszawie buczą pojazdy, brzęczą szable moskiewskie.

Co innego się działo po drugiéj stronie Wisły. Skoro promienie słońca przedarły się przez liście i przez znużone powieki, i drasnęły czujną źrenicę Zawiszy, obejrzał straże, wybrał jednego, obudził i oddał mu kartkę z napisem: „Dwudziestu pięciu w skępskich lasach. Co robisz? Co my mamy robić?“ Kazał mu ją dobrze schować i wysłał do jednego obywatela w Lipnowskiém, który się z Borzewskim znosił. „Jutro złączymy się, rzekł mu na odchodném: ten, któremu oddasz kartkę, uwiadomi cię, jakim sposobem.“ — Mazur pobiegł. Zawisza położył się na ziemi, oparł się na łokciu i patrząc to na śpiących Mazurów, to w głąb' lasu, zadumał się głęboko. Nie jedna myśl o bojach, o odrodzeniu się Polski, może o przyszłéj chwale imienia Zawiszów, przeleciała przez głowę, niejedno niewyraźne przeczucie nieszczęść i zgrozy ścisnęło serce. Wtém tętent jakby ciężko kłusującego konia doleciał uszu jego, spojrzał i porwał się równemi nogami na widok powracającego Mazura z rozwianym włosem, z podniesionemi rękami.

— Panie starsy, krzyknął wstrząsnąwszy ramionami w górze, Moskáli kieby roju, ze wsystkich strón nas otacają!

Zawisza uchwycił tuż przy nim leżącą kosę: „do broni Mazury.“

Stanęło dwudziestu pięciu, chłopy jak dęby, szerokie żelaza stérczą nad głowy, z czoła patrzy zacięta hardość, zabłysnęły oczy, jakby jedna iskra przeleciała wężykiem; pod sukmanami młotem biją serca. Zawisza wyniósł głowę, prawe ramie wyciągnął, uderzył drzewcem kosy o ziemię:

— Bracia, zawołał donośnie, dziś piérwszy raz krew' wolnego chłopa zbroczy ziemię polską; niech pozna Moskal,

w co się obrócą jego grabieże, gdy taką wojnę rozpocznie! Za mną Mazury!

Jaka postać była wtenczas Artura Zawiszy!? Wysoka, smukła kibić gięła się składnie, czarne oko ciskało iskry, jak płomienie ze słońcem igrającéj w górze kosy, na śniadych obliczach krzyżowały się błyskawice zapału, jak gońce piorunów przed burzą. Piérwszy raz ze szlachty biegł na czele wolnego chłopa, jak jego przodek piérwszy rozniósł sławę oręża polskiego wśród Muzułmanów.

Już błyszczą moskiewskie bagnety, słychać krzyk oficerów, strzelby brzękły. Zawisza obejrzał się, obrzucił okiem blade i czerwone twarze, i nowym ogniem je natchnął. Trzasły zamki, dym wionął, huk rozległ się po boru, kilku Mazurów jękło, Zawisza wpadł w szeregi. Niejeden kołpak z pół-łbem odleciał i plusnął krwią do góry; niejedno ramie jak gałąź zdruzgotanego drzewa odpadło. Moskal kolumną naciera. Zawisza pobladł, zachwiał się jak podcięty smukły dąb młody, krew' żygnęła z boku i padł na ziemię. Rzeź ustała: wszystkie Mazury rozciągnięte walają się po ziemi; kilku robiło jeszcze piersiami, nim wysłało wolnego ducha ku niebu, połączyć się z ojcami i braćmi, co pod żelazem moskiewskiém legli na polach Maciejowic i Grochowa. Dowódzca batalijonu przybiegł do Zawiszy — jeszcze oddycha; zawołał chirurga, ten obejrzał ranę: „Może żyć.“

Sądziłbyś, że ojciec rannego zmartwychwstał i cieszy się nadzieją uratowania syna, tak się oblicze dowódzcy rozradowało: „Będzie Lach wisiał w Warszawie“! wykrzyknął z djabelskim uśmiechem. „Cyrulik, słuchaj, dwadzieścia karbowańców, jeśli żyć będzie; sto pałek, jeśli umrze!“

Tego dnia wieczorem u kupca Friedricha na bilardzie kilkunastu Niemców grało w pulę; hałas wylatywał przez otwarte okna i rozlegał się po ulicy. Na drugiéj stronie gospodarz siedział zamyślony w rogu pokoju, a panna Wilhelmina wygrywała smutne dumki na fortepianie. Nieraz biédny tułacz leśny na myśl przyszedł: grzeczny i mężny, mówiła sobie w duszy, jabym go kochała, szkoda, że szlachcic i jeszcze z dumnéj rodem familiji; co on téż porabia?

gdzie się obraca? może go ścigają Moskale? jabym go przechowała, choćby i życia nadstawić. Niech sobie Bergówna chwali swego kniazia; jabym wolała Polaka, wszak i ja Polka?

W tém drzwi się otworzyły i brzuchaty Dambrowski wtoczył się rubasznie. Wilhelmina zbladła, bo małe, siwe, czerwone oczy jenerała błyszczały radością, a nie dobry znak, kiedy zły człowiek się cieszy. Serduszko biło w piersi, biały kryzik zaczął mocniéj się wzruszać na ciemnéj sukience, jak listek lekkim poddmuchnięty wiatrem, jak było wczorajszego wieczora.

— A co, panie Friedrichu, dobrą nowinę ci powiém, odezwał się Dambrowski; ten smyk Zawisza nie uszedł, złapano dzisiaj rano ptaszka.

Wilhelmina wstrzymała dech, — a ostatnia kropla krwi, co się jeszcze w różowych ociągała ustach, uciekła za drugiemi.

— To mosze pajki jest, odrzekł kupiec.

— Jakto bajka? wracam od komendanta placu, do którego przy mnie adjutant pułku przyjechał z raportem, że wzięty; bronił się jak wilk wściekły; z pięćdziesięciu chamów z nim było, wszyscy zostali na miejscu, bo nie dawano pardonu; on tylko jeden żyje, chociaż ciężko ranny. Każ dać wina, panie Friedrichu, napijmy się za jego zdrowie, póki wisiéć nie będzie.

Gospodarz nic nie odpowiedział, twarzy nie zmienił, z ciemnych oczu za twierdzą cztérech szkieł zielonych, nic wyczytać nie można, wstał i poszedł po wino. Co panny Wilhelminy, to już w pokoju nie było. August wszedł z butelką wina, a gospodarz zatrzymał się w tylnym pokoju, usiadł cicho i nic nie mówił; znać, unika nieznośnego jenerała.

— Markier, gdzie się panna Wilhelmina podziała?

— Musi być, jaśnie panie, u siebie.

— Proś jéj tutaj.

Chłopiec wyszedł i nie wrócił, widać, że za nic nie mają szanownego gościa, że jeżeli go zupełnie nie odstrę-

czają, to więcéj z bojaźni, niż dla zysku. Dambrowski nalał kieliszek wina, wypił, nalał drugi; smutno i nieładnie pić samemu. Już miał iść szukać Wilhelminy, kiedy drzwi się otworzyły i stanęła na progu wysoka, cienka, zgarbiona postać; włosy blado rudawe spadały na uszy, na kark, na czoło; twarz okrągła, wygolona, chuda i rumiana; usta czerwone jakby ze skóry odarte, wystawne, poziomo spłaszczone, świadczyły, że chociaż mąż nowo przybyły, nie był zbyt stary, jednak dawno nie zębami, ale dziąsłami żuje. Stanął we drzwiach i uśmiecha się pociesznie; podniósł prawą rękę do góry i wykrzyknął cienkim a chrapliwym głosem:

— Fifat Kościuszech!

Jenerał parsknął od śmiéchu i zawołał:

— Chodź tu, chodź, takich patryotów Cesarz się nie boji.

Cienka postać posunęła się na środek pokoju i śmieje się ciągle. Spojrzał na fortepian, skoczył do niego jak kot za myszą, zaczął tłuc po klawiszach; ledwie chudych długich palców nie połamie; cudownéj harmoniji dźwięki wionęły przez drzwi, które otwarte za sobą zostawił. Niemcy wybiegli z bilardu i skupieni w sieni słuchali z chciwością, bo każdego do piekła grając zaprowadzić można. To nie panna Wilhelmina, mówili między sobą, bo choć ona dawała koncerta w Toruniu, jednak jéj daleko do takiéj doskonałości. Spojrzeli przez szparę. Co on gra? czasem porwie kawałek z Mozarta lub Herza i znowu zgubi się w nowych, nieznanych dźwiękach, które z duszy ciągnie; szczególniejszy człowiek! Jenerał, który wtenczas tylko lubił muzykę, kiedy panna Wilhelmina grała, i chciał znaléźć kompana do pijatyki, nalał drugi kieliszek wina i stanąwszy przed fortepianem, trąca, Niemca i wołał: „Doktorze, doktorze!“ Niemiec wywrócił małe, siwe oczy na niego i zaczął się znowu uśmiéchać jak piérwéj; wstał, wziął kieliszek do ręki, trzęsąc i rozléwając podniósł go do góry i wykrzyknął po raz drugi: „fifat Kościuszech!“ a jenerał pękał od śmiéchu. Był to Niemiec Foss z Kowala, sławny doktor, sławniejszy muzyk, najsławniejszy pijak i wielki patryota polski po pijanemu; pewno

i po trzeźwemu, tylko wtenczas milczał. Za czasów pruskich zdarzyło mu się wykrzykiwać po ulicach w Kowalu ulubione jego „fifat Kościuszech;“ Prusacy złapali i zawieźli téjże saméj nocy pijanego do Torunia. Nazajutrz zdziwił się zkąd się wzięła przemiana jego rezydencyji, aż tu oświadczają mu, że za buntownicze wykrzykiwanie skazany jest na sześć miesięcy do twiérdzy i puścili bez grosza na ulicę. W przykrém nasz patryota był położeniu; sława jego zdatności lékarskiéj jeszcze nie była tak głośna, aby mógł co w Toruniu zarobić. Lecz drugi talent wyciągnął go z biédy; dał kilka koncertów i miał za co jeść, a szczególniéj pić. Ten wypadek nie nauczył go rozumu, a raczéj nie oduczył rozumu zaléwać. Dotąd jeszcze wykrzykuje: „fifat Kościuszech,“ ale mu dziś za to nic nie mówią.

Kiedy jenerał bawił się z Fossem, wszedł do pokoju lokaj w liberyji. Dambrowski poznał natychmiast służącego kasztelana:

— A co tam słychać w Lubrańcu?

— Nic panie nowego.

— Winnickiego nie schwytano?

— Nie, jaśnie panie, ale Niemcy koloniści złapali dwóch chłopów, co się z nim włóczyli i dostawili do dworu. Pan kasztelan odesłał ich do wójta, a wójt do Brześcia.

— Chwała Bogu, a ty co tu robisz?

— Przyjechałem, jaśnie panie, za sprawunkami, bo w Niedzielę pan kasztelan wielki obiad daje.

— A mnie nie zaprosił, mruczał sobie pod nosem brzuchaty jenerał, poczekaj, sam ci się zaproszę. Dam ci list, dodał głośno; panie Friedrich! panie Friedrich! ćwiartkę papiéru, jeśli łaska.

Kupiec siedział ciągle w drugim pokoju, słuchał muzyki Fossa i zadumał się o nieszczęśliwym swojego ziomka nałogu, którego uważał za poczciwego i bogato od natury usposobionego człowieka. Lecz kiedy usłyszał o niegodziwości kolonistów, rzucił się od gniéwu na stołku i wyrzekł na pół głośno!

— Szelmie, polski klib jeść, a Polaka zdradzić.

6*

Na zawołanie jenerała otworzył biórko, namacał librę papiéru i kałamarz, zaniósł mu i wrócił na swoje miejsce.

W Niedzielę cały Lubraniec w ruchu; po ulicach i rynku, jak w każdém małém szlacheckiém miasteczku kręcą się chłopy, chłopki i brudne żydostwo. Tu szewc przed domem wywiesił kopyta i stary trzewik; tam nad otwartemi drzwiami wisi sznur czerwono i zielono pomalowanych drewnianych gałek, przyozdobionych w drewniane liście, siedlisko roju much, znak kupca korzennego Dawida. Do niego zbliża się krępy, mały szlachcic w szaraczkowéj kapocie, krótkich spodniach, z zawiesistym szpakowatym wąsem, pieszcząc kańczug w dłoni i ciągnąc za sobą siwą, wytuczoną pańskim owsem szkapę; ta się ociąga, widać że leniuch, pewno jakiś podstarości z poblizkiéj wioski zaprosił pisarka z Lubrańca na wódkę, młodego chłopaka wystrojonego w stary granatowy frak i w białą chustkę na wysoką formę ze szczeciny, jakoby na jaki chomont zwiniętą. — Daléj wygląda przez otwarte okno stós bułek rządkami każdy po sześć, płaci się sześć groszy polskich, pszenica kujawska sławna, a bułki jednak śniadego koloru. Pod oknem piékarza rozstasowała się żydówka z wiśniami; na potężnéj kupie leży półkwarcie blaszane zaśniedziałe, sokiem jakby krwią splamione, wiśnie wystawiły ogonki do góry, jakby żądełka. — O kilka kroków od niéj młoda chłopka przedaje sérki, a za nią żyd z brudną brodą, w długim żółto-czarnym szarafanie mierzy sól zieloną na drewnianéj niecce; chłopka nadstawiła płócienną torbę, a jéj mąż przypatruje się. Ni ztąd ni zowąd Kujawiak w pysk żyda:

— A to psiawiara będzie oszukiwał!

Brodacz wrzasnął oj waj! rejwach się zrobił, żydów i żydówek, chłopów i chłopek zbiegło się mnóztwo, a pan podstarości lubraniecki wpadł we wrzeszczącą kupę i porządek przywraca.

Przed kościołem stoją pojazdy, bryki, konie osiodłane. Znajoma szlachta wita się, pyta o nowiny; jedni zabiérają się do dworu na ucztę, drudzy, niegodni tego zaszczytu, kłósują za miasto. We dworze murowanym, pod dachówką, z gankiem, na który pięć lub sześć schodów prowadzi, uwija

się liberyja, biega z pokojów do sieni, z sieni do kuchni. Już kilka osób z pańska przyjął kasztelan, a czeka innych. Pokazała się na rynku kareta w cztéry gniade konie, ubrane w angielskie szory, zmiérza na dziedziniec; stanęła przede dworem, lokaj w liberyji otworzył drzwiczki, młody mężczyzna wyskoczył, podał rękę ładnéj żonie; po niéj wysiadła blizka krewna, przyjemna, ładna, ale szczególniéj odznaczającą się szlachetnością ruchów i malutką nóżką. Za karetą jechał powóz w cztéry konie różnéj maści, dzieci dwoje siedzących na przodzie ogląda się ciekawe. Daléj lekki koczyk w pięć skarogniadych dzwoni krakowskiemi chomontami, woźnica dyrda na koniu, dał dwa razy ognia z bata i zatrzymał w miejscu; młody kawaler lekko wyskoczył. Coraz więcéj przybywa gości do salonu, między innemi jeden dwudziestoletni chłopiec, ubrany jak można najwytworniéj, najwięcéj mówi po francuzku, ale francuzczyzną, coby go sam djabeł nie zrozumiał, rozprawia o modach, o koniach, o szampanie itd. itd. któż to jest taki? Oto młody szlachcic z sąsiedztwa, wyszedł z piątej klasy, nic nie umié, pusto w głowie. Ojciec odumarł, z dwóch braci starszych jeden zginął w ostatniéj wojnie, drugi pracuje gorzéj jak chłop polski we Francyji w jednéj fabryce. Ten się dorwał trochę grosza, co ojciec uciułał z biédą dla wszystkich, hula i za kilka lat puści cały mająteczek. Do brata nie napisze, nie pocieszy nowiną z domu, nie wspomoże. Dziś go zapraszają, bo zgrabny, dobrze tańczy, do kobiét się umizga — ale jak goły będzie, nikt na niego nie spojrzy. Na przestrogi starego wuja odpowiedział, że jak majątek straci, to sobie w łeb strzeli, jakby tém zmył niesławę na ziemi — a na tamtym świecie co będzie?! Boże! nie karz naszéj biédnéj Ojczyzny taką młodzieżą; jakaż nadzieja z takich obywateli Polsce? i serce nikczemne, i ręka w zbytkach i rozpuście osłabnie. Ale ileż my takich znajdziemy, jeśli nam Bóg powrócić pozwoli!

Pan kasztelan wesoły, gada grzeczności damom, kłania się z pańska mężczyznom. W tém ujrzał przez okno dwa ciężkie kare konie, ciągnące odkrytą karyjolkę. W niéj rozparty chłop z ogromnym brzuchem spoczywał, biała chustka

i kołnierzyk aż pod uszy zadarty świéci z daleka; u czarnego fraka przy dziurce wstążki czerwienią się, zielenią i żółcą. Wysiadł wolno i wtoczył się na ganek i do pokoju; kasztelan brwi zmarszczył, zrobił kilka kroków na środek salonu i poważnie gościa przywitał; widać wyraźnie, że nie kontent z przybycia, bo chociaż nie był, jak wiémy, jednym z najgorliwszych obywateli, jednak nie chciał się publicznie bratać z tak znanym łotrem, jak Dambrowski, i bał się, żeby nie myślała szlachta z okolicy, że go sam zaprosił. Co jenerałowi, to wszystko jedno było, czy dobrze, czy źle przyjmą, byle zjadł dobry obiad i wina pociągnął. Że wszystka młodzież od niego, jak od zapowietrzonego, uciekała, a kobiéty odpowiadać nie chciały, czepiał się więc ciągle kasztelana i cały czas go ciemiężył. Kasztelan nie śmiał go wyraźnie odprawić, a zmarszczeń i zaniedbania w odpowiedziach brzuchal nie rozumiał.

— Onegdaj tylko treść rzeczy panu doniosłem, mówił do gospodarza, jeżeli pan sobie życzysz, to mu teraz wszystkie szczegóły o wzięciu Zawiszy opowiém.

— Późniéj, jenerale, późniéj; przyjedź pojutrze do mnie na obiad, to się rozgadamy.

— Wybornieś pan zrobił, żeś kazał odesłać tych dwóch chamów złapanych do Brześcia.

Kasztelan nic nie odpowiedział, tylko rzucił wzrokiem na dwóch młodych gości tuż przy nich stojących.

— Że téż pan jeszcze nie złowił tego łotra Winnickiego, co się w pańskich dobrach przechowuje.

— A dajżesz mi pokój, jenerale, żeby to jeszcze kto inny te pytania zadawał, ale ty, jenerale, coś niedawno był gubernatorem w Kujawach i Mazowszu, i wiedzieć powinieneś, że rewolucyjoniści wszędzie mają partyzantów.

Brzuchal poprawił kołnierzyka, zadarł łeb, pociągnął na dół kamizelkę i znowu jak do twierdzy przypuścił atak do kasztelana nie wiedzącego co z sobą i z gościem robić. Dano przecież na stół i gospodarz wyrwał się ze szpon jenerała. Obsiedli stół goście, srébro i kryształy błyszczą, uśmiéch gra na obliczach ładnych mężatek, świéżych dziewic,

to kokieteryji, to szczérego uczucia. Jedna tylko panienka szczupłéj kibici, małéj nóżki, smutna i zamyślona; jeśli uśmiéch przeleci, to tylko zimnéj grzeczności. Może nikt jeszcze w czystéj piersi nie obudził uczucia, a może ten jest daleko?

Niejeden młodzian stracił słuch, smak, powonienie, oddał Dambrowskiemu te trzy zmysły w téj chwili zbyteczne dla niego, a sobie tylko wzrok zostawił. Jenerał siedział jak jędór czerwony za stołem, kasztelan przedzielił go od siebie dobrym rzędem osób. Brzuchacz zagadał kilka razy do sąsiadów, ale kiedy mu odpowiadano z początku niechętnie, a potém nic wcale, kiwnął głową, jakby sobie mówił w duszy: jam nie dla was, ale dla półmisków przyjechał. — Zaczęły kielichy sążniste po staropolsku krążyć, bo najmodniejszy dom w Polsce nie może się jeszcze zupełnie otrząsnąć ze wszystkiego, co ojców przypomina; jak w zepsutym człowieku, często pamiątka lat niewinnych westchnienie mimowolnie obudzi. Zdrowia były rozmaitych osób dzielących ucztę, daléj gospodyni, gospodarza, kilku nieprzytomnych osób itd. itd. Jenerał żadnego nie opuścił, a kiedy sobie dobrze podchmielił, powstał z miejsca i donośnym głosem zadarszy głowę i wystawiwszy brzuch, zawołał:

— Zdrowie Najjaśniejszego Cesarza i Króla, niech żyje i szczęśliwie nam króluje w najdłuższe lata!

Szmér ustał, kasztelan poczerwieniał, nie wié co robić. Wtém Dambrowski ogromny kielich wygolił, nalał i wyciągając rękę przez stół:

— Do ciebie, rzecze, piłem, zacny gospodarzu!

Nie ma rady, trzeba albo w téj chwili zostać jakubinem, albo kielich przyjąć: wstał i wypił, ale koléj daléj nie szła, goście się podnieśli, krzesła zaczęły szurgać po posadzce, jenerał coś mruczał, ale go nikt nie słuchał, i on sam nie wiedział co robi, co gada, bo wino kurzyło się z czupryny.

Słońce zniża się ku zachodowi i jaskrawym promieniem zaziéra w okna, muzyka brzmi we dworze. Kilkanaście par trzyma się za ręce i wionęło kołem na prawo, zwróciło się

i wionęło kołem na lewo. Wielki łańcuch rozerwał się, i rozpryśnięty w małe kółka, wirem zakręcił się w kilkunastu punktach. Wysunął się na środek młodzian z panienką pięknéj kibici i drobniutkie nóżki, to suną jak po lodzie, to migną krzyżykiem w polocie. Młodzian tupnął, uderzył hołubca i wirem zakręcił na środku, dziewica zarumieniła się ruchem, ale nie uciechą. Zbiegła się młodzież i bujała w koło niéj w poskokach i tupając; biała chustka podleciała do góry i na dwie połowy prysła w dłoniach dwóch młodzieńców, ale dziewczę wyciągnęło rękę do brata i rozstrzygnęło sprzeczkę, wysuwając się z koła. Skończył się mazur; kobiety wachlarzykami szeleszczą, młodzież chodzi po środku, zamawia do tańca, grzeczności prawi. Czasem przyjaciel przyjacielowi dobre nowiny opowiada, a ten uśmiécha się, winszuje, spuszcza głowę, albo w inną stronę patrzy, żeby nie zarumienił dziewicy, o któréj mowa. Może komu dziwno będzie, że młodzież kujawska tak tańczy i bawi się, kiedy tysiące braci tuła się po obcych krajach, kiedy jeszcze więcéj dyszy na pustyniach, albo w okowach. Wtém my trochę do Francuzów podobni, chociaż nie zupełnie; w najtrudniejszym razie, w najcięższéj zgryzocie, kiedy trwa zbyt długo, nie wyrzekamy się pociechy w pohulance. Była jedna rodzina także na Kujawach, która tęskniła za wygnańcem; matki i siostry niezmiernie go kochały, każdy list czytały ze złami i ze łzami odpisywały na niego. Jednak kiedy się kilku młodych ludzi z okolicy w domu zdarzyło i kto zagrał na fortepianie, to i matka pozwoliła i córeczki mazura ochotnie wywinęły. Niech sobie tańczą, byle nie z Moskalami, bo to się nie godzi.

Już dobrze zmroczyło się: służba przynosi świéce, zapala pająki, muzyka odpoczywa. W drugim pokoju kilku starszych zasiadło do wista, daléj nawet puszczono się w faraonika, to nie ładnie, ale na nieszczęście, prawda. Kasztelan siedział w wielkiém krześle przy kanapie i damy nie tańczące bawił; już był zapomniał o nieprzyjemności, jakiéj go przy stole Dambrowski nabawił; z resztą z czerwoném obliczem zginął i kłopot, bo jenerał zapakował się gdzieś

w kąt, by się wyspać po mnogich toastach. Muzyka znowu uderzyła walca i kilka par wysunęło się na środek.

Przed gankiem zjawił się jakiś chłop młody, nizki, dość pleczysty; służący przebiegając z kuchni do dworu, zapytał go się surowo, czegoby chciał?

— Mam list do pana, odpowiedział.

— To go dawaj.

— Muszę go oddać do własnych rąk jego.

— Pan ma gości wiele, nie słyszysz muzyki?

— Nic nie pomoże, ja go nie mogę komu innemu oddać, taki mam rozkaz.

— Chodź do przedpokoju.

— Nie pójdę, poproś wasan pana tu na ganek.

Służący widzi, że chłop uparty, przedarł się przez salon wśród walcujących i szepnął Kasztelanowi do ucha, że chłop nieznajomy przyszedł z listem i chce mu go do rąk oddać. Kasztelan odpowiedział, że zaraz wyjdzie i kończył jakąś zabawną historyją, śmiał się i damy się śmiały. Wkrótce wyszedł do przedpokoju i zapytał o posłańca: powiedziano, że jest przed gankiem i że nie chciał wejść do dworu. Pan wybiegł żwawo i lokaj za nim, wołając:

— Przyjacielu, przyjacielu, oddajże list teraz.

Chłop stał tyłem i nie obrócił się na wołanie. Kasztelan niecierpliwy krzyknął:

— On głuchy albo pijany i zbiegł ze schodów. Natenczas chłop obrócił się piorunem, dobył pistoletu z zanadrza i zawołał ogromnym głosem:

— Za krzywdę mojéj rodziny i za zdradę kraju.

Zamek trzasnął, huk rozległ się po dziedzińcu i we dworze. Kobiéty drgnęły, taniec się zamięszał, kiedy drugi strzał poruszył dom cały. Służba wypadła, potrąciła zgapionego lokaja, który wyszedł był z Kasztelanem i skoczyła do pana. Jeszcze oddychał, wnieśli go do sali jadalnéj, kilka razy ziewnął i skonał.

W salonie muzyka ustała, szmer zaczął biegać po pokojach, że kasztelan zabity; kobiéty pobladły, kilku mężczyzn wypadło do sieni, do jadalnéj izby. Rzeczywista prawda,

leży rozciągnięty na wielkim stole, służący go rozbiérają; posłano po doktora, aby opatrzył ranę — niepotrzebne zachody; zęby ścięte, twarz sina i duch dawno uleciał. Pytają się o chłopa, gdzie się podział? wybiegają na ganek. Tam z latarniami stoją chłopi i baby, które z czeladnéj izby przybiegły i wrzeszcząc rozmajicie radzą nad wypadkiem. Chłop, jak tylko spostrzegł, że kasztelan zwalił się na ziemię, wymówił kilka słów z szyderczym uśmiechem, dobył drugiego pistoletu, obrócił do siebie i czaszkę strzaskał. Twarz zbroczona, odarta ze skóry od nosa do czoła, niepodobna poznać, choćby kto znał samobójcy.

— Szukać papiérów, zawołał jeden z przychodzącéj szlachty.

Podano mu gruby, czerwony pugilares. On go przejrzał na prędce.

— Panowie, rzecze, to Winnicki, mąż panny Mierosławskiéj, dawnéj dziedziczki Lubrańca.

Młodzieży smutno się zrobiło — znali Winnickiego; dzielny był żołniérz, po upadku Warszawy pociągnął był z drugiemi do Francyji i omylony w rachubach, jak Zawisza i inni, wrócił do Polski próbować, czy się powstanie nie uda. Ale rozdrażniony na kasztelana, pomny dawnych niechęci familijnych, powziął rozpaczającą myśl odebrania jemu i sobie życia. Smutna, nieszczęśliwa myśl. Ojczyźnie nie dopomógł zgładzeniem jednego, więcéj bojaźliwego niż przewrotnego obywatela, a zaszkodził pozbawieniem silnéj, doświadczonéj i poświęconéj ręki.

Szmer głuchy panował we dworze lubranieckim. Przy ciele zabitego kasztelana płacz i żale rodziny. Powozy zajeżdżały jeden po drugim; wsiadały przestraszone kobiéty, zamyśleni mężczyźni. Już wszystkie były na rozmaijtych drogach za miastem, dwóch tylko przyjaciół domu zostało, odprowadzili żałosną żonę w głąb' dworu, przy ciele zostawili tymczasem służących.

W tém ni ztąd ni zowąd wytacza się zaspany, na pół wytrzeźwiony jenerał. Oczy otworzył — przestraszył się, zdaje mu się że marzy, że go wino we śnie rzuca i ciemięży.

Ale kiedy mu służący całą rzecz opowiedzieli, wytrzéźwiał zupełnie, kazał sobie podać kapelusz, zajechać karyjolce i siadając krzyknął na woźnicę:

— Ruszaj, co tchu koniom starczy!

Furman dał bata raz drugi, lecz ciężkie szkapy ledwie kłusem pobiegły. Nazajutrz kazał cztéry konie zaprządz do bryczki i bojąc się zostać w Kujawach, chociaż Zawisza był już wzięty i Winnicki nie żył, uciekł do Warszawy. Tam będzie nadstawiał się znowu Moskalom, a kto wié? może z orderem i urzędem na Kujawy powróci.

Zawiła gościem we własnym domu.

Do swojego domu
Po wielu latach przyszedł pokryjomu;
Własnego chleba jak gościowi dano,
I straszne rzeczy mu opowiadano;
Pies się ułasił, niańka zapłakała,
Oto pociecha tułaczowi cała!
Jednak nie cała, bo nim dzień przeminął,
Zawistny jego nieprzyjaciel zginął.
On krwią zbroczony wstąpił w ojców progi,
I znów go z domu wypędził los srogi.
Autor Powieści.

W Lubrańcu trup leży we dworze i słychać łkania dzieci i żony kasztelana, pod oknami szmer i gwar głuchy. Zbiegło się żydostwo i wieśniacy zaglądają przez szyby; służba im opowiadała wypadek i nagli do odchodu. Dwóch chłopów niesie drugiego trupa w zbroczonéj sukmanie; głowa na pół strzaskana z twarzą odartą ze skóry, na dół obwisła, długie włosy rozpuściły się i krople krwi sączą.

Zawisza w Włocławku jęczy pod bólem ran i kajdan. Doktor pułkowy całéj nauki lékarskiéj wezwał na utrzymanie

przy życiu chorego; okłada, poji, nawet cieszy, tak czyha na ruble, tak boji się pałek.

Na bilardzie u Friedricha grają Niemcy w pulę, rozmawiają o ostatnich wypadkach, wymyślają na młodzież polską, skarżą się, że od rewolucyji handel z Gdańskiem upadł, że cały Włocławek zbankrutuje. Gospodarz siedzi zamyślony na drugiéj stronie, nie zajrzy na bilard, nie chce bluźnierstw słuchać. Światły człowiek, jak często Niemiec kupiec w Polsce; kocha naród, który mu pozwolił; u siebie zamiészkać i majątku się dorobić; zna nadreńskie prowincyje, gdzie często w interesach handlu winnego jeździł; wzdycha do wolności, Niemiec, nie lubi Moskali, nawet i Prusaków. Czarnobrewa dziewica smutna, często łezkę otrze — nie gra, nie śpiéwa. Wieczorem wyjdzie do ogródka, usiądzie w altanie, wspomni na ów wieczór i we łzach utonie. Gdyby był Zawisza szczęśliwie skończył wyprawę, przynajmniéj dla siebie, i powrócił do Francyji jak inni, Wilhelmina zapomniałaby ów przyjemny wieczór. Ale młodzieniec jęczy w kajdanach, w tém samém mieście, tém samém oddycha powietrzem, a ona nie może mu nieść ratunku, nie może go pocieszyć, uwolnić, ocalić od haniebnéj śmierci. Rozpalona wyobraźnia ośmnastoletnéj dziewczyny wzruszyła żywiéj duszę, podniosła uczucie. Wilhelmina kocha nieszczęśliwego młodzieńca — dziwna to jest natura serca ludzkiego.

W tęż samę Niedzielę nad zachodem słońca Zawiła minął miasto Turek, opuścił gościniec prowadzący do Kalisza i wziął małą dróżynę na lewo. Czy się nie zmylił? od wielu lat tędy nie jeździł. O nie! pamiątki dziecinnego wieku odprowadzą każdego do grobu. Zawiła spojrzał na wielki kamień leżący tuż przy drodze, uśmiéchnął się smutnie i pomyślił sobie: „jeszcze tu jesteś.“ Daléj spostrzegł dziką gruszkę na polu: przypomniał sobie, jak raz wracając z matką z Turku nad wieczorem, przypatrywał się małym dzieciom wiejskim snującym się — jednym pod drzewem, drugim po gałęziach drzewa; płachty rozpostarte leżały na ziemi, one trzęsły z uciechą i wrzawą kwaśny owoc na ulęgałki. — Westchnął: szczęśliwe to były czasy; matka pieściła, myśl

była wolna, tém tylko zajęta, co się nawinęło przed oczy; nie patrzyła w przyszłość rozległą, płynęła swobodnie jak kawał masztu z rozbitego okrętu po ogromném morzu; czy morze się wzburzy, czy gra spokojnie ze słońcem, ten hula wśród burzy, lub kołysze się lekko wśród ciszy; nie wzruszą go krzyki przestrachu, ani śpiéwy wesela żeglujących; nie ma serca, żeby się odbiło echem morza, jak dziecko nie ma serca żeby zawrzało okolicznościami czasu. Błogie to były chwile, błogie pamiątki tego wieku pół-czucia, pół-życia! Ale czyliż chcielibyśmy w niém długo — zawsze pozostać? Czyliż sami nie wzdychaliśmy do burzy namiętnego wieku? Czyliż téj gorączki poetycznéj nie warto okupić łzą i troską? Chłopczyk dziesięcioletni rwie się jak mały ptaszek z matczynego gniazda i niecierpliwie wyglądając młodzieńczego wieku; przeczuwa rozkosz i bóle, jak tamten wolne powietrze z sokoły; mierzy się z każdym nowoprzybyłym do domu, codzień zagląda, czy wąsy nie urosły, a wzdycha do samowolnego życia i myśli.

Zawiła ubiegł półtoréj mili: słońce zaszło, — niedaleko na lewo widać wioskę — światełko mruga, zaprasza. Przystanął: koń spokojny, nie parsknie, choć się zleciał — zła wróżba! „To wieś pana Raślickiego, tam miészka Anna! kochana Anna! — Może w téj chwili myśli o mnie? — może rozmawiają o mnie?“ Serce zaczęło bić gwałtownie; „Czy wiedzą, że ja tu jestem? co jéj ojciec na to powié? — moja obietnica!“ Wzdrygnął się: „Jego wyrzuty piorunem na mnie spadną, ona stanie zdala z założonemi rękami, z bladą twarzą, i utkwiwszy oczy we mnie, kiwać będzie smutnie głową, myśląc w duszy: Władysławie, Władysławie, coś zrobił! takeś o mnie pamiętał? jam tu płakała za tobą, jam tu drżała o ciebie, a ty bez rozwagi i myśli rzuciłeś się w odmęt. Tymczasem ojciec, jakby zgadując jéj myśli, obejmuje ją ramionami i przytłumionym głosem zawoła: Nie, córko, nie, kochane dziecko, nie oddam cię w ręce szaleńca! spocznij jeszcze chwilę na mojém łonie — Bóg siéroty nie opuści, ześle tobie lepszego opiekuna, jak mnie do siebie zawoła. Ona spuści głowę smutną na jego piersi, a ja..., o nigdy!“...

Ścisnął kolanami konia, spiął ostrogą, gniady rzucił się raz i drugi, wyprężył żylaste nogi, kopyta piaskiem cisnęły do góry; piasek rozpostarł się w kurzu, wije się, kręci i myśl wiruje w głowie Zawiły — błędna, bez koloru, niewyraźna, jak sen złożonego gorączką, jak szum morza w uszach zasypiającego majtka — a światło mruga i mruga i zaprasza! — Przybiegł do wsi, kołowrot zamknięty: byłby wleciał na dziedziniec i w całym szale wpadł między ojca i córkę. Zsiadł — chwila zastanowienia: wiatr nie świszczy, jak kiedy pędził na koniu; myśl się wyjaśniła, zwolniała jak ciężar spadający z góry, gdy na zawadę natrafi i straci pół pędu. Tak leciał gwałtownie, teraz nie śmié kołowrotu otworzyć — zadumał się. Przerwał się znowu: „Muszę ją widziéć," otworzył kołowrot, pociągnął konia za sobą, spojrzał w okno, zkąd światełko zapraszało, uwiązał gniadosza i wszedł do chaty.

Stary chłop siedzi przed kominem, jedna smolna drzazga błyszczy i lekko oświéca izbę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków.

Siwy, wysoki, zaschły starzec wstał z ławy i zdjął czapkę. Zawiła wspomniał na Bartka Kaczora.

— Przyjacielu, czy pan Raślicki jest w domu?

— Panie świéć mu na duszę, pan nasz umarł od dziewięciu tygodni.

— A córka? dodał żywo Zawiła.

— Panna pojechała do Warszawy — we dworze pustki.

Podróżny opuścił ręce, przybliżył się do ogniska, łzy mu się zakręciły w oczach. Po chwili sięgnął do kieszeni, dobył sakiewki.

— Przyjacielu! rzecze, oto trzy dukaty, daj mi jakiéj sukmany, koszuli i butów chłopskich; przenocuj mego konia, a jeśli nie wrócę, rób z nim co chcesz, nie odmawiaj mi tego — jam kochał... twego pana.

Stary spojrzał, zobaczył łzę w oku i podrapał się w głowę.

— Toć sukmana i bóty nie warte tyle pieniędzy.

— Nie pytaj się, bracie, ja usługę płacę i rzucił na ławę złoto.

Chłop wyjął ze skrzynki sukmanę syna, który był jeszcze z Turku nie wrócił, dobył butów i wyszedł zaprowadzić konia do obory między krowy i rozmaite inne zwiérzęta, które przywykły w zgodzie z sobą nocować. Zawiła się przebrał tymczasem.

— Nie masz bicza jakiego?

Chłop wyciągnął długie biczysko z za pieca.

— Bądź zdrów, poczciwy stary.

Wędrował piechotą, ciężko mu na sercu, łzy stanęły w skroniach i wyléść nie chciały na wierzch, tylko piekł, w głowie. „Straciłem ojca, mówił do siebie — poczciwy człowiek, dobry Polak! i ta biédna Anna — siérota — sama; a ja włóczęga nie mogę jéj podać ręki, pocieszyć na mojém łonie — szalony! szalony!“ — Tak z sercem pełném goryczy, przybliżał się do rodzinnéj wioski, co o granicę tylko stała od dóbr pana Raślickiego. „Matko moja, kochana matko! ty mnie pocieszysz w tęsknocie, ty po długiém niewidzeniu przytulisz mnie do twego łona, poświęcisz łzami, dodasz siły błogosławieństwem! Ale będęż ją mógł uściskać? kto wié? może Moskale tam na mnie czyhają i burmistrzują w mojim własnym domu?“

Wchodzi do wsi: cicho — tylko w kilku małych okienkach błyszczy. — Posuwa się daléj, jakiś gwar słychać; to zapewne w karczmie wieśniacy bawią się przy Niedzieli. — Przez bramę szeroko otwartą wszedł na dziedziniec — serce mu bije w piersi — przygląda się dworowi drewnianemu, zachmurzonemu wiekiem, pamiętającemu płacz dziecinny jego pradziada. — Okiennice pozamykane, przez żadną szczelinę, przez żadne serduszko wyrznięte u góry światło nie błyśnie: nie ma nikogo — może śpią — może pomarli! — W końcu podwórza skrył się mały domek, ale z okna łuna bije — pewnie z czeladnéj izby. Stary chłop przybliżył się do podróżnego i pytał, czegoby chciał?

— Szukam służby.

— A za co chcielibyście służyć?

— Za fornala do roboczych koni. — A prawdać! nie uważałem, że z biczem chodzicie po świecie. Nie, przyjacielu, nie ma tu u nas miejsca, wszyscy zgodzeni do nowego roku. A z daleka jesteście przyjacielu?

— O! z daleka, aż z pod Koła — półpiętéj mili ztąd. Słyszałem, że to dobra pani tutejsza i chciałem się do niéj dostać na służbę.

— Panie świéć jéj na duszę, od tygodnia umarła; w ten czwartek ją pochowano.

Władysław drgnął cały. Dwie kobiéty wyszły z czeladnéj izby i przybliżyły się do rozmawiających, a żółty ogromny brytan, co był z początku szczekał na nowo przybyłego, zaczął obchodzić go na około, ogonem kręcić, zaglągać mu w oczy, ociérać się o niego i łasić.

— Pięć lat, jakem z wioski wyjechał, a wierny pies mnie poznał, pomyślał Zawiła.

W tém dwie baby zaczęły szeptać do siebie i nie długo starsza z nich, licząca blizko sześćdziesiąt lat, chuda, założywszy ręce i wpatrzywszy się w Zawiłę, rzekła na pół głośno:

— Zupełnie podobny do naszego panicza.

Władysław spojrzał na starą kobiétę, zmarszczył brew' poznał swoję mamkę i piastunkę. Lecz nie znając drugich, nie wiedząc kto domem rządzi udał, iż nie słyszał. Stara nie mogła wytrzymać, bo coś jéj do ucha szeptało, że to jéj wychowanek, i odezwała się głośno:

— Przyjacielu! jak wyście podobni do naszego panicza.

Chciała coś daléj mówić, lecz jéj chłop natychmiast przerwał:

— O głupia, głupia Jewka, zawżdy musi pleść kobiałki opałki, i obracając się do Władysława: przenocujecie zapewne u nas, mówił do niego, kiedyście z tak daleka.

— A dobrze gospodarzu, jeśli wasza łaska.

— To chodźcie do czeladnéj izby zjeść co Pan Bóg dał.

W czeladnéj izbie ogień wielki się palił na ogromnym kominie, parobki i dziéwki siedziały na ławkach. Zawiła zmęczony usiadł także, a stara piastunka ciągle mu się przy-

patrywała i żółty brytan, który się był wkręcił do izby, stanął nie daleko niego, łeb podniósł, zajrzał mu jeszcze w oczy, potém obszedł ławę do koła, na któréj podróżny siedział i pod samemi jego nogami się położył, jakby chciał mówić:

— Rozpocząłem na nowo moję służbą; ja zawsze ci wierny jestem, mnie Moskal nie przekupi, ani nie nastraszy, niech tylko przyjdzie, pokażę mu zęby.

Podano Władysławowi trochę kartofli tartych ze słoniną na glinianéj misce; westchnienia przydławione pierś rozparły, łzy przytrzymane jeszcze bardziéj pieką w skroniach, rozsadzają głowe. Wziął jednę i drugą łyżkę kartofli — trudno jeść, w gardle stanęły, ani sposób je przełknąć.

— Czy pani tutejsza nie miała dzieci? zapytał.

— Miała jedynego syna, odpowiedziała piastunka, co do was przyjacielu podobny, ale on teraz daleko, gdzieś u Francuzów. Biédny panicz, jam go tak kochała, jak własne dziecko! Od tego czesu jak on pojechał, niebożczka pani zaczęła chérlać, aż tu na Nowy Rok przysłali Moskale jakiegoś draba, co to nie Niemiec nie Polak — zwyczajnie pół człeka, pół kozy, niedowiarek boży, aby wioskę, co od dziada pradziada do Zawiłów należy, zabrał; to téż ją jeszcze bardziéj dobiło, i jak na środopoście położyła do łóżka, tak już więcéj nie wstała. Pan Raślicki, dobry i pobożny pan z sąsiedztwa, co dzień przyjeżdżał, a córka jego czasem cały tydzień bawiła i jak własną matkę pielęgnowała. Jam sobie nie raz myślała: dobraby to pani była, żeby pan Władysław powrócił, toby się może i ożenił. Aż tu na Wielkanoc umiéra pan Raślicki; niebożczka jeszcze bardziéj ze zgryzoty zapadła. „Ostatniegom przyjaciela straciła,“ nieraz powtarzała. Panna Anna chciała koniecznie zostać z nami, ale opiekun zabrał ją do Warszawy. Dopiéro to wtenczas biéda nastała! Ten szelma komisarz moskiewski jak mógł dokuczał, starych służących powypędzał z domu, nowych nasłał, ledwiem ja się utrzymała, żeby panią w ostatniéj chorobie doglądać. Nie dość na tém, w Sobotę, wczoraj tydzień minął, przyleciał z Turku z kozakami, jak wściekły wpadł do dworu, krzyczał,

że pan Władysław z Francyji wrócił i przechowuje się u matki, splądrował dom cały i nikogo nie znalazł. Daléj szukać listów, pootwiérał biórka, skrzynie, powyrzucał wszystko na podłogę — wystawcie sobie co nakoniec psiawiarze przyszło do głowy? O to żeby szukać listów w łóżku u pani. Kazał kozakom wyciągnąć ją gwałtem, ja chciałam krzyczéć i biegnąć na wieś po chłopów; ale szelma uderzył mię stołkiem, tak żem padła na ziemię, a drzwi na klucz zamknął. Pani chora, tak że nogą władnąć nie mogła, zaczęła prosić, zaklinać, gorącemi łzami prosić, nic nie pomogło; kamiennego serca wywlókł sam konającą z łóżka. Położyli ją na kanapie, zziębłą, na pół nagą; jam się przywlokła, otuliłam, jakem mogła, poczciwa pani ścisnęła mi rękę, zaczęła robić piersiami, pot śmiertelny wystąpił na czoło, tylko kilka słów wymówiła:

— Panie Jezu! Matko najświętsza — mój syn — Panie Jezu — i oddała ducha.

Tu porwał się z miejsca Zawiła, zgrzytnął zębami, wyprężył ramiona, ścisnął dłonie i zadrżał! Parobki i dziewki przestraszyły się, brytan skoczył, najeżył siérść na karku i ogromnie szczeknął, a piastunka padła mu do nóg: „O teraz nam się nie zaprzesz! Krew' się odezwała w tobie, tyś pan nasz! — mój wychowaniec, moje dziecko, com wykarmiła memi piersiami! Nie bój się! żeby nie wiém wiele przyszło Moskali, to cię chłopy nie dadzą! oni co dzień cię wspominają, nie bój się, panie, zostań! zostań z nami!

— Zostać z wami, kobiéto?... tak, zostanę! na cienie mojéj matki przysięgam! zostanę żywy lub umarły! zostanę na polskiéj ziemi przynajmniéj, jeśli nie z wami! Bracia! ja pan wasz, potomek panów waszych, przynoszę wam wolność, przychodzę z dalekich krajów wyrwać was z niewoli! W chłopskiéj sukmanie, jak mnie widzicie, z gołą piersią, z kosą w ręku na waszém czele bić się będę. Nie ja jeden przybyłem, przybyło więcéj i na czele chłopów już biją się z Moskalem, już krew' pociekła, niechaj i tu pociecze! Cała okolica powstanie, cały lud się ruszy; rzeź się rozpocznie bez miłosierdzia! bez litości! jednemu nie przepuścim! Zem-

sta, straszna zemsta za Polskę, za śmierć matki mojéj — a wam wolność! Czy słyszycie!... ja pan wasz dzisiaj bratem waszym zostaję, dajcie ręce, wy bracia, przyjaciele moji!"

Chłopy upadły mu do nóg, płaczą, ściskają kolana.

— Pójdziecie za mną?

— Pójdziemy, pójdziemy, cała wieś pojdzie, za panem wszyscy pójdą!

— Słuchaj, ty stary przyjacielu, gdzie jest komisarz?

— Jeszcze z Turku nie wrócił.

— Idź na wieś, zwołaj wszystkich chłopów na podwórze, ja do nich przemówię, jutro bój się zacznie. Tymczasem jeden niech stanie od strony miasta: skoro komisarz nadejdzie, niech kołowrot zamknie, a dwóch ukrytych niech go z konia ściągną i przyprowadzą do dworu. Odpowié mi łotr za rządy w mojim domu — to będzie piérwsza ofiara mojéj zemsty! Chodźmy do dworu; gdzie są klucze? obejrzę ten luby dom, gdziem się urodził, gdziem piérwsze lata przepędził, łzami obmyję to miejsce, gdzie moja matka, moja droga matka, skrzywdzona, zelżona. Boże!"... tu łzy zakręciły mu się w oczach, potarł ręką czoło, wciągnął dech w siebie — i głęboko westchnął. — „Gdzie klucze?... prowadźcie mnie do dworu!"

Chłop poleciał na wieś, a piastunka po klucze; ale we trzy minuty stary powrócił: „Panie, zawołał przestraszony, komisarz przyjechał i z nim pełno Moskali; po dwóch stanęło na końcu każdéj drogi, reszta we wsi pod bronią. Niech pan ucieka przez ogród do boru — jeszcze czas! ja dziś w nocy obiegnę po chałupach chłopów i przyjdziemy gdzie pan każe — niech się wola Bozka dzieje!

Zawiła pomyślał: chłopy nie przygotowane, nie znają mnie dobrze — nużeby piérwszy cios się nie udał i ten szelma komisarz wymknął się z rąk mojich?

— Stary — można ci ufać?

— Panie! dziada pańskiego pamiętam, mój ojciec pojechał z nim na konfederacyją Barską — i nie wrócił.

— Dosyć — czy jest jeszcze w boru ten dąb stary na lewo przy drodze?

— Jest panie, tylko bardziéj wypróchniał.

— U tego więc dębu cię czekam: niechaj chłopi będą gotowi, jak ja rano natrę, a o północy ruszaj do mojéj drugiéj wsi, zbierz ilu będziesz mógł i przyprowadź do mnie. Bądźcie zdrowi! — dajcie mi przewodnika.

Zaledwie Władysław wszedł do ogrodu z młodym szesnastoletnim chłopcem, kiedy krzyk powstał na podwórzu; ale on przeskoczył parkan, wpadł w zboże i kazał chłopu iść naprzód. Dzieciak drżał od strachu, młodzieniec uszkałcony w tym wieku już jest pełen ognia, u wieśniaka tylko lata i zaufanie w siłę fizyczną męztwo nadają. Zawiła szedł milcząc; jaki dzień straszny dla niego! ile ran serce odniosło! Noc obciążona smutkiem i zgrozą, zapewne rano słońce krwawo zaświéci.

Już weszli do boru — cicho — tylko liść szeleści, tylko gdzie niegdzie gałąź chrupnie pod nogą. Poważny to jest bór polski w nocy! Wyniosłe sosny stoją na straży u wniścia, daléj odwieczne dęby, jak błogosławiące olbrzymy rozłożyły ramiona i z uroczystém milczeniem przyjmują podróżnego pod swoję opiekę; młode dębczaki patrzą się do góry i z uszanowaniem uczą się od potężnych pradziadów królować puszczom, a lud leśny w dali szémrze, ale po cichu, aby nie zmięszać uroczystości dawnéj świątyni bogów słowiańskich. Tylko Bóg świata zachmurzył się dzisiaj, zgasił gwiazdy i lada chwila wypuści wiatry pohulać po ziemi i zachwiać królewskie czoła dębów. Już szmér rozszedł się po lesie, drzewa i powietrze zmięszały się w jednę ciemność, wzrok zniknął, oko ręki się radzi. Daléj szum powstał, dęby rozpuściły włosy, rozpoczęły kłótnię z niebem; ono strzaskało się w ogniste pręgi i uderzyło piorunem; dąb zachwiał się pod pociskiem, odrzucił jedno ramię, a drugiém szumi i wichrzy. Dészcz lunął, łomot się rozległ po boru, błyskawice co chwila rozwiną się jaskrawie przed okiem i jeszcze w większą ciemność go pogrążą. Burza na niebie i ziemi, burza i w duszy Zawiły. On dzisiaj się na nią cieszy, jak swojim żywiołem. Zmarszczył brew', słucha gromów, jak muzyki serca, patrzy na błyskawice, jak na gwiazdę swego życia. Nie piorun jest

najstraszniejszym ciosem nieba; kiedy Bóg skruszy serce człowieka, wtenczas piorun przebrzmi, nad głową jego, jak trzask bicza nad uchem dziecka. Zawiła stanął pod sosną, założył ręce, czeka końca spokojnie. Nie pragnie śmierci, bo zemsta pasie go chęcią życia. Gdy niebo błyśnie, twarz blada przewodnika stworzonego mignie w jego oczach, ale strach bliźniego w nim dzisiaj ani śmiéchu, ani wzgardy, ani żalu nie wzbudzi; żółć w sercu wszystkie odrętwiła uczucia i sama tylko została. Gdyby był w nocy pogodnéj spokojnie dumał pod dębem, możeby wspomnienia lat młodych i matki, kilku tygodni nad Renem i Anny, we łzach zawziętość choć na chwilę zmiękczyły; ale pioruny łzy wysuszyły, a burza ogniem piersi napasła.

Wyjaśniło się trochę, dészcz ustał, tylko krople zawisłe na liściach wiatr strąca i wolno przebiega skarcone i pokorne bory.

— Prowadź mnie do starego dębu, zawołał Władysław na przewodnika.

Chłopiec szedł naprzód, oglądał się na wszystkie strony, a jednak zbłądził; chodzą kilka godzin po lesie, a dębu jak nie widać tak nie widać. Zaświtało, zmiarkował się chłopiec.

— Panie, my jeszcze o ćwierć mili od starego dębu.

— Prowadź mnie co prędzéj.

Słońca promienie ukośne, krwawe krzyżują się między drzewem, krople deszczu jak brylanty błyszczą zawieszone na liściach i za dotknięciem gradem spadają. Już dochodzą do dębu, do drogi — patrzą, bagnety błyszczą, plutom piechoty idzie gościńcem; z boku komisarz na koniu kręci się między drzewem, wyżeł przed nim galopuje, wraca się, uwija, pyskiem szorując po ziemi. Chłopak zbladł. — „Komisarz!“ cicho wymówił. Zawiła dobył pistoletu, pociągnął bezbronnego dzieciaka za sobą i przyczajił się w krzakach. Jeździec przybliża się, wyżeł mija, skręcił się na lewo — wraca na powrót i przybiegł do krzaków, jeździec za nim — odwiódł kurek.

— Pójdź daléj, Bekas, zawołał, pójdź daléj!

Wyżeł postąpił dwa kroki, uszy nastrzępił, podniósł

lekko prawą łapę, ogonem kiwa. Zawiła wymierzył do komisarza, trzyma do celu — chłopiec drży jak polotka.

— Pyf, Bekas! Pies skoczył, zając wyrwał się z boku, pies za nim dał kilka susów i jeździec się zwrócił.

Zawile spaliło się na panewce.

Rzucił pistolet z gniéwem, dobył drugiego, podsypał śwjéżego prochu i wyjrzał. Aż tu widzi chłopów z kosami i brzęk karabinów szykującéj się piechoty. Wyskoczył z krzaku, a komisarz wpadł galopem na niego: trzasnął zamek, jeździec zachwiał się, koń przestraszony dał susa i zwalił pana na ziemię. Zawiła przeskoczył przez trupa, przez rów przy drodze i stanął na czele chłopów. Karabiny brzękły, dym wionął, huk zmięszał się z jękiem dwóch chłopów i rozległ się po boru. Młody wódz zatrzymał w powietrzu jednę upadającą kosę — „za mną bracia“ i utonął w plutonie piechoty. Kosy spadły i jak sprężyną ruszone podniosły się do góry, a krew' jak czerwone struny związała je z ziemią i pociągnęła napowrót. Kosy spadły raz drugi i zachrzęszczały znowu po kołpakach, karkach, strzelbach i ramionach. Żadne cięcie nie chybi Moskala, a Moskal nie rzuci się, nie jęknie, tylko krwią pluśnie i zwali się trupem na ziemię. Straszna to broń, kosa nasza, żeby jéj tylko użyć umiano. Pozostałych kilku ucieka, chłopy gonią, mordują — ze cztérdziestu jeden nie uszedł. Krew' zaległa gościniec, między Moskalami óśmiu chłopów leży, wala się w przesiąkłym piasku; pięciu przy swojim panu zostało, nachylili kosy, żeby ociekły, dziko patrzą. Piérwszy raz w boju — i w takiéj rzezi!

— Stary! żyjesz? dobrze nam poszło! oby cała Polska tak krwią moskiewską nasiąkła! Lepszeby żniwa były i wybyście ich lepiéj używali.

— Dla czego tak was mało?

— Nie mógłem iść na drugą wioskę, bo Moskale pilnowali; dopiéro jak wyszli szukać pana w boru zebrałem piérwszych lepszych i przybiegłem na obronę. Inni nie chcieli wierzyć, że to ich pan.

— Niewierni! czemu nie iść za drugim, jeśli na Moskala prowadzi? Wróćmy do wsi; trzeba, żeby dziś jeszcze wszystkie chłopy stanęły z dóbr mojich i Raślickich. Trzystu chłopów na początek to dosyć; pociągniemy przez wsie Gurowskich, Ordęgów, Nasiorowskich. Panowie we Francyji zostali, ale chłopy ich pójdą z nami. Wielkopolanie prześcigną jeszcze Mazurów.

Wrócił do wsi, wszedł do domu ojców swojich: Jewka ledwie w głowę nie zachodzi od radości. On przywitał wszystkie zakątki, obejrzał wszystkie stare sprzęty, obmył łzami miejsce, gdzie matka niedawno po męczeńsku skonała:

— Zemściłem się, droga matko, zemściłem! leży niedaleko starego dębu łotr, co śmiał cię zelżyć w domu Zawiłów.

Spojrzał na portrety wiszące na ścianie:

— Patrzcie na waszego potomka, nie odrodził się od was! patrzaj, Konfederacie Barski! wypędziłem Moskali z twego dziedzictwa, pomściłem dom twój skalany ich nogą. Coś ty chciał z szlachtą samą zrobić, ja z ludem całym zrobię.

Wtém wrzawa powstała w podwórzu, Zawiła wyskoczył na ganek: chłopy prowadzą żandarma, ten się wydziera, „ja znam waszego pana, woła, sam pójdę do niego.“

— To ty Galik? chodź, niech cię uściskam, niech cię przyjmę u siebie; wypędziłem, wyrznąłem Moskali.

Żandarm kiwnął smutnie głową.

— Poruczniku, każ odéjść chłopom, mam coś ważnego powiedziéć.

Weszli obydwa do dworu, Władysław uściskał gościa, ale ten pokręciwszy wąsa.

— Źle się dzieje, poruczniku, mówił, nic z téj wojaczki nie będzie, jednéj nocy spokojnie w domu nie przepędzisz.

— Ja trzech godzin tu bawić nie chcę! wiém dobrze, że nie dla mnie odpoczynek; dość przywitać dom ojców i znowu do boru. Trzystu chłopów dziś w głąb' kaliskiego poprowadzę, bój się srogi rozpocznie.

— I wnet się skończy: szlachta się nie rusza, to i chłopi

się nie ruszą. A choćby przez jakiś czas w kaliskiém się udawało, to i cóż z tego? Krakowskie uspokojone i na Mazowszu Zawisza wzięty.

— Zawisza wzięty?

— Sam go widziałem: Władysław leży ranny w Włocławku, ale ma się lepiéj, za dwa dni powiozą go do Warszawy. W polnych Kujawach nic się nie udało: nie ma boru, chłop się boji wyléźć z chałupy. Ledwie kilku Winnicki zebrał i z tych już dwóch Niemcy złapali. Poruczniku, daj pokój wszystkiemu, bo i chłopów swojich zgubisz i sam marnie zginiesz. Pojedziemy razem; ja cię do Kalisza zaprowadzę, a ztamtąd łatwo przez granicę; ja pójdę z porucznikiem na koniec świata, bo żandarmem już więcéj być nie chcę.

Zawiła chodził po pokoju, założył ręce, myślał, wzdychał.

— Nie, Galik, ja bić się muszę, kiedym raz znowu krwi zakosztował.

— Poruczniku! trzystu chłopów zgubisz, a jednak za krew' ludzką trzeba będzie Bogu rachunek oddać.

— Prawdę ty mówisz o Zawiszy?

— Przysięgam Bogu, sam go widziałem, jakem raport z Kutna do Włocławka woził. Jenerał odpieczętował raport i przy mnie czytał, że jakiś Dziewicki w krakowskiém zginął.

Zawiła stanął pod oknem, patrzał na dziedziniec; rozmajite myśli plątały mu się po głowie. Co począć? od dawna już był stracił zaufanie w ten rodzaj wojny bez pomocy szlachty, a szlachta nie śmié jeszcze, nie przysposobiona, nawet zrażona doktrynami tych, co z Francyji przybyli, przesadza je, jak zazwyczaj w takim razie, a Moskale z czasu i z okoliczności korzystają. Nie ma wodza, nie ma ładu, podobny rodzaj wojowania najdzielniejszy, jedyny dla Polski, tylko wtedy udać się może, kiedy wszyscy jak jeden mąż powstaną; ale częściowe usiłowania lada pułk, lada batalion przygniecie. Trzeba, żeby cały lud drżał do boju i wierzył, a wtenczas jedna iskra cały kraj zapali.

Wtém dziad jakiś zjawił się na podwórzu, przyszedł do okna, wyciąga rękę po jałmużnę. Gospodarz spojrzał na niego i wykrzyknął: „to on! zawołać go tutaj,“ nie czekając, sam wybiegł na ganek i przyprowadził go do pokoju. Dziad zdjął but i wydostał kartkę; Zawiła jednym rzutem oka ją przeczytał.

— Druhu, Zawisza wzięty, Dziewicki zginął — myśl o sobie.

— Józefie (bo to był służący, jak się domyśléć łatwo można, szlachcica z pod Gostynina), gdzie jest pan twój?

— W domu, mnie wysłał za panem w Sobotę rano: poznałem żandarma w Turku i za nim trop w trop tutaj przyszedłem.

Zawiła kazał jeść dać obydwom podróżnym, posłał po konia pożyczonego, a sam długo namyślał się, chodził po całym dworze, przypatrywał się, otwiérał każde biórko. — Najmniejsza rzecz, jedna szufladka, jedna plamka czasem jest mu drogą pamiątką. Nieraz łzy rosiły oblicze, nieraz zakrywał oczy i przytłumionym głosem wołał:

— O, matko, moja droga matko! o Anno! Anno! ty mnie kochasz, tyś mnie zastępowała przy matce, tyś jéj córką zawczasu była!

— Anno! będziesz ty moją? będęż kiedy liczył na mojéj piersi bicia twego serca?

— Matko! Anno! Boże! jak Ty mnie doświadczasz?

Jewka patrzyła przez dziurkę od klucza, nie śmiała wejść, płakała.

Nad wieczorem kazał zawołać dwóch podróżnych i pięciu chłopów, co z walki zostali. Józefowi kazał pana uściskać, dał pieniędzy na drogę i pożegnał. Wyprowadzono gniadosza ze stajni, stary wsiadł, jak szczwany lis wywijał się Moskalom aż do Koła; daléj spokojniéj jechał, u znajoméj szlachty popasał, mówił, że z listem jeździł. Władysław obrócił się do chłopów, zmarszczył brew' i rzekł ponurym głosem:

— Moji bracia, jeszcze nie przyszedł czas wyzwolenia waszego, lecz przyjdzie, da Bóg, niedługo. Dziękuję wam za

przywiązanie. Jam chciał wasze kajdany dzisiaj skruszyć, Opatrzność inaczéj rozrządza. Musicie ze mną na jakiś czas wioskę rodzinną opuścić; w Bogu nadzieja, przyjdziemy tu skończyć dni nasze i spocząć obok siebie, jak wasi ojcowie obok mojich spoczywają.

Dał list Galikowi do jednego ze swojich przyjaciół w Poznańskiém, powierzył mu chłopów, zalecił najstarszemu, żeby wieś przed odejściem uspokojił i czule wszystkich pożegnał. Żandarm wyszedł manowcami na wielki gościniec do Kalisza, powiązał chłopów niby jeńców i tak prowadził do wojewódzkiego miasta. Pod samym Kaliszem puścił, kazał im się zéjść w umówioném miejscu, kozaka mundurem oszukał, podsunął się pod niego, ścisnął za gardło; chłopy tymczasem przeszły granicę i on za nimi pomknął na koniu.

Nakoniec Zawiła zawołał Jewki, posadził przy sobie i jeszcze o mnóztwo rzeczy wypytywał; wszystko ważne było dla niego, najmniejsze szczegóły. Kazał nakryć do stołu, chciał jeść nawet z nią razem, ale ona na to nigdy przystać nie chciała. Po wieczerzy poszedł do stajni, poznał parę starych koni, pogłaskał je, westchnął; wybrał młodego szpaka i kazał osiodłać.

W miészkaniu komisarza odbił zamek do kasy, uśmiéchnął się gorzko:

— Przynajmniéj nazbiérał mi pieniędzy; prawie wszystko w złocie, znać, że ich nie myślał oddać Moskalom.

Szpak krzesze iskry po bruku przede dworem, Zawiła ubrany w suknie druha z pod Gostynina, włożył na siebie trzos ze złotem, obejrzał pistolety, pożegnał czule ludzi, co płacząc, zbiegli się na odjazd pana i ruszył czwałem przez wieś. Jewka zanosiła się od płaczu, ludzie smutnie się rozeszli. Gdzie poleciał? jak się wywinie Moskalom?

Bal moskiewski.

Tylko ostrożnie, by się rączki wasze
Krwią nie splamiły o ich ramię wsparte,
Bo te mundury, bo te ich pałasze
Jeszcze z krwi braci waszych nie otarte.

Bezimienny.

Lecz kto żył w świecie, używał uciechy,
Znudził swe serce, ale go nie strawił,
I świat nikczemny dla innych zostawił,
A sam w klasztorze żałuje za grzéchy.

Autor Powieści.

O dziewiątéj godzinie wieczorem dwóch młodych ludzi, ubranych po balowemu, dzwoniło u drzwi na piérwszém piętrze w jednym z ładnych domów Nowego Świata w Warszawie. Lokaj moskiewski otworzył i młodzi ludzie weszli do pokoju.

— Co, jeszcze porucznik nie ubrany? to już dziewiąta, zawołał jeden z nich.

— Niech będzie i jedenasta, odezwał się dosyć czystym polskim językiem, przeciągając się na kanapie i ziewając, młody, przystojny oficer moskiewski, otulony w bogaty szlafrok: ja dziś nie ruszę się z domu, cały dzień mnie głowa boli.

— Ale jenerał nie uwierzy wymówce, a tak zapraszał serdecznie.

— Uwierzy, bom nie był rano na paradzie i podano mnie za chorego. Wiécie co? to jeszcze za wczas na bal, każę wam herbaty zrobić i pogawędzimy trochę, może o szelmowskiéj głowie zapomnę, co mnie łupie i pali od rana.

— A dobrze, możemy u ciebie z godzinę zabawić.

Położyli kapelusze, porucznik kazał służącemu wszystko do herbaty przygotować, podniósł głowę z poduszki, zagarnął w tył lnianą gęstą czuprynę, co mu w nieładzie spadała na czoło i sprzeciwiała się oczom. Twarz rumiania, otwarta, spojrzenie dumne, coś wielkopolskiego, zeszpeconego junakie-

ryją moskiewską. Rzucił okiem na jednego z gości, młodzieńca dziewiętnastoletniego, z obliczem rumianém, obsypaném puchem jak morelka, i uśmiéchając się, kiwnął głową i rzekł:

— A co, patryoto, że cię téż chętka nie wzięła iść do boru i zacząć chłopską wojnę?

— Znać, że nie wzięła, kiedym nie poszedł.

— Dobrześ zrobił, jam się już bał o ciebie, bo to gorąca krew' u was Lachów, a wiedziałem naprzód, że z tego nic nie będzie, jak ze wszystkich polskich zamiarów.

— Kto wié, poruczniku?

— Nic a nic, kochany panie, tylko swojém szamotaniem się z naszą potęgą na zawadzie stojicie wielkim przeznaczeniom Rosyji i Słowiańszczyzny.

— Młodzieniec zerwał się z krzesła i zaczął biegać po pokoju, krew' wystąpiła na twarz, znać we wszystkich żyłach zaczęła krążyć gwałtownie.

— Siadaj, siadaj dziarski mołodźcu, mówił daléj porucznik z lekkim przyjacielskim uśmiéchem i bez ironiji, powoli przekonasz się, że prawdę przewiduję.

— Nigdy! ja Polak jestem i w wasze marzenia nie wierzę i wierzyć nie chcę. Kto w nie wierzy, ten Polskę zdradza. Wy liberalni Moskale jeszcze niebezpieczniejsi jesteście, bo wy przewracacie głowy głupiéj młodzieży i służycie za wymówkę samolubom, co radzi z wygodnego systematu, za patryotów się sprzedają i Paszkiewiczowi liżą.

Natenczas odezwał się dotąd milczący urzędnik z banku, człowiek liczący lat trzydzieści kilka, wysoki, chudy, w okularach, pedantyzm i praca uosobione w jedném ciele.

— Jednakże, mówił urzędnik, co tylko jest w Warszawie młodzieży zdatnéj, pracowitéj, umiejącéj się zastanowić nad położeniem kraju i Europy, wolnéj od marzeń uniwersyteckich i konfederackich, szukającéj z zimną krwią szczęścia i dobrego bytu ludu, rozważającéj filozoficznie historyczny bieg narodów, co tylko jest w Polsce młodzieży pojętniejszéj i światlejszéj, mówię, wszystka jest tego zdania, że nie ma innego sposobu wyratowania Ojczyzny z biédy, tylko przy-

więzując się do Rosyji, dzieląc jéj chwałę i potęgę, i dążąc z nią razem do połączenia Słowiańszczyzny.

— I podbicia świata, przerwał Moskal dumnie, powstając z kanapy.

Urzędnik się skrzywił, a młody Polak roześmiał się głośno i szepnął mu do ucha:

— Widzisz pan, jak panu przerwał rozwinięcie planów dla Polski.

Tymczasem porucznik dalej mówił z zapałem:

— Tak, tak, dążąc z nią razem do połączenia Słowiańszczyzny i podbicia Europy. Rzymu i łacińskich państw przeszły czasy; Germanie długo rozpościerali się, rządzili, bili i ssali krew' słowiańską; teraz koléj na nas przyszła. Już drży Europa pod moskiewskim mieczem.

— I batem, przerwał młody Polak.

A porucznik daléj deklamował:

— Zniewieścieli Niemcy do nas ręce wyciągają; Francuzi w dostatkach zgnuśnieją, zbłaźnią się w kłótniach gazeciarskich, adwokackich i ministeryjalnych, i jak greckie cesarstwo padną wśród sprzéczek i swarów pod naszą potęgą; Anglija już dzisiaj się lęka, jak dziecko przez sen w gorączce, patrzy na nasze floty z zazdrością, i nie długo zbankrutuje, gdy my jéj na gardle usiędziem. Przyjdzie czas, kiedy rozpostrzem się po ziemi, napełnim miasta słowiańskie arcydziełami sztuk i kunsztów; kiedy jeździć będziem do Paryża, jak Rzymianie do Aten i hulać po morzach swobodniéj, jak dumni Tyru mieszkańcy, jak późniéj Hiszpanie, jak dzisiaj Anglicy. Jeśli jaki bój się rozpocznie, to o jakie wyspy złote z nowemi kupcami innéj części świata i z niemi wygramy wojny punickie i pójdziemy daléj!

— Na miesiąc zapewne, przerwał znowu młodzieniec z szyderczym uśmiéchem, a urzędnik przydał z przyciskiem:

— Ale porucznik zapomniał, że to nie Moskwy, ale Słowiańszczyzny tryumfy będą, że Polska przez swoje położenie geograficzne, swoję cywilizacyją i pamiątki historyczne musi znaczną grać rolę w wielkim systemacie połączenia szczepu słowiańskiego.

— Co mnie pan gadasz o Polsce! dotąd właśnie bój trwał między Rosyjaninem a Lachem o piérwszeństwo — o to, aby wiedziéć, który naród godniejszy stanąć na czele całego szczepu — i przy nas zostało zwycięztwo!

— Ha, ha, ha, rozśmiał się najmłodszy, jeszcze bój nie ustał, a co o godności, to nie mówmy, bo tyle wieków chwały wolnego ludu, tyle zasług w chrześcijaństwie, tyle krwi ochotnie przelanéj za uwolnienie Europy od Tatarów, Turków i was Moskali...

— Mały impertynencyje gada, mruknął porucznik, a ten daléj mówił:

— Za każdą kwestyją podniesioną w cywilizowanym świecie, a zawsze w dobréj sprawie, zawsze ochotnie! O! naród, liczący tyle zasług równać się w godności nie może z hordami niewolników pędzonemi od wieków batem na rozboje i rzezie, na poparcie szalbiérstw i niegodziwości łotrów, którzy niemi rządzą, a którym one czołem biją, oddawszy im w ręce miecz, szale sprawiedliwości, sumnienie i bat, ich godło.

— No, przestań, za wiele sobie pozwalasz — jeszcze za młody jesteś i nie możesz jednego razu dyskutować bez ubliżenia — żeby...

— Bez ubliżenia? a to mi się podobało! to porucznikowi wolno wymyślać na mój naród i urągać się z nieszczęścia, a mnie nie wolno prawdy powiedziéć i przygasić jego zapału w podbijaniu świata i księżyca?

— Skończmy, skończmy, już czas iść na bal, rzekł urzędnik i wziął za kapelusz.

Rozpalony młodzieniec mruczał jeszcze na schodach:

— Czy mnie kaduk wplątał między tych Moskali; ten ojciec przez tchórzostwo zawsze mnie swata z nimi.

W mieście ruch ogromny, jeżeli nie handlu i przemysłu, to zbytku Moskali. Karety jedna za drugą huczą po Miodowéj, Senatorskiéj, Marszałkowskiéj ulicy i Krakowskiém Przedmieściu. Jedna w cztéry mierzyny, dwa siwe, dwa skarogniade na krzyż, pędzi galopem; chłopak świszcze, roztrąca siedząc na przodkowym koniu. Daléj dwie płyną po parę koni w angielskich szorach; trzy lekkie powozy i mo-

skiewska kiszka we trzy konie w dartego orła wyprzedziły je. Znowu kareta poczwórna i doróżek mnóztwo. Wszystko dąży na Nowy Świat, wjeżdża do széroko roztworzonéj bramy, staje, zakręca na podwórzu i wyjeżdża zawadzając, burcząc, potrzaskując, świszcząc.

Na piérwszém piętrze w obszernych i bogato oświeconych salonach jenerał moskiewski daje bal na imieniny młodéj żonki — Polki ładnéj, głupiéj, ubogiéj i szumnéj. Jenerał lat pięćdziesiąt liczy, krępy, miernego wzrostu, okrągłéj i czerwonéj twarzy, przyozdobionéj w szpakowe faworyty ciągnące się od skroni do połowy policzka, za uchem wygolone, jak u Aleksandra. Na zielonym mundurze mnóztwo krzyżyków, portrecików, sprzączek, jak Adam Mickiewicz opisuje. Gosposia miżdży się, z partesu chodzi, niezręczna, znać że niewyuczona stąpania i gestów w salonach petersburskich, warszawskich, paryzkich, boć tam podobno najzgrabniejsze kobiéty. Już mnóztwo dam zacnych obsiadło kanapy i krzesła; nowo przybyłe oglądają się, szukają miejsca. Mundurów, szlif, piór kapłonich i strusich, moskiewskich i kobiécych pełnych w każdym kącie. Szmér z kiepska po francuzku rozmawiających; gdzie niegdzie oficerowie z liniji po moskiewsku gaworzą, albo cicho po polsku Warszawianie. Na samym przodzie siedzą: tu czerwona krępa Moskiewka, tam chuda zmoskalona pół-arystokratka polska, daléj tłusta, wygorsowana, czterdziestoletnia Niemka, żona jenerała, rodem z Kurlandjji. Ku środkowi widać kilka brunetek z orlemi noskami; przy nich kręci się pan Lewkowicz, grzeczności po francuzku mówi, bo boji się, żeby dyjalekt go po polsku nie zdradził; ogromne usta sznuruje, ufryzowanéj głowy nie śmié dotknąć, żeby białych rękawiczek pomadą nie splamił; nadzwyczajnie ułożony, szasta długiemi trzewikami na cienkich nóżkach, a w niezliczonych ukłonach tyłek nadzwyczajnie wystawia.

Drzwi się otworzyły i wtoczył się brzuchacz potężny; przy czarnym fraku wstążki czerwienią się, zielenią i żółcą; chustka biała na szyji i kołnierzyk aż pod uszy zadarty błyszczą — któżby nie poznał Dambrowskiego? Z hardą

miną wpakował się między moskiewskich jenerałów. W jednym kącie zebrało się grono siwoszów w cywilnych frakach, z gwiazdami i krzyżem polskim śgo Stanisława różnych klas. Między nimi jeden tylko młody człowiek coś wiele rozprawia i dowodzi. To jakiś pan Milerski czy Mülerski: Polak, ale zkąd rodem, gdzie był w szkołach, jak niższe stopnie przechodził? — Nie wiadoma. Dziś ozdobiony krzyżem, zaszczycony wysokim urzędem i zaufaniem rządu moskiewskiego. Ma lat trzydzieści i kilka, tłusty, rumiany, ugrzeczniony elegant. Niedaleko pana Mülerskiego siedziały dwie Polki, jedna stara, druga młodsza, wystrojona, kobietka, niecierpliwa zużyć w rozkoszy ostatnie lata przemijającéj piękności.

Drzwi się znowu otworzyły: weszła naprzód młoda, wysmukłéj kibici dziewica w żałobie, z nachyloną nieco głową ku ziemi; krok wolny, piękne rysy twarzy bladość powlekła, czarne wielkie oko spuszczone kryje się pod długą rzęsą, nad alabastrowém wspaniałém czołem krucze włosy skromnie ułożone. Za nią postępował mężczyzna pięćdziesięcioletni, barczysty, grubych rysów twarzy, bez wyrazu. Panna zrobiła głęboki ukłon gospodyni domu, ale pełen godności, nawet powagi niezwykłéj młodéj osobie; jenerałowa zaczerwieniła się, jakieś skryte uczucie niższości zmięszało ją, lecz towarzysz dziewicy w żałobie dodał jéj ducha nizkim i miżdżącym ukłonem. Panna usiadła w milczeniu, zapewne niewiele ma znajomych. Wkrótce jednak przybiegł pan Mülerski, witał, nadstawiał się, grzeczności gadał; panna rzadko i zimno odpowiadała. Po chwili zbliżył się jéj towarzysz, spostrzegli się z panem Mülerskim, zaczęli się kłaniać, pochlebiać sobie, a to z taką uniżonością, z takiém wyrafinowaniem, iż poznałbyś od razu, że to dwóch ludzi płaskich potrzebujących się lub bojących nawzajem. Panny usta przyjemne, słodkie, nawykłe do pobłażania, ścisnęły się i skrzywiły — zdawało się, że chciały przytrzymać uśmiéch pogardy. Tymczasem owa Polka wystrojona, co to tuż koło grona rozmawiającego z panem Mülerskim siedziała, zaczęła

lornetować pannę w żałobie i obracając się żywo do staréj sąsiadki:

— Regardez donc ma chére, rzecze, czy jéj nie poznajesz? c'est mademoiselle Raślicka. Dieu! comme elle est changée, ani śladu owéj świéżości, co tak hrabiego Edwarda zajęła; a to młode dziecko jeszcze, ze cztéry lata młodsza odemnie.

— Entre nous ma petite; odpowié stara przyjaciółka, śmiéjąc się, z dziesięć przynajmniéj; ja nie kniaź moskiewski, a ty od niéj dzisiaj nie gorzéj wyglądasz.

— Hm, ładne rysy zawsze jéj zostały — uważasz comme ce jeune fat lui fait la cour?

— Bo go posag nęci — et puis, ma chatte, czyby ci zazdrość była, żeby ten parvenu ożenił się z panną Raślicką?

— Du tout, madame, ja nienawidzę tych ludzi bez imienia, co tylko w głowę wierzą, to pedanty — niezgrabne. Quant au comte Edouard, je vous avoue, que j'étais un peu piquée, lorsque elle me l'a ravi.

— Ażeby ci teraz odmówiła Kniazia Kłakina?

Pani M... boć to ona była, rzuciła wzrokiem pełnym kokieteryji na Kniazia blizko stojącego, i obracając się do staréj damy, zapytała:

— Zkądże Pani wnosisz, że ja kocham Kniazia?

— Oh, ma chère, j'ai de l'expérience!

Tak rozmawiała pani M. ze starą przyjaciółką, która po rozkosznie spędzonéj młodości, włóczy się jeszcze po balach i wieczorach, i bawi się widokiem umizgów i plotkami.

My tymczasem dowiédzmy się co się działo z Anną od czasu, jakeśmy ją opuścili w Baden, i co to za jeden ten jéj teraźniejszy opiekun.

Kiedy Zawiła błądził po górach otaczających Baden, Annie klęczącéj przed krucyfiksem łzy płynęły po bladawych licach, czarne śliczne oko wzniesione ku niebu zaszło mgłą i wzywało cierpiącego Boga, aby wziął łaskawie pod opiekę ukochanego młodzieńca i jéj biédne serce. Gwałtowna miłość, gorączka pierwszéj młodości przeszła była; pięć lat

żalu i goryczy przetrawiło serce i zostawiło pustki, nudę i potrzebę jakiegokolwiek uczucia. Gdyby dziewica nie była spotkała Władysława, możeby pobożność zapełniła była nadziemskiém uczuciem całe serce i otuliła bladym wieńcem wdowią głowę.

Ale echo wzniosłéj duszy Władysława odbiło się w głębi piersi Anny. Mówią, że raz tylko kochać można: niech i tak będzie, ale jak się kocha w szesnastym roku życia; lecz kochać nie miłością zapaloną przez jednę iskrę elektryczną, tylko sercem i myślą dojrzałą, przez zamianę i zrozumienie uczuć, można... ile razy? może téż raz tylko!

Z głębi wdowiego serca wołała Anna: O czemuż nieszczęśliwa, nie znałam piérwéj pięknéj duszy jego? Ale uspokój się, uspokój, Władysławie, jeszcze dość jest siły w tém zbolałém sercu, aby twoje zapełnić! Czegóż żądasz? masz przyjaciółkę, masz siostrę, która poświęceniem się przejdzie wszystkie kochanki świata! Cóż jest lepszego ognista miłość? Ja czuję, że wolałabym to zbolałe serce, niż owo, które niegdyś biło dla Edwarda.

Zeszła noc we łzach, zajrzało rano w okna, zatętniały kopyta na bruku. Anna podziękowała Bogu z pokorą za noc bezsenną, za łzy wylane. Już głos ciężki pana Raślickiego wzywa córkę: przybiegła; ojciec poczuł zdaleka smutek jedynego dziecka, położył pocałunek na czoło i westchnął. — Wyszli na ganek: Anna obejrzała się bojaźliwie, „nie ma go“ —nie miał serca na drugie pożegnanie — bądź zdrów, Władysławie!—jam twoja na wieki! Niema, zamyślona, żegnała smutném okiem dziś jéj drogie okolice, zostające w kurzu i we mgle za huczącym pojazdem.

Podróż była szczęśliwa. W kilka dni ujrzała z daleka dymy rodzinnéj wioski i czerniący się w sąsiedztwie stary dom Zawiłów. Serce jéj biło gwałtownie. „Tu przeszły lata dziecinne, myślała sobie, tu pierś moja tak hojnie czerpnęła goryczy: tam—na granicy oka, żyje osierociała matka Władysława i pędzi dni w żałobie. Tyś jest matką moją, ja cię pocieszę, będziemy razem o twoim synie rozmawiać, razem o nim myśléć.

Dni płynęły w westchnieniach, ulatujących w dalekie strony Zachodu; każda chwila mijała w nadziei, w jakiémś niepewném, mistyczném, smutném uczuciu przyszłego szczęścia. Nadzieja jest to sen spokojny na jawie, jest to jakaś próżnia ckliwa, ale nie dręcząca, nie bolesna. Nadzieja wsparta na wierze, mająca za punkt ostateczny, za oś, około któréj wiruje i żyje, za gwiazdę polarną miłość — miłość jakąkolwiek: kraju, ludzi, Boga — była także pokarmem powszednim Anny. Ale często klęska niespodziana, grom nagły zmąci tę nadzieję, choć jéj nie zniszczy, napoji goryczą, choć jéj nie wyziębi; grom ten uderzył serce Anny. Ojciec jéj w samo święto Zmartwychwstania Pańskiego osiérocił ją i okolicę całą. Trudno opowiedziéć, co panna Raślicka ciérpiała, nawet pamiątka Władysława odrętwiała na chwilę — i nadzieja uciekła. Jak żeglarz w rozbiciu okrętu chwyta się słabéj deski co ją wałami burza przypędzi, tak Anna rzuciła się w słabe ramiona matki Zawiły. Wtém przyjechał pan Żyrski, najbliższy krewny, niby opiekun, i pod pozorem załatwienia interesów familijnych, żądał, aby siostrzenica jego na krótki czas pojechała do Warszawy; trudno było się wymówić i Anna z bólem serca opuściła matkę Władysława, coraz słabszą i szybkim krokiem zbliżającą się do grobu.

Żyrski oddawna mało żył z ojcem Anny. Jeśli do niego przyjechał, to na krótki czas, i chociaż zawsze był przyjmowany z grzecznością i gościnnością, jednak bez téj radości, z jaką się u nas na wsi przyjmuje wuja lub ciotkę, kiedy po długiém niewidzeniu dom nawiédzi. — Pan Raślicki ubolówał nad jego postępowaniem i jego sposobem życia; ale córce o tém nic nie wspomniał, bo dzieci, tak on sądził, nie powinny znać błędów starszych, żeby ztąd zgorszenia nie brały. — W istocie Żyrski, wdowiec po dobréj żonie, któréj szanować nie umiał, puścił parę wiosek w dzierżawę i osiadł w Warszawie. Bywał wszędzie, w domach polskich i u Moskali; mało uważany, lecz zapraszany jakby ze zwyczaju. W salonach był czwartym do wista, w potrzebie — nawet do mazurka, choć był już trochę za ciężki. Birbantki

moskiewskiéj nie opuścił, bo grał grubo w karty i ponczyku lub szampana nieźle pociągał. W czasie rewolucyji ubrał się w mundur gwardyji narodowéj; po wzięciu Warszawy został w mieście bez żalu i trwogi, odnowił stare z Moskalami znajomości, pozabiérał nowe, grał rolę obywatela przychylnego cesarzowi, podpisywał się na prośbach poséłanych do Petersburga z rozkazu Paszkiewicza, był u niego samego w deputacyji, a że ostatkiem gonił, nadstawiał się, aby skorzystać z obłowu urzędów, które hurtem piérwszemu lepszemu dawano. Sądził, że kiedy nieznane figury dostawały z łatwością urzędy, on szlachcic i niby przyjaciel Rautenstraucha i innych jemu podobnych, złowić może tém prędzéj order i posadę zyskowną, zostać jakim prezesem województwa, lub naczelnikiem wydziału rządowego. Dotąd jednak zabiegi były próżne. Moskale woleli młodych i zdatnych przechrztów, lub Niemców wychowanych w Polsce, niżeli starych leniuchów i utracyjuszów. Użyli ich jako szlachtę osiadłą i familijantów, do podpisów i deputacyji — potém zostawili na bruku. — Pan Żyrski ucieszył się niezmiernie śmiercią szwagra. Wiédział, że siostrzenica jego pełna powabów i majętna, ściągnął ją więc do Warszawy dla poparcia jego planów. Niedługo zjawił się pan Mülerski, rosnący coraz wyżéj w urzędy i znaczenie, człowiek bez imienia, bez wiary, bez ojczyzny, a obrotny i czynny, zrodzony na urzędnika moskiewskiego w Polsce. Brakowało mu tylko żony bogatéj i z dobrego domu; przez takie ożenienie zacny urzędnik wplątałby się między szlachtę, i jednę rękę wyciągał do Mikołaja po ordery i dostojeństwa, drugą majaczył między ziemianami. Panna Raślicka wpadła mu w oko: „Moja szczęśliwa gwiazda, mówił sobie rozradowany, nadarzyła mi ją. Bogata, ładna, dobrego tonu — to właśnie czegom szukał, a wymknąć mi się nie może. Jéj wuj ostatkiem goni i szuka urzędu; przymówię się za nim, zrobię obietnicę, wreszcie oszukam starego głupca; on we mnie wierzy jak w Boga, widzi, że wszędzie jestem, że mnie poważają, żem potrzebny Moskalom. W końcu, znam świat,

szpetny nie jestem — mogę się pannie podobać. Rzecz jak skończona, ożenię się niedługo.

Pan Żyrski, chociaż z natury niebystrego rozumu, jednak przez wycieranie się po salonach i nasłuchanie się intryg urzędników moskiewskich nabył pewnego rodzaju doświadczenia; zrozumiał tedy plany Mülerskiego i zaczął pannie konkurenta zachwalać. Na piérwszą wzmiankę Anna spojrzała na wuja wzrokiem pełnym zadziwienia i obrazy i wręcz odpowiedziała, że choćby wolną była, nigdyby nie przystała na związki hańbiące jéj rodzinę, znaną z szlachetnych uczuć i patryotyzmu; prosiła więc, żeby jéj nie robił podobnych propozycyji; tém bardziéj, że za pozwoleniem ojca obiecaną jest młodemu Zawile. Na imię Zawiły Żyrski porwał się z miejsca i z gniéwem oświadczył, że jako jéj najbliższy krewny nie pozwoli nigdy na połączenie się z rewolucyjonistą, na wieczne czasy skazanym na wygnanie. Anna odpowiedziała głosem pełnym mocy i godności:

— Ojca mojego wola jest święta i moje postanowienie nieodmienne, i nie zważając na zżymanie się pana Żyrskiego, wyszła do drugiego pokoju.

Od tego czasu poznała, w jakim jest ręku, przemyśliwała, jakim sposobem opuścić dom niegodnego wuja i ze wzgardą słuchała oświadczeń Mülerskiego.

Zbliżył się sławny bal jenerała moskiewskiego, na którym z zadziwieniem ujrzeliśmy dziewicę w żałobie. Pan Żyrski, niecierpliwy popisania się z siostrzenicą, oświadczył jéj, że chce ją do moskiewskiego domu zaprowadzić. Anna wymawiała się, że jest w grubéj żałobie, że nienawidzi Moskali, że pogardza Polkami, które używają rozkoszy wśród ciemiężycieli Ojczyzny. Nic nie pomogło, pan Żyrski, póty pochlebiał, póty nalegał, póki biédna Anna nie przystała w chwili słabości skołatanego tylu zgryzotami umysłu, aby wstąpić chwiejącą się nogą w tę świetną jaskinią łotrów, niewolników i podlców.

Postać i ruchy pełne godności, szlachetność rozlana na czole i w oku, czarna suknia i czarniejszy smutek, który jak mgła mistyczna jéj twarz otaczał, zdziwiły błahych ludzi,

zmięszały nikczemnych. Mülerski wywołał całe męztwo ze skorzonego serca, aby wytrzymać lodowate zimno słów Anny, sięgnął po cały rozum i dowcip do głowy, aby ją wciągnął w rozmowę — próżne usiłowania; dziewica, jak statua cudowna, zimna, a wzbudzająca uszanowanie i trwogę.

Muzyka uderzyła; mnóztwo Polek wyciąga zgrabne rączki do Moskali, opiéra się na ich ramionach, uśmiécha się wdzięcznie. O zgrozo! to ramię sto razy się wzniosło i spadło na głowy twych braci i krwią bryzgnęło, a ty na niém dziś bujasz swobodnie; to oko jak zgłodniałego niedźwiedzia sto razy szukało Lachów połowu; to serce wre wściekłością na widok białego orła, a twoje oko miłością płonie, a twoje serce drży żądzą, wzrusza kołyszące się piersi i poji słodyczą i wzrokiem ciemiężyciela twych braci! Krew' zawrzała w żyłach Anny:

— O sromoto!... to Polki?... ale takich nie wiele!

Kniaź Kłakin stoji w parze z panią M., zaleca się, płaszczy; znane moskiewskie hołdy, czy z musu, czy z trwogi, czy z miłości. Kobiéta wzniosłéj duszy pogardziłaby niemi, odepchnęłaby nikczemność pod jakąkolwiek ukrytą postacią, a pani M. wzdycha, kocha.

Pan Mülerski prosił Annę do tańca; piérwszy raz dziewica w żałobie spojrzała mu w oczy i rzekła:

— Nie tańczę!

Spojrzenie było jak błyskawica, a słowo jak grom zwalający całą zalotnika nadzieję.

W drugim pokoju Moskale brzęczą złotem; czerwienią się, palą, bledną. W kącie zebrali się owi siwosze z gwiazdami i krzyżami. Dambrowski im opowiada wzięcie Zawiszy i śmierć kasztelana, dowodzi, w jakim był niebezpieczeństwie, przyczyniając się do uspokojenia prowincyji, jako gorliwy obywatel i sługa carski. Pan Mülerski przypadł ochłodzić się po tańcu w pokoju graczów, przybliżył się do Dambrowskiego i wmięszał się w rozmowę.

— Zawisza jutro będzie w Warszawie, pojutrze proces się rozpocznie; będę zapewne wyznaczony z jenerałem R. i sędzią S. do śledztwa.

— Będziecie mieli słuchać siła deklamacyji, odezwał się jeden stary sługa moskiewski, bo to młodzież zapalona, uważa się za męczenników i brednie plecie sędziom, myśląc że prorokuje.

— A to jéj można nakazać milczenie; albož to nie ma w Warszawie mioteł lub kańczugów?

— Nie tak to łatwo, jak pan sądzisz; my starzy wiémy, co to jest patryota zaciekły; widzieliśmy konających pod batami, bluźniąc przeciw władzy carskiéj! Każdy fanatyzm, polityczny czy religijny, nie łatwy do pokonania.

Mülerski się zadumał; wtém muzyka uderzyła walca, wzbudził się i poskoczył wesoło, jakby mu nic nie ciężyło na sumnieniu — znać, że i miłość głęboka!

Już piérwsza po północy; panna Anna prosi wuja, żeby ją odprowadził do domu; on radby jeszcze postawić na kartę, popłaszczyć się Moskalom, ale siostrzenica nalega; wziął kapelusz i wysunęli się nieznacznie z salonu. Anna odetchnęła, zdawało jéj się, że się wydostała z przedsienia piekła, gdzie stare djabły i młode czarownice cieszą się w pląsach ze swojéj sromoty i zbrodni. Odświéżyła pierś zimném powietrzem, myśl zaczęła płynąć wolniéj, serce bić równiéj.

— Władysławie, gdzie ty jesteś? myśliła w duszy; ja teraz twoja; ojciec przed śmiercią wspomniał ciebie, nazywał cię synem swojim — ja ciebie kocham, ah! tysiąc razy więcéj ciebie kocham. Od czasu jakem spojrzała prosto w oczy podłych, zrozumiałam cię lepiéj, poznałam lepiéj twoję duszę.

Tak marzyła Anna, tak rozmawiała z własném uczuciem, kiedy pojazd wyjeżdżając z Nowego Świata, mijał Święty Krzyż na Krakowskiém Przedmieściu. Dwie wieże błyszczały pozłocone promieńmi miesiąca i patrzały spokojnie, jakby postawione na straży uśpionego miasta; pod szérokiemi schodami z dwóch stron prowadzącemi do wielkich drzwi, przeszedł silnéj postawy mężczyzna — ciemne oko rzuciło ogniem z ukosa. Dziewica drgnęła, serce zaczęło bić gwałtownie.

— Jaki podobny! kto wié? może on! może uniesiony zapałem i niecierpliwością widzenia się ze mną, przybył z Zawiszą. — Biédny Zawisza!

Niespokojna i roztargniona przybyła do domu na Trębackiéj ulicy; wysiadając obejrzała się na około i taż sama postać przesunęła się koło pojazdu. Chciała wykrzyknąć, zawołać, ale gwałtowne uczucie zamknęło jéj usta. Weszła do swego pokoju i wkrótce odprawiła służącą. O, jak to błogo odetchnąć w smutku bez świadków! jak lubo jest wtenczas puścić łzy i westchnienia na wolą — samotność jest najlepszy powiernik po dobrym przyjacielu! Anna padła na kolana, pochyliła głowę, czarna suknia spłynęła z ramion, ścisnęła kibić, spuściła się do kolan i pociągnęła po ziemi; z twarzy wszystka krew' uciekła, łzy znajomą drogą płyną po licach, nad wiankiem kruczych włosów błogosławieństwo się unosi, modlitwa płynie ku niebu!

Człowiek, którego Anna pod Świętym Krzyżem spostrzegła, biegł szybko za pojazdem, przyjrzał się wysiadającéj dziewicy, jak młodzik chciwy przypatrzyć się ładnéj twarzyczce, zgrabnéj nóżce. Na widok Anny zatrzymał się, widać że krew' skoczyła do oczów, że serce potrójnym pędem uderzyło w piersi. Dziewica, jak ptak, kiedy czarném skrzydłem zatrzepoce pod borem i zginie między drzewem, zniknęła z migającém przed nią światłem w głębi domu. Nieznajomy pogadał z furmanem i wrócił się ze spuszczoną głową, zamyślony na Krakowskie Przedmieście. Tylko przez drogę kilka słów jak zgubionych z ust mu wypadło:

— Na moskiewskim balu — co to ma znaczyć — stary sługa — zobaczemy jutro.

Spojrzał na kolumnę Zygmunta, na zamek królewski, jakby ich witał milczeniem po długiém niewidzeniu; wstrząsnął głową, jakby utyskiwał nad ich uniżeniem, i utonął w Święto-Jańskiéj ulicy.

Pod nogą wilgoć; czarne, wysokie, wązkie, domy dźwignęły się do góry; nad głową płynie pas niebieskawy, jak strumyk nadpowietrzny; wązki, czasem rozleje się, gdzie dom więcéj w tył się cofnął, i znowu się zwęży i płynie do jeziora rozpostartego czworograniastą powierzchnią nad starym rynkiem. Minął rynek i daléj ciągnął, gdzie się zbiega ulica Freta z długą; stanął przed furtką przyczajoną do wspa-

niałego kościoła XX. Dominikanów i zadzwonił. — Otworzono:

— Czy mogę widzićć X. Izydora?

— Trzeba pozwolenia gwardyjana, a dziś za późno.

— Ja mam bardzo ważny interes, który zwłoki nie cierpi.

Stary, zgarbiony braciszek spojrzał ciekawie na twarz przybywającego, i po chwili odrzekł:

— Chodź pan, ale po cichu; obudzę księdza Izydora.

Furtka skrzypnęła, klucz zachrobotał wolno się kręcąc w zamku, braciszek sandały lekko stawia i świeci latarnią. Wchodzą na górę: korytarze wązkie, długie krzyżują się; światełko migoce po licznych celkach, zagląda przez szpary małych, szczupłych drzwiczek do cel zakonników. Braciszek zatrzymał się przed jedną, zakołatał, podróżny tuż przy nim stanął: drzwiczki się otworzyły, wyszedł mnich młody, wysoki, światło olśniło słabe oczy i igrając z cieniem latarni drżało na bladych i zaklęsłych obliczach. Przetarł oczy, spojrzał na podróżnego, cofnął się parę kroków i przeżegnał:

— Czy to sen? czy na jawie? toś ty, Władysław!

Zawiła stał nieruchomy.

— Ja to jestem, przyjaciel twojéj młodości, twojich uczuć, twojich marzeń — towarzysz broni! Dzisiaj przychodzę w ciężkiéj potrzebie prosić cię o pomc, o radę; narazić na niebezpieczeństwo, zniszczyć może pokój życia klasztornego, które myślałeś w ciszy spędzić do końca. Ja to Zawiła, przychodzę z końca świata, jak pamiątka dawnych uchybień, dawnéj rozkoszy, dawnych nadzieji, wzburzyć na nowo twoje piersi.

Mnich pochylił się, złożył ręce: długie, chude palce się splotły, łysina wygolona zaświeciła.

— Bracie! spokojność klasztorną możesz zmącić, ale piersi nie wzburzysz; okoliczności świata ich nie wzruszą — przejdą jak lekki wiatr po powierzchni morza, a głębi nie dotkną. Jam się wyrzekł siebie i świata, służę Bogu i bliźniemu — mogę cierpićć na ciele — dusza spokojna zostanie. Bracie! powiedz czego żądasz?

— Naprzód tego, czego nigdy dom Boży nie odmawiał siérotom — schronienia.

— Chodź do mojéj celi.

Weszli: stary mnich zapalił świécznik, wyszedł i cicho drzwi przymknął. Światło błyskało po korytarzach, uciekało, kiedy latarnia stopniami się zniżała po schodach, cień bury i milczenie klasztor zaległy.

W szczupłéj ubogiéj celi stało łóżko, dwa stołki i stół drewniany; biały na nim rozłożony brewiarz i parę książek: krucyfiks i kropielnica na ścianie — oto wszystkie sprzęty zakonnika. Dwaj przyjaciele usiedli: mnich spuścił głowę, brwi podniósł — myśli. Zawiła brwi zmarszczył i utwik wzrok w bladych obliczach dawnego towarzysza młodości.

— Co tu robisz?

— Przybyłem z Francyji dać wolność ludowi, zniszczyć ciemiężycieli kraju: upartą szlachtę i Moskali!

— Źleś zrobił: braciś między sobą waśnił, dla tego Bóg nie błogosławił.

— To nie wolno bić się przeciw Moskalom?

— Powinność!

— A nie wolno złych braci wytępić?

— Nie wolno — tyś nie sędzia.

— Cóż z nimi robić?

— Teraz nawracać, a wtenczas karać niepoprawnych, kiedy ci naród da władzę, lub kiedy cię Bóg powoła, żebyś ją wziął. Bracie! wielceś zgrzészył!

— Mnie się zdawało, że mnie Bóg powołał.

— Czyś się modlił do niego?

— Już dawno.

— Upokórz się — nawróć — chciéj być sługą, a Bóg ci może da władzę, jeśli mu się podoba wybrać cię za narzędzie swojich wyroków. Potężnéj władzy potrzeba w ciężkich okolicznościach — swawola zgubiła Polskę.

— Czy księdzem jesteś?

— Od trzech dni.

— Słuchaj mnie spowiedzi.

— Dobrze.

Zakończenie.

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostanie suche drzewo szubienicy,
Za całą sławę — krótki płacz kobiécy
I długie — nocne — rodaków rozmowy.
Adam Mickiewicz.

Dziesiąta godzina z rana: karety, doróżki, końskie kopyta huczą po ulicach, odgłos bębnów rozlega się po różnych stronach miasta, dzwony biją i pobożni biegną do kościołów. Na placu Zygmuntowskim, Saskim i innych działa zatoczono, kanonierzy stoją z zapalonemi lontami, lud się trwoży: Boże! długoż tak będzie? — Od licznych rogatek wozy na targ się wloką, chłopy biczem popędzają małe szkapy, idąc pieszo i oglądając się ciekawie naokoło. Jeden wóz drabiniasty, wysłany słomą, dąży Chmielną ulicą w głąb' miasta, kilku kozaków z lancami w ręku otoczyło go: na nim leży Zawisza, blady — ponuro patrzy. Wóz zatrzymał się przed zamkiem, Zawisza się podniósł, kozak zeskoczył z konia i pomógł wysiąść. — On stąpał słabą nogą, nie dbał o ranę, bo śmierć przed oczyma. Po dziedzińcu zamku, po komnatach królewskich włóczy się żołdactwo; tam, gdzie niegdyś cary brząkały kajdanami, sprośny gwar moskiewskiéj mowy i bluźnierstw się rozlega — biada Polsce!

U Paszkiewicza pokoje otwarte, mundury zielone, szlify, pióra za bramą i w bramie — na dziedzińcu, na schodach, w komnatach. Starzy dygnitarze, wysmukłe młokosy szemrzą po francuzku, po moskiewsku. R......, dawny generał polski, dziś moskiewskiém powiewając piórem, wszedł do gabinetu potężnego łaską i zaufaniem carskiém — Paszkiewicza.

— Generale! zawołał rządzca Polski, Zawisza przybył, wezwij sędziego S..... i Mulerskiego, i dzisiaj jeszcze rozpocząć śledztwo. Dowiedziéć się co można i ukarać przykładnie a szybko; trzeba postrach rzucić na buntowników w ca-

łym kraju. Plany Zawiszy i tych co z nim przybyli są niebezpieczniejsze, jak wszystkie inne proste powstania. Napojeni doktrynami Jakobinów francuzkich, mogliby daleko sroższą zarazę rozprzestrzenić w państwach cesarza, jak bunty głupców, co im się Polska marzy jeszcze w głowach. Tu idzie o cały porządek socyjalny, o interes wszystkich monarchów, o szczęście wszystkich ludów. Generale! spuszczam się zupełnie na jego gorliwość w tym razie.

R...... zapewnił, że jak zawsze był gotów na usługi cesarza, tak i teraz wszystkich sił dołoży i dowiedzie swego poświęcenia.

Nadszedł wieczór. W jednym domu na Trębackiéj ulicy, w obszernéj izbie, zwanéj z francuzka salonem, siedzi przy stole samotna Anna; na jednéj dłoni oparła pochyloną głowę, drugą przytrzymuje karty książki przed nią leżącéj. Czarna suknia obtuliła smukłą kibić, od czarnych rękawków odbija alabastrowa ręka, czoło, po którém jak płyn jaki rozlana świetność, széroko rozwija się pod czarną koroną bogatych włosów, a oko nieruchome i brwi podniesione zdradzają myśl bujającą daleko: zapewne książka leży ze zwyczaju, ale ciekawości nie nęci.

— Władysławie! czy to cień twój przesunął się w nocy, aby mi wyrzucać słabość moję, aby mnie skarać za sprośne widowisko uciech moskiewskich? przebacz! przebacz! ale jeśli tu jesteś, przybywaj dodać sił twojéj Annie, wlać kroplę pociechy w skołatane piersi! Boże! ledwie dwudziestą wiosnę przeżyć dałeś, a już takim ogromem nieszczęść przycisnąłeś biédną siérotę. Jeśli wola Twoja święta poić sługę Twoję goryczą i łzami, daj siłę znieść ciężar, który zrzuciłeś na jéj słabe ramiona, nie opuszczaj dziecka Twego wśród złych ludzi, twardego losu. Boże! któryś wśród dzikich zwiérząt i ognia płomieni całe zachował Twoje proroki, zlituj się, zlituj nad biédną siérotą!

Tak Anna wołała w duszy do Boga, kiedy pan Żyrski wybiegł z drugiego pokoju z furyją, z rozczochranemi włosami, trzymając w ręku zabazgraną bibułę.

— Otóż niech się Waćpanna sama przekona, co to za ptaszek jéj ulubiony.

To mówiąc, rzucił na stół gazetę.

Anna wstała wolno, lekki rumieniec wystąpił i jak zorza zaranna po pogodnéj nocy, rozjaśnił cudownéj bladości oblicze.

— Pan bawisz mnie, rzekła, ciągnąc dowody niegodziwości mego narzeczonego z tego moskiewskiego pisma.

— Czy moskiewskie, czy tureckie, to nic nie znaczy! Tu factum jest, że Zawiła łotr, zbój, włóczy się po borach i buntuje motłoch. Lecz nie długo mu to będzie uchodziło, cena nałożona na jego głowę i będzie wisiał z Zawiszą.

Łagodne oko Anny chmurą zaszło, a oko niedawno wilgotne ogień gniéwu wysuszył, pierś zburzył i całéj podstawie nadał niewymowny wyraz godności.

— Sądź pan po moskiewsku sprawy młodzieży polskiéj — to godne pańskiego patryotyzmu; urągaj się ze słabości i nieszczęść siéroty, którą los na chwile oddał ci w ręce — to godne pańskich szlachetnych uczuć; ale bądź pewny, że więcéj słyszéć nie będę bluźnierstw przeciwko zacnemu młodzieńcowi, którego ojciec mój wybrał za towarzysza życia mego.

— A to gdzie Waćpanna myśli powędrować? może do boru włóczyć się ze zbójami... Wykrzyknął wuj z wściekłością.

W téj chwili drzwi się nagle otworzyły i groźne oko błysnęło Władysława. Z piersi Anny przeraźliwy jęk wypadł, z twarzy znikł chwilowy rumieniec, w podwójném zgięciu zachwiała się i padła. Zawiła zadrżał, skoczył, porwał ją w swoje ramiona, rozpalone usta do jéj ust przycisnął; iskra zapału młodzieńca przebiegła żyły ukochanéj Anny, krew' zawrzała, zapaliło się oko i twarz spłonęła rumieńcem, słaba ręka odgarnia ulubioną głowę.

— Władysławie! Władysławie! co robisz, porwała się z przestrachem, gdzie wuj jest?

— Władysławie, uciekaj! jeśli masz cokolwiek litości

nad sobą — nademną — uciekaj! To dom moskiewski! przeklęty!

— Nie, Anno! u nóg twojich zbrodniarza powalę! gdzie on jest? gdzie on jest?

Dobył pistoletów, ścisnął je w dłoni, żyły krwią na czole nabiegły, oko ogniem wściekłości zabłysło. Anna padła na kolana, łzy stoczyły się po rozpalonych licach.

— Władysławie, miéj litość nademną!

Lecz już szczęk broni rozlegał się po schodach, drzwi trzasnęły jedne i drugie, kołpaki moskiewskie, szlify srébrne i szpada zaświéciły na progu. Grom wypadł z Władysława ręki, oficer zwalił się, zajęczał, karabiny cofnęły się i znowu postąpiły naprzód. Zawiła drugi raz wypalił i trupa położył; porwał za piérwszy bagnet, wyłamał i jak sztyletem uderzył. Próżna obrona, zwalono go na ziemię, skrępowano ręce, wloką po posadzce, po schodach — nie długo pewno na śmierć powloką.

W domu Żyrskiego głucho, pana nie ma, musi się cieszyć z Moskalami z tryumfu — może się boji jednego spojrzenia siostrzenicy, bo najlękliwszy jest człowiek po spełnionéj zbrodni. W pokoju Anny światełko mruga, czarna zasłona spadła na blade oblicze. Wierny służący wziął małą latarkę do ręki, minęli salon krwią moskiewską zbryzgany, ciche stąpanie rozległo się głucho po schodach, drzwi skrzypnęły — już na ulicy.

Małe światełko błyszczy, cienie jak szpiegi uwijają się za niemi. O kilka kroków biała statua, z burą piersią, burą głową przycisnęła się do muru, wysoka, nieruchoma. Anna drgnęła i schwyciła za ramię starego sługę, jedynego opiekuna na ziemi.

Statua przybliżyła się.

— Nie trwóż się, córko, jam przyjaciel Zawiły — gdzie idziesz?

— Ojcze! ratuj go!

— Ja o nim myślę, a Bóg go uratuje, jeśli taka Jego święta wola; ale ty, córko, gdzie idziesz?

— Nie wiém, stary sługa mnie prowadzi.

— Ty, bracie, wróć do domu, udaj, że nic nie wiész, ja twoję panią biorę pod opiekę.

— Ojcze! ja nie opuszczę do śmierci jedynego dziecka niebożczyka pana.

— Opuścisz ją na chwilę, tak potrzeba, tak ja ci w imię Bozkie rozkazuję.

Dominikanin wziął latarnią do ręki, stary sługa ze łzami w oczach odszedł.

Na Piwnéj ulicy mnich zakołatał do jednego domu, i nizkie drzwi, u góry okrągławe, z żelazną kratą zamiast okienka, otworzyły się; latarnia oświéciła wązki korytarz i węższe jeszcze schody; podróżni wstąpili, kołując jakby w jakiéj wieży, aż na piąte piętro. Pod samém poddaszem mnich znowu zakołatał i głos staréj kobiéty dał się słyszéć. Otworzono.

— Co robisz tak późno, mój synu?

— Przyprowadzam ci córkę, pielęgnuj ją, jak mnieś niegdyś pielęgnowała; nie badaj, ja jutro powrócę. Córko! rzekł, obracając się do Anny, to moja matka, ja idę ratować Zawiłę.

O jedenastéj godzinie młodzieniec dziewiętnastoletni dzwonił u furtki dominikańskiéj, Stary braciszek otworzył i nic nie mówiąc, zaprowadził go do celi księdza Izydora; zakonnik klęczał przed krucyfixem — modlił się. Na przybycie gościa wstał, pochylił głowę, brew' zmarszczył; zdawało się, że chude, śniade policzki jeszcze bardziéj zaklęsły, zczerniały.

— Czego żądasz, Ojcze? jestem na twoje usługi.

— Synu! Ojczyzna cię wzywa.

Oko młodzieńca zajaśniało, serce młotem uderzyło w piersi. Ach! pamiętamy te lata najmłodszych uczuć, najmłodszego zapału, kiedy dusza prawicza tęskniła do piérwszego boju, jak do piérwszego pocałunku dziewicy.

— Rozkazuj, księże! jam gotów na wszystko! nie zawstydzę Wysockich i Trzaskowskich.

Słowa z takim pędem dech wypychał z rozdętych piersi, że zawadzając jedne o drugie z przerwami padały. Mnich

spojrzał na twarz szałem uniesionego chłopca, iskra oświeciła ciemną jego źrenicę i ogrzała zimne oblicze; ale po chwili spadło oko ku ziemi, twarz ostygła, a z piersi wypłynęło z przyciskiem — długie westchnienie.

— Nie, synu! jeszcze czas nie przyszedł, abyś porwał za szablę; innéj usługi od ciebie żąda Ojczyzna. W więzieniu moskiewskiém jęczy dzielny młodzieniec, co jak ty w téj chwili szałem uniesiony popadł w ręce wroga: jego to wyratować trzeba.

— Zawisza?

— Nie Zawisza. Rozmajicie podzielił Bóg zasługami dobrych synów Ojczyzny; jednym rozkazał krwią moskiewską zbroczyć ziemię naszę, drugim swoją własną z grzéchów ją obmyć. Zawisza skazany na męczeństwo; lecz jest inny, który dziś przez zdradę i podłość jednego wyrodka dostał się w ręce niewiernych — tego ty musisz z więzów wydobyć. Wiém, że znasz Moskali, którzy myślą o swobodzeniu swego narodu z niewoli. Oni widząc twój zapał i zdatność chcą cię wciągnąć w związki, ale nie dowierzają młodości i przywiązaniu wyłącznemu do Polski. Źle robisz, że im się sprzeciwiasz — niech oni także myślą o sobie. Jeśli u nich wolność zabłyśnie, Bóg ich oświeci i uszanują starszych braci. My od nich jednak nie wyglądajmy łaski i swobody, walczmy o to, co nam wydarli; ale jeśli Bóg tak zrządzi, czemuż nie mielibyśmy podać ręki poprawionemu bratu? Idź więc do nich, bo ja wiém przez pewne okoliczności, że od nich zależy uwolnienie Zawiły — co Zawisza, ten przez złych ludzi strzeżony. — Ruszaj natychmiast, czas nagli; ja noc strawię na modlitwie, a jutro rano cię czekam.

Młodzieniec wybiegł, wsiadł do doróżki: dwie szkapy pędzą przez Długą, Miodową, Kozią ulicę, przez Krakowskie przedmieście; stary doróżkarz biczem kropi, czasem zaklnie, wreszcie zatrzymał je na Nowym Świecie; młody chłopiec żwawo wyskoczył i dzwonił do moskiewskiego porucznika.

O szóstéj godzinie rano wyszedł z furtki dominikańskiéj ksiądz Izydor i dziewiętnastoletni młodzieniec. Chłopiec pobiegł żwawo Długą ulicą, mnich kaptur nasunął na czoło

i wolno dążył ku Staremu Miastu, w końcu rynku skręcił na Piekarską ulicę, a ztamtąd na Piwną i obok klasztoru Augustynów wszedł do jednego domu. Wązki dom liczył po dwa okna na każdym piętrze, z których ostatnie sięgało aż pod wieżą kościoła. Wstąpił na poddasze, zakołatał — stara niewiasta drzwi otworzyła.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków.

— Co słychać?

— Źle, mój synu.

— Czy śpi jeszcze? tém lepiéj.

— Bardzo chora.

Mnich przysunął się do łóżka. Na grubéj, białéj poduszce spoczywała głowa Anny, czarne włosy rozwite we dwa długie smugi spadały po dwóch stronach twarzy ubarwionéj niezwykłym rumieńcem; powieki przymknięte roztoczyły szeroką rzęsę, a osłonione piersi unosiły bieliznę jednostajnym, mocnym ruchem. Ramiona wyciągnięte, równo odległe, świeciły na białéj pościeli z daleka i czasem konwulsyjnie poruszały rozpaloną wilgotną ręką. Mnich wpatrzył się w oblicze, w na pół otwarte usta: dawna krasa wróciła i odbija cudownie od białego, szerokiego czoła, na którém twarde losy wytłoczyły piętno tysiąca uczuć długo goszczących w piersi dziewiczéj. Stara niewiasta tuż stała przy łóżku i patrzyła to na chorą, to na syna; wreszcie wziąwszy mnicha za szeroki rękaw, odciągnęła na bok i tak mówiła:

— Wczoraj, skoroś wyszedł, mój synu, biédne dziewczę uklękło pobożnie i długo — długo się modliło: jam nie śmiała przeszkadzać. Po modlitwie przyszła do mnie i ze łzami podała mi rękę, a jam uczuła mocny puls i gorączkę. W nocy zrywała się z łóżka z krzykiem, z przestrachem: powtarzała różne nazwiska — wołała na Moskali, — ona bardzo chora. — Synu! — trzeba myśléć o duszy.

Izydor przybliżył się jeszcze do łóżka, popatrzył, westchnął:

— Matko, pilnuj jéj jak własnéj córki, ja niedługo z lékarzem i z Bogiem powrócę — to Anioł!

* * *

W jednéj z zamkowych sali za obszernym stołem siedzi trzech ludzi, przeznaczonych na prokuratorów, adwokatów i sędziów Artura, Zawiszy i Władysława Zawiły. Prezyduje R...... w zielonym mundurze, mnóztwem ozdobiony krzyżów. Młodość spędził na polu sławy, całe życie nosił znaki polskie i serce — niby polskie. Dziś Moskal — nie! podlec zaprzedany Carowi. Po prawéj stronie jenerała siedział S.... sławny śledztwami przed rewolucyją i po rewolucyji. Włos siwy nakazuje uszanowanie, ale żółto czerwone policzki jak złota tabakiera tuż przy nim na zieloném suknie leżąca i oko chytre, mówią, że wiek zatwardził go w grzéchach i wyssał ostatnią kroplę uczucia, honoru i patryotyzmu. Trzeci nareszcie jest pan Mulerski w utrefionych włosach, sztucznie zawiązanéj chustce na szyji, bawiący się białemi rączkami, które pielęgnuje z niewymowną starannością. Uśmiécha się, pokazuje perłowe ząbki; twarz rumiana, tłusta; czoła troska zmarszczkami nie poorała, jak u tylu młodzieńców polskich, których starość na skrzydłach smutku i tęsknoty goni. Przy bocznym stoliku siedzą niżsi urzędnicy, przy drzwiach dwóch żołniérzy wyciągniętych, jak dwa słupy miga bagnetami.

Na korytarzu wolno stąpa wracający z sali sądowéj do więzienia Zawisza, z drugiéj strony idzie Zawiła. Spotkali się:

— Artur! — Władysław! jam swoje odbył, niech tobie Bóg doda siły — bądź zdrów!

Żołniérze popchnęli jednego do lochu, drugiego gorzéj — do jaskini łotrów!

Drzwi się otworzyły, wszedł Zawiła, za nim dwa bagnety pochylone i dwa kołpaki moskiewskie. Twarz jeńca mocno wzruszona widokiem towarzystwa dawnych marzeń i nadzieji, chwały i nieszczęść. Na czoło krucze włosy w nieładzie spadały, spojrzał na sędziów i zęby ścisnął od gniéwu i zgrozy

— poznał dwóch. Pan Mulerski zmięszał się nieco i niepewnym głosem rozpoczął pytania:

— Imię, nazwisko, zkąd rodem, czy należałeś do buntu dwudziestego dziewiątego Listopada?

— Do buntu nie należałem, bo buntu w Polsce nie było; alem porwał się do oręża w téj pamiętnéj nocy przeciwko Moskalom, jak każdy prawy Polak.

— Tylko bez deklamacyji, kawalerze, rzekł R.... te wszystkie frazesa oklepane.

— Jenerał za nowością, bo go widzę piérwszy raz w moskiewskim mundurze.

— Milcz, zuchwalcze, my cię tu zaraz uszanowania dla władzy nauczymy.

— Dla władzy carskiéj nigdy! a zresztą trochę wdzięczności, jenerale, dla owych buntowników, którzy cię jak łotra w rewolucyji nie powiesili.

— R..... porwał się z miejsca jak wściekły. Dwieście kijów, krzyknął, trzeba tego chwata nauczyć rozumu.

Lecz S..... szepnął mu do ucha, bez żadnego zmienienia glinianéj twarzy:

— Co się jenerał będzie pastwił, skończyć prędko śledztwo i kazać powiesić.

R........ jak ów pies, co skoczy wściekły na podróżnego szczeknie — a zatrzymany łańcuchem, burczy i wraca do budy, usiadł także na krześle, mrucząc pod nosem i machając rękami. Co pan Mulerski, który rózgami i kańczugami groził nieszczęśliwemu Zawiszy na onegdajszym balu, zbladł teraz i gapiowato się spoglądał — to na jenerała, to na sędziego, to na więźnia. S...... spostrzegł pomięszanie kolegi i uśmiéchnął się lekko: fryc jeszcze myślił sobie. — Śledztwo znowu się rozpoczęło: pytano, gdzie przebywał, kto mu dopomagał w uskutecznieniu planów, co go przywiodło do rozboju, w jakim celu przybył do Warszawy. Zawiła odpowiadał jak okoliczności i uczucie polskie kazały. Na ostatnie tylko pytanie zadumał się i brwi zmarszczył, a gdy R..... nalegał, Zawiła spojrzał surowo i rzekł mocnym głosem: „nie powiém!“ Jenerał chciał się znów do gróźb udać, ale Mulerski

widocznie zmięszany, szepnął mu coś do ucha; ten spojrzał się na niego, uśmiéchnął przestał badać Zawiłę. Przyprowadzono znowu Zawiszę: przyjaciele przywitali się spojrzeniem, pocieszyli szlachetnością odpowiedzi i męztwem. Szczęściem dla nich, sędziowie się śpieszyli, bo taki był rozkaz Paszkiewicza i nie mieli czasu użyć środków moskiewskiego śledztwa. Jakoż przed wieczorem odesłano więźniów do lochów i w jednéj chwili podpisano wyrok śmierci. R..... włożył kapelusz moskiewski, pióro aż na kark spłynęło, wsiadł do pojazdu i zahuczał po bruku. S.... powlókł się wolno: z jaką twarzą wszedł, z taką wyszedł; sądziłbyś, że to zwyczajny urzędnik po podpisaniu kilku świstków wraca na obiad, lub przepędzić wieczór na łonie rodziny, popieścić dzieci, uczyć ich cnoty. Pan Mulerski był nieco zamyślony, rumiany, jeszcze nie zupełnie utarło się sumnienie chociaż liche z natury, w łotrowskim zawodzie. — Może ucieczka Anny zmąciła plany, zmieniła humor zalotnika? Może wzrok hardego rywala wdarł się w duszę i sen na jednę noc wypędził? Cierpliwość — niedługo dojdzie do doskonałości kolegów.

Noc przyszła: niebo iskrzyło się gwiazdami, biédne wózki znikły z ulic i tylko świetne pojazdy i doróżki turkocą, koło poczty krzyżują się, wypływając z kilku ulic na szérokie Krakowskie Przedmieście, jak z kanałów portowych statki na morze, i biegnąc wśród kościołów i pałaców, ku Nowemu Światu, migając zawieszonemi światełkami na kozłach. Żydy znikły, tylko po Franciszkańskiéj ulicy jeszcze szachrują, włóczą się kupami, w zabłoconych szarafanach, chociaż w lecie, brodami kiwają, szwargocąc. Z jednego balkonu wygląda tłusty kupiec, czarną, długą brodę pogłaskuje z powagą i fajkę pali, co rzadko się zdarza. Gdzieniegdzie słychać gwar wesołych Moskali, a smutek uciekł w zacisza domowe. Niejeden mieszkaniec porwie się niespokojny z miejsca, kiedy do drzwi zakołacą, a żona jego młoda zadrży z przestrachu. Ze znaczniejszych placów działa zaglądają w przyboczne ulice, czujny artylerzysta przy nich stoji. W jednéj szynkarni Starego Miasta zebrali się

na piwo starsi rzemieślnicy, i chociaż szpiegów mnóztwo, z cicha gwarzą o niedawno przeszłéj rewolucyji, wymyślają na Moskali, wzdychają do lepszych czasów, cieszą się nadzieją.

Dzielny to jest ten lud Warszawski! W każdym razie, na każde zawołanie porwie się do broni. Kiedyż zawiódł zaufanie patryotów? Bez przygotowania, bez obietnic, na piérwsze hasło, na piérwszy wystrzał stoji pod bronią. Nie trzeba mu imion, jak szlachcie; kilku młodych zawoła—i już leci do boju. Dwa razy się rozhukał, słabością naczelników rozdrażniony, i wnet się sam udobruchał, ucichł, jak Wisła nasza, kiedy wiatr niespodziany przeminie. On tu dostarczył mężnych między mężnymi, czwartego pułku żołnierzy. Lud łagodny, pobożny i waleczny, godzien dziedzictwa najznakomitszego słowiańskiego grodu. Zepsucie stolic Europy nie sięgło aż do niego: wzniosło się tylko, jak wyziewy błotnistego bagna, chmurą zawisło w powietrzu i spłynęło, przyciągnięte złotem, jak pioruny żelazem, do dumnych pałaców, rozparło się po przedmieściach, ale do wewnętrza staréj Warszawy nie doszło. Tam rzemieślnik pracuje w pocie czoła, trudem wyrywa część grosza zazdrosnemu żydostwu i dawne pieśni wesoło nuci, wierny chwale i wierze Ojców. Nie jedno serce Kilińskiego bije w rzemieślniczych piersiach, Kilińskiego, który, jak Czarniecki i Sobieski, z Bogiem wielkie rozpoczynał dzieło. Przyjdzie czas, kiedy ten lud warszawski rozrodzi się, zakwitnie i sławą się wyniesie nad dumnych mieszczan Zachodu. Obyśmy więcéj takich miast mieli, jak Kraków, Warszawa i Wilno!

Pod więzienie naszych dwóch młodzieńców, od którego dzisiaj cały świat, jak od zapowietrzonego miejsca ucieka, podkradł się chłopiec dziewiętnastoletni. Żołniérz spostrzegł, krzyknął, porwał za kołniérz i przyprowadził na odwach. Lecz młody Polak ani się nie strwożył, ani bronił. Spojrzał na oficera i uśmiéchnął się lekko, ten go zapytał w polskim języku, coby robił pod więzieniem w nocy, przyjął tłumaczenie i kazał wypuścić. Na odchodném do-

rzucił kilka słów niezrozumiałych dla żołniérzy, w takiéj mowie, jakiéj car do jenerałów używa.

W jednym lochu cichość. Zawisza wycieńczony ranami i trudem, leży spokojnie na słomie, nawet rzadko westchnienie piersi poruszy. On już się poznał ze śmiercią. Z zimną krwią czeka chwili, w któréj trup jego zsiniałą twarzą postrach rzuci między Warszawian i pomnoży żądzę zemsty. Ale u Zawiły krew' wre w żyłach: ciska się na posłaniu, a brzęk kajdan rozlega się po sklepieniach więzienia. Często z całych piersi westchnienie z jękiem wypadnie, często łza gorzka żalu i gniéwu zakręci się w oku. Czy lęka się śmierci? O nie! nikt z większym zapałem nie leciał do boju, jak rumak z rozdętemi nozdrzami, i piersią rzucał się na miecze moskiewskie i krwią swoją i nieprzyjacielską bryzgał. O nie! Zawiła hardo spojrzy w oczy śmierci, jak tyle razy patrzał w oczy wroga. Ale w ostatnich chwilach wszystkie uczucia tłoczą się do serca i każde żąda, napiéra się, błaga o pożegnanie. Jakież pożegnanie było z uczuciem dla Anny.

— O, Anno! Anno! przytłumionym głosem zawołał i z brzękiem obciążone łańcuchami ręce dźwignął do czoła: w jakimże cię stanie opuszczam? Wśród zbrodniarzy sama jedna—siérota! Zostanie ci tylko duma i pamiątka po mnie. Dwa trupy moskiewskie były świadkami pożegnania naszego; krew' wroga przymięszała się do ostatnich łez naszych. Anno! pamiętaj, że straszna chwila była naszym ślubem na wieki! tyś moja, tyś moja i po śmierci. Oderwano mnie od twego boku, wywleczono z przybytku, gdziem po raz piérwszy i ostatni usta moje do twoich ust przycisnął. Anno! włóż żałobę i płacz po twoim mężu, po męczenniku, jak ja płaczę w téj chwili samotnéj, żegnając się z tobą, i zamiast twego objęcia, czuję zimne żelazo moskiewskiego łańcucha.

Znowu dzień jutrzejszy stanął na myśli, oko oschło, pierś się wzdęła. Widzi tuż koło siebie żołniérzy moskiewskich, urągających się bezbronnemu—i wściekłość wre w żyłach; widzi zdala lud płaczący — i żal serce ściska.

Straszna to musi być ostatnia chwila młodzieńca w sile uczuć, kiedy śmierć staje przed oczyma i zasłania czarnemi skrzydłami cały świat widoków i nadziei. On gardzi śmiercią, ale żal goni za stratą obrazów, które snuły się w młodéj wyobraźni, a które ona jedném cięciem potłucze, zdruzgoce jak cacka dziecinne.

Krótka czerwcowa noc mijała. Zawiła oczy przymknął i spoczął nie snem, ale tym letargiem spracowanego umysłu, co na granicy snu stoji, co pozwala słyszéć głos wołający na ziemi i utonąć duszą w innym świecie. W tym stanie musieli być błogosławieni, których Bóg za życia na chwilę zawołał do siebie i cuda niebieskie ukazał. Powieka spadła, a szérokie obrazy rozwijały się przed źrenicą, pełne jasnych kolorów, ruchu i życia. Zdawało mu się, że spojrzał w głąb' puszcz niezmiernych, gdzie ludzie dzicy i zbrojni uganiali się za zwiérzem i żądali tylko krwi nieczystéj i pokarmu. Wtém zjawił się olbrzym, dąb na łuk nagiął, żyły i nerwy na nagiém ciele nabrzmiały, oko błyszczało płomieniem, a dziki motłoch skupił się koło niego. Olbrzym wyciągnął ramię i motłoch padł na ziemię; zawołał, a wszyscy powstali i utkwili źrenice w jego twarzy; obrzucił płomienistém okiem i wszystkie zapaliły się oczy i krzyk rozległ się po puszczach, przeciągnął się za rzéki i góry. Dzicy sąsiedzi zadrżeli, porwali oszczepy, łuki i włócznie — i krew' ludzka zbroczyła ziemię.

Wkrótce rozmnożył się ród olbrzymów: jedni wyglądali z puszcz, inni grozili na gór wiérzchołkach i z baszt wysokich, inni bujali po morzach z orężem i płomieniem w ręku, z żądzą krwi i bogactw w piersiach.

Wśród tych olbrzymów zjawił się małego wzrostu człowiek, usiadł na górze otoczonéj światłością i śpiéwał cudownéj harmoniji hymny, chwaląc Boga swego pokolenia, które jak mały strumyczek sączyły się przez wieki. Olbrzymy usłyszały śpiéwy i jednym palcem chciały strącić z góry małego człowieka. Ale mały człowiek powstał, błysnął orężem i piorunem zleciał ze świętéj góry, a olbrzymy, jak chmury wiatrem spędzone, zniknęły.

Na świętéj górze stanął kościół w pośród nadziemskich promieni, a nadludzkie oko mądrości błyszczało w jego przysionkach. Ale powoli oko ściemniało, światłość rozwiała się nad górą, olbrzymy wpadły, a jęk i brzęk kajdan rozległ się w dalekie okolice.

Wtém powstał olbrzym, jakiego dotąd nie było, jedna część świata utonęła we krwi i we łzach, a na świętéj górze zabrzmiały śpiéwy łagodnego wesela, jak śpiéwy matki po uzdrowieniu jedynego syna, i kościół stanął jak piérwéj.

Z owego olbrzyma wylęgły się olbrzymy bez krwi i kości. Woskowe ciała zasiadały tron wyniesiony nad ziemię, oparty na tysiącznych grodach rozmajitych krajów i ludów; tron złoty, obsypany milionem brylantów. W pośród drogich kamieni, jak w pośród gwiazd pogodnéj nocy, spoczywała blada twarz jak miesiąc takiego jednego olbrzyma; złote jego włosy i złota broda spłynęły aż do pół ciała, oblicze dziwnie ubarwione, oko siwe — martwe, a w słabéj prawicy przechyliło się berło. Koło tronu uwija się niezliczona liczba nałożnic i okiem rozpaloném mruga na olbrzyma i woła rozkoszy. Poruszyły się woskowe policzki, iskra żądzy zabłysnęła, mignęła kilka razy — i zgasła. Tymczasem wzniósł wolno do góry ciężkie berło; na chudéj, białéj ręce wystąpiły czarno-niebieskie żyły i berło pochyliło się i sparło na krawędzi tronu, a rozliczne ludy po ogrodach i błoniach, na stepach i górach, za setnemi rzékami, rozmajitego języka, czarne i nędzne, jak biédne muchy, tylko gdzie niegdzie pankiem, jak motylem błyszczące, schyliły korne czoła i hołd oddały woskowemu olbrzymowi.

Był jeden zakątek ziemi poprzerzynany morzami, a ów zakątek ziemi dzielny lud zamiészkał. Ten się nie pokłonił olbrzymowi i zachwiał jego brylantowym tronem. Pobudował rozliczne grody, a z owych grodów wyleciały ptaki złote, wzniosły się w górę, i jak gwiazdy błyszczały na firmamencie. Pióra ich skrzydeł rozleciały się po świecie, a gdzie tylko upadły poniesione wiatrami, błyszczały i błyszczéć będą na wieki. Cały ród zmienił się w ptaki, a mnóztwo było orłów złotych. Tym orłom złotym porosły potworne głowy,

stępiały dzióby, poodpadały szpony, a serca pogniły. Wtenczas zjawił się strzelec jednooki, postawił siatki, a z żelazną rózgą stanął na straży. Spłoszyły się orły; w potwornych głowach zaczęły wiatry huczéć i drgać języki w przytępionych dziobach. Strzelec spojrzał w ich piersi i znalazł błoto; spojrzał na łapy i nie znalazł szponów; roześmiał się tedy i zagarnął sieciami trzepocące się orły, a wystające złote skrzydła żelazną rózgą połamał.

Z owego jednookiego strzelca narodził się olbrzym olbrzymów. Ten położył się w poprzek świata, nogami zdeptał ród orłów, ramieniem oparł się na brylantowym tronie i udusił ostatniego woskowego olbrzyma, a głowę położył na granicach świata. Wtenczas przyszły z nalanemi kubkami rozkoszy nałożnice, z kadzidłem pochlebstw niewolnicy i pojąc go i kadząc uśpili go, a uśpionemu krew' wyssali i kości stopili. Ów olbrzym nie mógł żyć bez krwi i kości, bo snać taka była jego natura. Ogromne jego ciało spadało się na cztéry części, późniéj na więcéj, a późniéj jeszcze na więcéj; na tém spadaném ciele żyły ptaki drapieżne, trwożliwe i słabe.

W tym czasie powstał cały ród olbrzymów i żylastymi członkami przygniótł Wschód, Zachód, Południe; ale na Północy napotkał stary ród dzikich olbrzymów, wzięli się więc w zapasy. Długo bój trwał — i liczył się na wieki.

Wysilił sią ród na Południu i wydał olbrzyma, jakiego dotąd nie było, a sam zmalał, zziąbł, obtulił się w złote pióra orłów w niewoli, przystrojił w szmaty brylantowego tronu. Wtenczas nad górą otoczoną światłością wystrzelił krzyż jaśniejący, a cała światłość góry wsiąkła w niego i góra zczerniała. Krzyż płynął w powietrzu ku Zachodowi, a wszystkie ludy po drodze padły na twarze z pokorą. Zatrzymał się nad stolicą Południa i wyciągnął ramiona w wsze strony. Wtenczas dzikie olbrzymy Północy wpadły na stolicę zmalałych olbrzymów i przydławiły ich nerwistemi członkami; ale krzyż wisiał niezachwiany w powietrzu, zaczerwienił się, a dzikie olbrzymy podniosły oczy do góry i przestraszone padły na twarze. Krzyż wybielał i zagarnął całą Północ.

Długo błyszczał na wszystkich końcach świata; czasem zaczerwinił się i znowu zajaśniał. Rozmaite olbrzymy wstawały, ale każdy pokłon oddał lub padł pod jego piorunem.

Lecz przyszedł czas, kiedy prawe ramię krzyża, a poźniéj środek i wiérzchołek zciemniał. Powoli ramię Zachodu zaczęło także kirem się powlékać, a jednego razu taką nocą zaszło, że przy niém środek i wiérzchołek i prawe ramię miłą się zorzą zdawały; tylko gdzieniegdzie brylantowe plamki na tém ramieniu błyszczały, niby gwiazdy nocne.

Nie daleko środka, na granicy wschodniéj, była jasna plama niby miesiąc; ta plama, chociaż krwią zbryzgana i czarnemi przeorana zagony, najświatlejszą była jednak częścią krzyża w żałobie.

W téj smutnéj barwie trwał krzyż czas jakiś, a olbrzymy Zachodu i Północy przechodziły po ziemi cięźkiemi krokami.

Aliżci plama niby miesiąc drżéć poczęła, nakształt światła szamocącego się z nocą; rozszérzać się i całe ramię Wschodu oświécać. W tymże samym czasie brylanty na zachodnim ramieniu porosły, połączyły się i szybkiem pędem oświéciły środek i wiérzchołek, a krzyż cały stanął w jasności i ludy pooblóczyły białe szaty, porozpuszczały złote włosy, jako promienie słońca, i wyciągając ręce do krzyża, w jedno złączyły się światło.

Słońce, miesiąc i gwiazdy; ziemia i planety stopiły się w tém świetle i tylko jedno światło było w przestrzeni, a ciemności nigdzie nie było!

Tak dziwne obrazy przeszłości i przyszłości rozwijały się, roztaczały w źrenicy Zawiły, kiedy klucz wolno zachrobotał w zamku i drzwi więzienia skrzypnęły. Otworzył oczy i przy zorzy rannéj zaglądającéj przez kraty, ujrzał biały habit burym naznaczony pasem od głowy aż do kolan. Zerwał się z posłania, kajdany brzękły; on mocnym głosem zawołał:

— Księże! na czas przychodzisz! gotuj mnie na śmierć — jaki cudny sen miałem! Co się dzieje z Anną?

— Cicho, cicho, jeszcze twój czas nie przyszedł.

W tém nieznajomy człowiek przystąpił i kajdany opadły z rąk Władysława.

— Chodź za mną!

Wyszli, porucznik moskiewski stał w sieni i gadał z żołnierzem tuż przy drzwiach stojącym. Dwaj przyjaciele minęli z tyłu żołniérza patrzącego w oficera jak w tęczę, i weszli do pobocznéj izby. Wkrótce straż przy drzwiach więzienia zmieniono; wtenczas nieznajomy człowiek wyszedł, zamknął drzwi na klucz, a porucznik zawołał:

— Puszczaj go, to strażnik więzień, patrzał co jeniec porabia.

Ten złączył się z Zawiłą i mnichem, schował ich do komory i drzwiczki szafą zastawił.

Rano hałas, krzyk w więzieniu, młody rekrut uciekł z pod okna otwartego Zawiły; porucznik wścieka się od złości, śle raport do komendanta placu. Oglądają kraty; całe, nienaruszone. Jakim sposobem mógł się przez nie przecisnąć? Rzecz dziwna — niepodobna.

Dziewiąta wybiła na wszystkich wieżach miasta; kanonierzy stoją z zapalonemi lontami, wojsko najeżone bagnetami obtoczyło szubienicę. Lud zebrał się z całéj okolicy — pacierzy, łzy w oczach, postrach w sercach. Kat zbliżył się do Zawiszy, ten krzyknął ogromnym głosem:

— Patrzcie! jak...

Dwadzieścia uderzyło bębnów i ostatnie słowa zmieszane z hukiem rozległy się w nierozumiałych dźwiękach.

Kat zarzucił stryczek na gardło, ścisnął, pociągnął. Twarz zczerniała, oczy na wiérzch wyszły.

Tak skończył Artur Zawisza, młodzieniec najszlachetniejszych uczuć, najpiękniejszych nadzieji. Taki los czeka wielu dzielnych synów Polski; to są męczennicy, których śmierć ma okupić tryumf wiary!

Jedenasta godzina w nocy; cała załoga w Warszawie pod bronią, dwóch jenerałów konno galopuje po mieście, u Paszkiewicza w gabinecie hałas, adjutantów mnóztwo przybiega i wybiega z pałacu. Kilkunastu młodych oficerów

aresztowano, klasztór Dominikanów do góry nogami przewrócony.

Na Elektoralnéj ulicy bryczka stoji w cztéry konie, furman siedzi na koźle, Władysław, druh Zawiły, wygląda z budy, z niecierpliwością czeka starego Józefa, z niespokojnością widzi Moskali w niezwykłym ruchu.

Na poddaszu w wysokim domu, przy Augustyjanów kościele, Anna leży na grubéj pościeli; powieki przymknięte, twarz bladość śmiertelna okryła, pierś spokojna — już w niéj wszystkie uczucia zasnęły na wieki!...

Z téjże kamienicy przy Augustyjanów kościele wypadł Zawiła; na wszystkie strony ciska wzrokiem, dech w piersi zatrzymał, dłonie ścisnął, ledwie żyły w ramionach nie pękną. Za nim biegnie mnich przestraszony z odkrytą głową, chwyta go, przytrzymuje. I stary Józef jedną ręką sięga do niego, drugą coś błyszczącego kryje pod szeroką kapotą.

W tém głos moskiewski chrapliwie krzyknął: „Ławi pakutnika!“ i żołnierze obtoczyli ich na około. Józef wyciągnął pałasz, podał Zawile i schował się do kamienicy. Młodzieniec jak wściekły porwał za oręż, a mnich ponurym głosem zawołał:

— Ego te absolvo!

Zawiła szablą błysnął, parę razy krew' moskiewska plusnęła, ale szalony wpadł na bagnet i trupem zwalił się na ziemię. Mnich klęczał ze złożonemi rękami, z pochyloną, odkrytą głową, jakby czekał śmierci. Żołniérze stanęli, nie śmieli przystąpić. Oficer skoczył, krzyknął, pchnął nogą, mnich padł na twarz — żołniérze porwali i powlekli.